

EDMUND / WNUK-LIPINSKI

WIR PAMIĘCI

ROZPAD POŁOWICZNY

MORD ZAŁOŻYCIELSKI



supernowa

Edmund Wnuk-Lipiński

WIR PAMIĘCI

*A nocą w sen zagięci — w warczący wir pamięci — zobaczą drwale w lęku przykuci
nocy ręką idące na nich prosto topory sosen ostre.*

Krzysztof Kamil Baczyński, *Drzewa*

I

Gdy Ira otworzył oczy, było już zupełnie jasno. Przede wszystkim zobaczył mały żyrandol, wiszący nieruchomo na krótkim, ozdobnym sznurze. Później jego wzrok powędrował po zatartych nieco malowidłach plafonu i wówczas uświadomił sobie, że przenika go uczucie niepokoju. Uczucie to zniknęło równie szybko, jak się pojawiło.

Spróbował unieść głowę, co — wbrew jego niejasnym oczekiwaniom — udało się nad wyraz łatwo. Podniósł dłonie do oczu. Obejrzał je uważnie, ale nie dostrzegł nic szczególnego. Zlustrował sypialnię i stwierdził, że jest w takim stanie, w jakim zostawił ją wczoraj wieczorem. A więc wszystko w porządku. Wyśliznął się spod kołdry, wsunął kanapę w ścienną wnękę i poszedł do łazienki. Z tyłu czaszki plątał się lekki ból. Dzień się rozpoczął — pomyślał, sięgając po dwie tabletki. Jedną z nich wrzucił do szklanki z wodą, aby wytrąciła resztki detergentów, a drugą połknął, popijając oczyszczoną wodą. Umył się, po czym włączył agregat chemicznej odnowy wody.

Mimo zażycia lekarstwa ból głowy nie ustąpił. Nie ustąpiło także mgliste wrażenie, że coś się stało. Przeszedł krótkim korytarzem do kuchni. Zajrzał do lodówki. Zawahał się przez moment, a potem wyjął śniadanie 3a i wstawił je do kuchenki. Włączył aparat kuchenny i udał się do gabinetu.

W głębokim fotelu zauważył skuloną postać, najwyraźniej drzemącą. Nie pamiętam, aby ktoś został u mnie na noc — zastanowił się. — Czyżbym nie zamknął drzwi? — podszedł bliżej i zorientował się, że jest to dziewczyna. Pod bladoniebieską bluzą kombinezonu rysowały się drobne piersi. Ira dotknął lekko jej ramienia.

— Co pani tu robi?

Dziewczyna spojrzała półprzymkniętymi oczami, po czym zerwała się z fotela i rzekła szybko:

— Jestem pańską pielęgniarką, panie Dogow.

— Pielęgniarką?

— Już pan wstał? Przygotuję coś do picia. Pan się czegoś napije, prawda? Ja zaraz... Boże, przespałam pańskie przebudzenie.

— Chwileczkę — przerwał jej Ira. — Niezupełnie rozumiem, skąd się pani tutaj wzięła?

— Ja panu wszystko wyjaśnię... Wszystkiego się pan dowie — zaczęła mówić coraz bezładniej, jakby pragnąc zatrzeć w pamięci fakt, że zastał ją śpiącą. — Jestem

pańską pielęgniarką, oddelegowaną ze szpitala. O Boże, zaraz zrobię panu coś do picia. Nie sądziłam, że pan tak wcześniej...

— Dalej nic nie rozumiem. Jaki szpital? Przecież nie byłem w szpitalu! Jak pani tu weszła? Drzwi, jeśli się nie mylę, zamknąłem na wszystkie możliwe zamki...

— Pan wybaczy, muszę zawiadomić profesora Martena. Czy mogę skorzystać z telefonu?

— Proszę.

Z kuchni rozległ się melodyjny brzęczyk, sygnalizujący, że śniadanie jest już gotowe.

— Które śniadanie pan nastawił? — spytała dziewczyna niespokojnie.

— Jak zwykle trzy a — odparł zdziwiony Ira. — Może jednak wyjaśni mi pani, o co tutaj chodzi?

— Wszystko panu wyjaśnię, ale najpierw muszę zadzwonić do profesora — nacisnęła klawisze telefonu i, czekając na połączenie, powiedziała: — A śniadanie trzy a może pan zjeść.

— Z profesorem Martenem, pilnie! Dziękuję. Profesor? Profesorze! Pan Dogow jest już na nogach. Przespałam, niestety, moment przebudzenia. Chyba preparat przedwcześnie zadziałał. Objawy zewnętrzne bez zmian. Reakcje psychomotoryczne w normie. Symptomów szoku brak... Tak, podam... Tak, rozumiem... Internalizacja w granicach tolerancji. Przygotował sobie śniadanie trzy a. Tak, powiem... Rozumiem. Czekamy.

Dziewczyna pobiegła do kuchni i po chwili wróciła, niosąc na tacy dwie szklanki musującego napoju.

— Niech pan usiądzie. Nie powinien się pan przemęczać. Zaraz przyniosę śniadanie.

Ira jakby bezwolnie usiadł w fotelu i wziął do ręki szklankę. Pulsujący ból ciągle kołatał pod czaszką. Stało się coś, czego zupełnie nie pamiętam — myślał. — To musiało się stać wczoraj albo dziś w nocy. Ale przecież wczorajszy dzień nie miał w sobie nic szczególnego. Zaraz, zaraz... Byłem w klubie... Nonsens! Może w czasie snu? Niemożliwe! Przecież nie obudziłem się w nocy.

— Proszę, tu jest pańskie śniadanie. I jeszcze ta tabletką. Nieseryjna. Według przepisu profesora Martena — na wyciągniętej ręce dziewczyny Ira dostrzegł obłą,

czerwoną kapsułkę.—Niech pan to weźmie.

— Jak się pani nazywa?

— Ann Duray. Może mnie pan nazywać Annie.

— Powiedz mi, Annie, co się stało? Bo coś się stało, o czym nie wiem, prawda?

— Ach, w gruncie rzeczy nic ważnego. Proszę, niech pan je, bo wystygnie. Mówiono mi, że to jakiś drobny wypadek. Wie pan, z tych które zdarzyć się mogą każdemu.

Ira spojrzął jej uważnie w oczy i spytał raz jeszcze tym samym beznamiętnym głosem:

— Annie, co się stało?

— Zaraz przyjdzie profesor Marten. On wszystko panu wyjaśni. Wiem tylko tyle, że był pan przez jakiś czas w szpitalu i wczoraj wieczorem profesor zdecydował, że może pan wracać do domu.

— Nonsens. Nie byłem w żadnym szpitalu. Pamiętam przecież dokładnie, że wczoraj wieczorem wróciłem z klubu, zrobiłem sobie koktajl. Widzi pani, tam stoi nie dopity. I położyłem się spać. To wszystko. A pani mi mówi o jakimś wypadku...

Ann wzięła do ręki szklankę i jakby lekko zmieszana rzekła:

— Jestem tylko pielęgniarką. Zajmuję się pańską rekonwalescencją. Nie wiem dokładnie, co to było. A to jest koktajl, który ja sobie przygotowałam. Czy nie jest pan głodny?

Ira stwierdził, że ból głowy ustąpił. Zniknął także niepokój, który dręczył go od momentu przebudzenia. W gruncie rzeczy nie było to aż tak ważne, czy spędził w szpitalu dzień czy tydzień i czy w ogóle tam był. Najważniejsze było w końcu to, że siedzi u siebie w domu w fotelu, czuje się dobrze, nic mu nie dolega i nie ma żadnych trosk. Czyż warto zawracać sobie głowę jakimiś domysłami —myślał, jedząc machinalnie śniadanie —skoro jestem w rękach najwybitniejszego lekarza Apostezjonu, profesora Martena?

Od drzwi dobiegł łagodny dźwięk gongu.

— To profesor Marten —w głosie Ann zabrzmiała ulga.

Rzeczywiście, po chwili do pokoju wszedł profesor.

— Witam, witam! Wreszcie nasz pacjent się obudził.

— Witam, profesorze —odparł Ira.

— Jak samopoczucie? —Marten podszedł do Iry i zajrzał mu w źrenice. — Czuje pan ból głowy i suchość w gardle?

— Nie. Teraz już nie. Ale czy mógłby mi pan, profesorze, powiedzieć...

— Oczywiście, oczywiście! — Marten był bardzo ożywiony. —Wszystko panu wyjaśnię. Annie, podaj nam, proszę, koktajl trzydzieści dwa, dobrze?

— Tak jest, panie profesorze.

— Chciałbym wreszcie dowiedzieć się, o co chodzi. Co mi się stało? Zupełnie nic nie pamiętam.

— Niech pan posłucha. Sprawa jest prosta i skomplikowana zarazem. Zanim jednak wszystko opowiem, musi mi pan odpowiedzieć na kilka pytań, zgoda? Dziękuję, Annie. Proszę to wypić, nawet jeśli nie odczuwa pan pragnienia —podał Irze wysmukłą szklanekę, wypełnioną po brzegi brązowozłotym płynem. —Należy wyrównać ubytek witamin.

— Profesorze...

— Pamięta pan wczorajszy dzień?

— Tak, doskonale.

— Proszę mi opowiedzieć, co pan wczoraj robił.

— Annie mówiła mi, że byłem jeszcze wczoraj w szpitalu, więc...

Marten spojrzał przelotnie na Ann.

— Pomińmy na razie tę kwestię. Chodzi o ten dzień, który pan pamięta jako ostatni.

— Cały dzień?

— Tak, od samego rana.

— No więc wstałem, tak jak dzisiaj. Nie, chyba trochę później. Która właściwie jest godzina?

— Pięć po ósmej —podpowiedziała Ann.

— Jednak nie zasnęłam. Mam jeszcze trochę czasu. O dziesiątej powinienem być w pracy. Pamiętam, że wstałem koło dziewiątej. Zjadłem śniadanie. Pojechałem do pracy jak w każdy z czterech dni tygodnia.

Marten z widocznym napięciem słuchał relacji.

— Po drodze nic ciekawego się nie zdarzyło —ciągnął Ira. —Pojechałem jak zwykle ekwipartem. Pamiętam nawet, że wskaźnik zużycia prądu... Ale po co ja to

wszystko mówię! Proszę mi wreszcie powiedzieć, co znaczy ta pielęgniarka, przepraszam, Annie, i to gadanie o szpitalu!

— Naprawdę nie ma powodów do niepokoju. — Marten położył rękę na jego ramieniu. — Wypijmy, mnie też przydadzą się witaminy. Taki jestem ostatnio zapracowany. Więc wyjechał pan do pracy. I co dalej?

Ira pociągnął duży łyk płynu.

— Przyjechałem do zakładu jak zwykle około dziesiątej. Zaparkowałem ekwipart. Zabrałem korespondencję i zlecenia szefa na cały dzień. Potem poszedłem do baru i wypiliśmy koktajl wzmacniający— Ira zawahał się przez moment. — Numeru nie pamiętam. Nieważne. Przejrzałem korespondencję. Nic ciekawego. Same reklamowe śmieci.

— A później?

— Przeczytałem zlecenia szefa. Dzień zapowiadał się dość ruchliwie. Miałem kilka spraw do załatwienia na południu Wyspy. A potem? Zwykłe służbowe czynności. Zdawanie przesyłek, rozliczanie się z biletów. Zna pan przecież tę biurokratyczną rutynę. Maszyny są nieubłagane.

— Lubi pan zawód kuriera?

— Zawód jak każdy inny. A może nawet lepszy. Czuję, jak życie płynie. Czuję puls naszego potężnego Apostezjonu.

— Czy wie pan, że Czarni znowu uchwalili rezolucję?

— Która to z kolei?

— Pogubiłem się w numeracji. Chyba już blisko tysięczna.

— Dziewięćset czterdziesta ósma — wtrąciła Ann.

— Czy było w niej coś nowego?

— Skąd! — Marten roześmiał się. — Ciągle te same roszczenia do naszej Wyspy. Ale to drobiazg. Potrzebny jest teraz panu spokój i odpoczynek. Ma pan miesiąc zwolnienia z pracy.

Ira poczuł zupełnie niespodziewanie wielką wdzięczność dla tego krępego, lekko łysiejącego człowieka. Zajął się nim sam słynny Marten, najznakomitszy teoretyk psychosyntezy, twórca tej nowej, obiecującej dyscypliny naukowej. Zajął się nim jak prawdziwy przyjaciel.

Profesor wydał Ann jakieś polecenie, którego treści Ira nie zrozumiał, po czym

ponownie zwrócił się do niego z pytaniem. Głos Martena nabrał teraz łagodnych tonów. Ira zdał sobie sprawę, że powinien mu zaufać, że chce on jego dobra, stara się mu podać rękę w potrzebie. Poczucił się nagle zażenowany swoimi natrętnymi pytaniami; niepokój o to, co mu się przydarzyło, wydał mu się dziecinny, śmieszny nieledwie. Chciał przeprosić Martena, ale myśl o tym wydała mu się równie dziecinna jak uprzedni niepokój. Uświadomił sobie, iż od dłuższej chwili wsłuchany był nie tyle w to, co mówi Marten, ile w to, jak mówi. W nagłym popłochu próbował skupić się, bo zdawało mu się, że jakieś ważne dla niego informacje ulatują bezpowrotnie.

— Proszę mi powiedzieć, co zdarzyło się po powrocie z pracy? — dotarło do Iry pytanie profesora.

— Wróciłem do domu — rzekł prędko. — Przebrałem się i pojechałem do klubu. Tam spędziłem cały wieczór.

— A potem? Czy w czasie powrotu do domu nic się panu nie przytrafiło?

— Chwileczkę! Wróciłem swoim ekwipartem.

— Ira potarł nerwowo czoło. — Nie pamiętam, którądy jechałem.

— Niech pan spróbuje sobie przypomnieć.

— Nie dam rady, profesorze — rzekł bezradnie Ira. — Mam wrażenie, jakbym wszedł do ekwipartu przed klubem i natychmiast z niego wysiadł, ale już przed moim domem... Nie wiem, co było przedtem. Kompletna pustka.

— Szok pourazowy — rzekł spokojnie Marten.

— Szok pourazowy... — powtórzył Ira. — Miałem jakiś wypadek? Pielęgniarka mówiła mi, że nic nie wie. Czy to było coś poważnego?

— No, lepiej żeby pan wiedział, co się przytrafiło — głos Martena nadal był melodyjny, uspokajający. — Miał pan wypadek. Nie wczoraj, a przed tygodniem. Przez całe siedem dni leżał pan u mnie w klinice. Znalaziono pana w ekwiparcie. Na granicy tolerancji reanimacyjnej. Powinien pan wymienić stabilizatory w swoim wozie.

— Porażenie?

— Tak. Nastąpiło przebicie. Najbardziej ucierpiała głowa. No, ale wszystko pocerowaliśmy. Powinno być wszystko w porządku.

— Profesorze, dlaczego nic nie pamiętam? Kompletnie nic...

— Nastąpiła częściowa amnezja. Zdarzają się takie rzeczy. Choć pański

przypadek nie należał akurat do najbardziej typowych.

— To znaczy?

— Później panu powiem. Teraz spieszę się. Jestem umówiony —rzekł niecierpliwie Marten. — Tu jest instrukcja dietetyczna na najbliższy tydzień. Staralem się dobrać ją pod kątem pańskiego smaku. Jej ścisłe przestrzeganie nie powinno być więc zbyt przykre. Proszę pamiętać o kolejności przyjmowania pokarmów. To dość ważne. No, żegnam. Zostawię panu Annie na kilka dni, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

— Skąd!

— Aha! Jeszcze jedno. Niech się pan nie obawia, jeśli odezwą się jakieś podejrzone szmery pod czaszką. To absolutnie normalne.

— Dziękuję, profesorze. Gdyby nie pańska pomoc...

— Chyba jeszcze dziś wpadnę do was.

Mniej więcej w tym samym czasie, gdy Marten opuszczał dom Iry, Matilda wsiadła do swego ekwipartu i udała się w kierunku Szpitala Miejskiego nr 7. Po drodze zatrzymała się na moment przed kwaciarnią i kupiła wiązanek naturalnych gerberów. Jeżeli Albert odzyskał przytomność —pomyślała —to z pewnością przyjemnie mu będzie widzieć mnie z kwiatami. Jeżeli odzyskał przytomność... Matilda do tej pory nie mogła zrozumieć, jak to się stało. Wprawdzie profesor tłumaczył jej przyczyny nagłej choroby Alberta, ale zrozumiała tylko tyle, że grozi mu poważne niebezpieczeństwo. „Bardzo poważne” —rzekł profesor, kiedy opuszczała szpital. A przecież ów dzień zapowiadał się zupełnie normalnie. Było to dokładnie tydzień temu. Tamten dzień był może nieco bardziej przesycony światłem, bowiem dzisiaj lekkie obłoczki, przesuwane się znad kontynentu, raz po raz muskały Wyspę zwiwnym cieniem. Matilda zatrzasnęła drzwi ekwipartu i podała automatycznemu pilotowi współrzędne szpitala. Wóz bezgłośnie ruszył z miejsca.

Wtedy Albert czuł się zupełnie normalnie. Prawda, że od pewnego czasu dręczyły go jakieś kłopoty. Ale, mój Boże, któż nie ma trosk? Chyba tylko ci skrajnie nieprzystosowani, którym na niczym nie zależy... A i tego nie wiadomo, bo trudno się z nimi porozumieć.

Zresztą profesor Marten powiedział, że choroba Alberta nie ma podłoża

psychicznego. Najpewniej jakiś uraz mechaniczny. To była jedyna diagnoza, na jaką zdobył się szpitalny komputer. Po prostu objawy nie pasowały do żadnych znanych medycynie przypadków. I stąd właśnie wzięły się słowa profesora o bardzo poważnym niebezpieczeństwie. Ale oni uratują Alberta. Tyle dziwnych przypadków pojawia się ostatnio, a ludzie jakoś z tego wychodzą. Chociaż jeżeli przyjęli go do „Siódemki”, to musiało to być naprawdę coś niecodziennego. Marten, wielki Marten osobiście sterował zespołem diagnostycznym. Był tym wyraźnie zainteresowany. To dla nich zbyt ciekawy przypadek, aby go zlekceważyli —myślała Matilda. — Na pewno zrobią wszystko.

Tamten dzień był bardziej słoneczny, choć i dzisiaj zapowiadał się upał. Matilda dokładnie pamiętała to spotkanie. Albert zaprosił ją do restauracji tuż po pracy. Teraz, w łagodnym szumie pędzącego ekwipartu, zdarzenia owego dnia nabierały jakby ostrości. Zamówili dwa koktajle rozweselające i zaczęli omawiać zakup nowego wozu. Żyli już ze sobą ponad trzy miesiące, więc należało poważnie pomyśleć o założeniu rodziny. Matryce genetyczne nie były kolizyjne. Wszak oboje należeli do generacji AM, a każdy wie, że daje to optymalną konfigurację genów. Wprawdzie ludzie generacji AM charakteryzowali się drobną budową ciała i nieco mniej utalentowani byli w sztukach semantycznych, ale za to odznaczali się dużymi zdolnościami matematycznymi i szczególnym umiłowaniem sztuk asemantycznych, zwłaszcza muzyki, chociaż i talenty malarskie zdarzały się tu częściej aniżeli w jakiegokolwiek innej grupie. Krótko mówiąc, zdecydowali się na dziecko. Albert obiecał zdobyć talon populacyjny i nawet zaproponował dla chłopca, bo to miał być chłopiec, imię. Nie było to trudne, skoro imię powinno zaczynać się na literę A lub M. A więc dobrze, niech nazywa się Mirra, chociaż jej bardziej podobało się Andrew. I dlatego właśnie spotkali się tak wcześnie, aby omówić kupno ekwipartu. Bo czyż można sobie wyobrazić prawdziwą rodzinę bez rodzinnego pojazdu? Przecież żaden z ich ekwipartów nie był przystosowany do przewozu niemowlęcia. Matilda z niechęcią spojrzała na porysowaną tablicę rozdzielczą.

Ekwipart zatoczył lekki łuk i zatrzymał się w kolejce na piętro następnej autostrady, prowadzącej prosto do Centrum Medycznego. Już po chwili automatyczny pilot umiejętnie wcisnął się w lukę w strumieniu wozów pędzących ze

śródmieścia i Matilda poczuła, jak jej wóz nabiera szybkości. Za dziesięć minut będą na miejscu — myślała — znów go zobaczę... Rozstał się ze mną, jakby przeczuwał coś niedobrego. Powiedział wprawdzie jeszcze, że musi iść na pewne bardzo ważne spotkanie... Matilda chciała dowiedzieć się czegoś więcej, ale on nigdy nie lubił rozmów na tematy zawodowe. Nie wiedziała nawet dokładnie, gdzie pracuje, co w końcu nie było aż tak ważne. Każdy gdzieś pracuje, a co drugi nie jest nawet w stanie nazwać swego zawodu. Gdyby ktoś spytał Matildę, czym się zajmuje, też byłoby jej trudno to określić. Ot, jakieś drobne sprawy do załatwienia, czytanie wyników z komputera, czasami szkolenie osób przyjmowanych do pracy...

Wtedy, gdy zapytała go, o co chodzi, wzruszył tylko niecierpliwie ramionami i powiedział: „Och, Mad, moja mała Mad, zdecydowaliśmy się na dziecko, zaczniemy nowe życie... Czy to nie wystarczy, aby czuć się dziwnie? Muszę jednak przedtem uporządkować kilka spraw. Może już jutro wszystko będzie jasne. Rodzina to odpowiedzialność. Muszę już iść, Mad. Jutro kupimy nowy ekwipart. Spotkamy się jutro po południu. Wpadnę do ciebie prosto z pracy. Gdybym jednak nie przyszedł... Wiesz, co to jest testament?” Oczywiście wiedziała. „No więc coś w rodzaju testamentu zostawiłem w Banku Centralnym. Na twoje nazwisko. Nie rób takiej przerażonej miny, bo to wcale nie testament, tylko list. Do jutra.”

To było wszystko, co powiedział. Następnego dnia rano, tuż po telewizyjnych zajęciach z higieny psychicznej, zadzwoniła do niej pielęgniarka ze szpitala z wiadomością, że Albert zasłabł nagle i stan jego jest poważny. Dzisiaj mija siódmy dzień i ciągle nie odzyskał przytomności. Obserwowała go przez te dni leżącego nieruchomo, spowitego płataniną pulsujących przewodów... Patrzyła na niego przez szybę i ciągle miała nadzieję, że otworzy oczy, spojrzy na nią, a ona pomacha mu kwiatami. Dzisiaj też miała tę nadzieję, wierzyła, że wreszcie nastąpi przesilenie.

Ekwipart zjechał z sykiem z autostrady i po chwili stanął u wejścia do „Siódemki”. Matilda, ściskając w ręku wiązanek kwiatów, podeszła do automatu informacyjnego. Podała numer identyfikacyjny Alberta. Po sekundzie na monitorze pojawił się napis: „Widzenie pacjenta niemożliwe. Proszę zgłosić się do lekarza dyżurnego w godzinach od 11.00 do 12.00”. Matilda spojrzała na zegar; była dopiero dziewiąta. Bezradnie rozejrzała się i po chwili wahania wyszła przed szpital. Słońce zaczynało coraz mocniej przypiekać. Przejdę się trochę — postanowiła — w telewizji ciągle zalecają

spacery —ruszyła wolnym krokiem w kierunku krętej alejki, która wiodła w głąb Centrum Medycznego. Już, już znikwała za pierwszym zakrętem, gdy z podcieni szpitala wyszedł młody mężczyzna i równie wolnym krokiem udał się w ślad za nią.

Marten szybkim krokiem wyszedł z windy, pokazał przepustkę siedzącemu przy drzwiach strażnikowi i wszedł do niedużego pokoju. Usiadł ciężko na fotelu i otarł chustką spocone czoło. Zapowiada się niezły upał —pomyślał. — Wygląda na to, że się udało. Jeszcze tylko ten raport —zawsze, gdy rozmawiał z Szefem Służb Specjalnych, ogarniało go lekkie, niezauważalne na zewnątrz podniecenie. — Służba Specjalna powinna być zadowolona. Okazało się przecież, że to było lepsze wyjście niż najdłuższy choćby pobyt w Ośrodku Resocjalizacyjnym. Dobra ta klimatyzacja, choć suszy. Już mi lepiej —Marten wstał z fotela i zaczął nerwowo chodzić po pokoju. Spojrzał na zegarek: był kwadrans po dziewiątej. Wszystko układa się dobrze. Tej dziewczynie się jakoś wyperswaduje, a w ostateczności... Nie, to chyba nie będzie potrzebne. Wszystko wróci do normy. Nareszcie. A mało brakowało, aby wieloletni trud został zmarnowany. Nie w całości, rzecz jasna, ale zawsze...

Fragment przeciwległej ściany rozsunął się przy wtórze ledwo słyszalnego szumu i Marten usłyszał zmęczony głos Szefa:

— Niech pan wejdzie, profesorze.

Wszedł do gabinetu urządzonego w stylu późnego superindustrializmu.

— Napije się pan czegoś? —sucha twarz Szefa wykrzywiła się na kształt uśmiechu.

— Proszę o koktajl numer cztery — rzekł Marten i dodał: — Ten upał mnie zabija.

— Doprawdy? —rzekł Szef, naciskając klawisze automatu z napojami.

Z automatu wyjechały dwie szklanki napełnione zielonkawym napojem.

— Rozmawiał pan z nim dzisiaj? —ni to spytał, ni stwierdził Szef.

— Tak, istotnie — Marten zdawał się być lekko zaskoczony. —Właśnie wracam od niego. Ale skąd... Czy Annie...

— Nieważne. Co mówił?

— Wszystko przebiega tak, jak oczekiwałem — rzekł z ożywieniem Marten. — Przeprowadziłem z nim wstępny wywiad. Odchylenia od programu osobowości są w

normie. Zgodnie ze scenariuszem. Wybrałem mu zawód kuriera. Był on wskazany ze względów terapeutycznych. Nie ma żadnych krewnych ani znajomych. Zresztą nie będzie to go specjalnie interesowało. Jego ulubione rozrywki to seks, muzyka i poezja. Zamiłowanie do muzyki i poezji pozostały z jego poprzedniego życia. Musieliśmy zachować pewien zakres kontynuacji, aby nie narazić go na dezintegrację osobowości...

— Szczegóły mnie nie interesują.

— Tak jest, generale.

— Do rzeczy, profesorze — w głosie Szefa zabrzmiały ledwie wyczuwalne nuty niecierpliwości.

— Przez pierwsze dwa tygodnie będzie musiał być pod obserwacją i na wzmocnionych dawkach stabilizatorów. Są to normalne procesy adaptacji podświadomości. Dręczy go niepokój i prawdopodobna jest przejściowa utrata zaufania do otoczenia. Dlatego...

— Szczegóły naprawdę mnie nie interesują — rzekł Szef cierpko. — Czy na pewno nic sobie nie przypomni?

— Jest to biologicznie niemożliwe. Należy liczyć się tylko z jakimiś odruchami, których nie wyłowiliśmy w testach. Ale dla niego samego nie będą one zrozumiałe.

— Jakie jest prawdopodobieństwo, że może spotkać osoby, które znały go poprzednio?

— Możliwość taka oczywiście istnieje, ale nie przeceniałbym jej. Wardenson był samotnikiem. Właściwie znali go tylko członkowie Zespołu i zupełnie nieliczni uczeni spoza Zespołu. Zresztą program adaptacji przewiduje taką możliwość, choć, prawdę mówiąc, zmiana środowiska zawodowego i miejsca zamieszkania redukuje prawdopodobieństwo spotkania dawnych znajomych do nieistotnego minimum.

— A jego dziewczyna?

— Szansa ich przypadkowego spotkania ma się tak jak jeden do dwunastu milionów.

— Nie będzie go szukać?

— Nie, zostanie powiadomiona o jego śmierci.

— Czy kontaktowała się już z panem?

— Nie, ale spotkanie z nią będzie nieuniknione.

— Czy domyśla się, czym on się zajmował?

— Nie, nie sędzę...

— Dlaczego?

— Analiza jego pamięci nie wykazała, aby mówił

o tym komukolwiek spoza naszego kręgu. Na gruncie dotychczasowej wiedzy mogę z całą pewnością stwierdzić, że od niego nikt o tym nie wie. Zresztą zawsze był krańcowo dyskretny. To był przecież jeden z warunków dopuszczenia go do tej pracy.

— Tak, słusznie — stwierdził Szef. —Zatem możemy sprawę uznać za załatwioną.

— W zasadzie tak...

— W zasadzie? —Szef spojrzał na Martena z nagłym zainteresowaniem. — Czy nie jest pan tego pewien?

— Z teoretycznego punktu widzenia nigdy nie można mieć absolutnej pewności. Ale nie to jest najważniejsze. Otóż mnemograf nie jest jeszcze urządzeniem doskonałym. Dysponujemy jedynie fragmentami obrazów pamięciowych, z których rekonstruujemy mniej więcej całościowy model. Ale... są to szczegóły być może niezupełnie na miejscu — spojrzał uważnie na Szefa i ciągnął dalej: — Udało nam się tylko ustalić, że on wiedział, że jestem przygotowany do takiego eksperymentu. Może nawet liczył się...

— Bardzo to interesujące — wtrącił Szef. — Proszę, niech pan mówi dalej...

— Ten wniosek jest jednak zbyt pochopny...

Tak?

— Niestety — Marten rozłożył bezradnie ręce — tutaj akurat odczyt rwie się. Jakieś obrazy czy skojarzenia... jakieś notatki... Ale to wszystko, o czym mówię, wynika raczej z interpretacji danych niż bezpośrednio z odczytu. Być może jestem przewrażliwiony i chodzi tutaj po prostu o to, że jako członek Zespołu wiedział o planowanym eksperymencie. Nie wiem, naprawdę nie wiem, ale testy wykazały, że często

o nim myślał. Może jednak powiedział coś tej dziewczynie?

— Czy nie chodzi tu o informacje znane każdemu członkowi Zespołu?

— Niewykluczone, chociaż zastanawia mnie fakt, że ten zapis pamięciowy został

niedawno wyraźnie rozbudowany.

— Proszę dostarczyć kopie protokołu eksperymentu kapitanowi Vittoliniemu. Czy mamy o nie wystąpić formalnie?

— Nie jest to konieczne.

— To wszystko. Dziękuję panu.

Marten dopił koktajl, wstał i skierował się do drzwi.

— Aha, profesorze, on już nie będzie mógł wrócić do Zespołu?

— Nie.

— Szkoda. Taki mózg... Do widzenia panu.

— Do widzenia — Marten skłonił się lekko i wyszedł.

Drzwi zasunęły się równie cicho jak przedtem.

A teraz do szpitala —pomyślał. — Szef niezupełnie mi ufa. Jak go przekonać, że wart jestem tego? Wiedzą o mnie wszystko, a mimo to są podejrzliwi.

Na początku konurbacji, tam gdzie strzelista sylweta centrum rozpełza się w mrowie niskiej nadbrzeżnej zabudowy, stał domek podobny z pozoru do tysięcy innych, a jednak niezupełnie taki sam. W narożnym pokoju wszystkie okna były zasłonięte ciężkimi storami, jakby jego mieszkańcy zapomnieli o słonecznym poranku. W domku tym jednak nikt nie spał. W tymże narożnym pokoju przy prostokątnym stole z pomarańczowego plastyku siedziało dwóch mężczyzn, zaś trzeci chodził nerwowo po pokoju.

— Karden powinien już być. Nigdy się przecież nie spóźnia.

— Siadaj, Długi, bo pomyślę, że się denerwujesz —rzekł jeden z siedzących przy stole mężczyzn, po czym wyjął fiolkę z pastylkami. —Weź, to ci dobrze zrobi, kotku.

— Daj spokój, Webb! Wiesz dobrze, że nie jem tych wszystkich świństw —Długi z niesmakiem spojrzał na fiolkę. — Która godzina, Cox?—zwrócił się do drugiego siedzącego.

— Jeszcze w normie: dziesiąta i jedna minuta.

— Może Kardenowi nie udało się zdobyć tych informacji? Z instrukcji Sponsora wynika, że materiały te mają znaczenie podstawowe. Bez ostatecznego stwierdzenia, że zabieg został wykonany, nie wolno nam rozpocząć.

— Robisz sprawę z minuty opóźnienia —zaczął pojednawczo Webb. —Może

jednak weźmiesz pastylkę?

Długi spojrzał na niego z hamowaną złością.

— Nie? No, to nie — Webb pośpiesznie schował fiolkę do kieszeni, nie zapominając wszakże o zażyciu jednej pastylki. — Ale ci powiem, Długi, że na tym naturalnym żarciu daleko nie zajedziesz. Niby masz dobrze poukładane w głowie, ale...

— Przestań, Webb — wtrącił Cox. — Mdło się robi od twojego gadania.

Od drzwi dało się słyszeć dwukrotne uderzenie gongu. Webb zerwał się jak kot i stanął w wyczekującej pozie za drzwiami. Długi skinął na Coxa, a sam usiadł za stołem. Uderzenie gongu powtórzyło się, tym razem jakby natarczywiej. Cox spojrzał w wizjer i otworzył drzwi.

W progu stanął wysoki mężczyzna ubrany w modny, kwiecisty garnitur.

— Masz pięć minut spóźnienia, Karden — rzekł z przyganą Długi. — Załatwiłeś wszystko?

— Tak — Karden rzucił na stół torbę — wszystko poszło zgodnie z twoimi przewidywaniami.

— Nie mówiłem, że ma dobrze...— zaczął Webb, który tymczasem znów rozwalił się w fotelu w swej ulubionej, półleżącej pozie.

— Zamilcz! — syknął Cox.

Długi wyjął z torby cztery kasety i znów zwrócił się do Karden:

— Oryginały zostawiłeś?

— Jak było ustalone.

— Czy mogą się zorientować, że to mamy?

— Nie wydaje mi się — Karden sięgnął po fiolkę.

— Widział cię ktoś?

— Długi... — Karden spojrzał na niego z wyrzutem.

— W porządku. Nie strój min, Webb, bo nie ty odpowiadasz za akcję — Długi przez chwilę mocował się z zatraskiem mini-magnetowidu. Na monitorze kontrolnym pojawiły się bladospine refleksy, a po chwili obraz małej salki operacyjnej.

Na stole leżała naga postać mężczyzny. Jego ciało spowite było plątaniną różnokolorowych kabli i przewodów.

— To właśnie ten? — upewnił się Długi.

— Tak, miałem okazję dobrze zapamiętać tę twarz — odrzekł Karden i zerknąwszy do notatek dodał: —Albert Wardenson, lat czterdzieści osiem, członek Zespołu Ekspertów od czterech lat. Dostał się tam już po dwuletnim stażu kandydackim.

— Wiem —przeciął Długi.

Za pulpitem operacyjnym siedział krępy mężczyzna w szafirowym kombinezonie.

— To Marten — ni to stwierdził, ni spytał Długi.

— Tak, to on — Cox przytaknął na wszelki wypadek. Obserwował go już od blisko tygodnia. Inni też dobrze znali jego twarz. Wszak często pojawiała się w telewizji.

— Ten to ma dobrze, kotku —jęknął Webb.— Płacą mu za smarknięcie.

— Zamknij się! —warknął Cox.

— Ciszej... — Długi przesunął dźwignię potencjometru. Z głośnika odezwał się głos Martena:

— Mnemografia zakończona?

Kamera odjechała i w kadrze ukazała się dziewczyna, która obserwując bacznie przyrządy, odrzekła:

— Jeszcze nie, profesorze. Zaczynam ostatnią fazę.

Twarz dziewczyny skryta w połowie za panoramicznymi okularami rozjaśniła się zawodowym uśmiechem.

— To ona? —znów upewnił się Długi.

— Tak, to Ann Duray. Osobista asystentka Martena.

— Powiązania z pionem Służb Specjalnych Zespołu?

— Rzecz jasna — stwierdził Karden. —Przecież nie pozwoliliby pracować Martenowi z kimś z zewnątrz.

— Do rzeczy maszynka —młasnął Webb. —Pewnie sobie profesorek nie żałuje.

— Zamknij szczelnie twarz, Webb —jęknął Długi.— Twoje uwagi doprowadzają mnie do szału.

Z głośnika magnetowidu wydobył się głos Ann:

— Mnemografia zakończona. Wynik pozytywny.

— Zaczynamy korekty pamięciowe — rzekł beznamiętnie Marten.—Wejście w porządku?

- Tak jest.
- Luka A.
- Jest luka A.
- Naprowadzaj scenariusz numer jeden.

Ann zaczęła wolno przesuwając dźwignię. Na ekranie przyrządu dwie krzyżujące się linie drgnęły, zaczęły nakładać się na siebie i po chwili zlały się zupełnie.

- Scenariusz numer jeden naprowadzony.
- Luka B.
- Jest luka B.
- Naprowadzaj scenariusz numer dwa.

Długi spojrzał nerwowo na zegarek.

—To wystarczy. Już wiemy, że zabieg został wykonany. Sponsor miał dobre informacje.

—Długi, popatrz na końcowy fragment ostatniej taśmy —wtrącił Karden. —Jest tam coś, co z pewnością cię zainteresuje.

—Dawaj ten fragment, byle szybko. Mamy tylko dwadzieścia minut, a musimy jeszcze dokładnie powtórzyć plan działania.

Karden przebierał chwilę w kasetach, po czym jedną z nich włożył do magnetowidu. Na monitorze pojawiła się ta sama salka operacyjna. Albert był już odłączony od aparatów. Leżał bez ruchu, a jedynym znakiem życia był jego powolny, miarowy oddech. Marten pochylił się nad nim i rzekł do Ann:

—Oto narodził się nowy człowiek. Będzie chyba szczęśliwszy, prawda?

—Na pewno. Pana scenariusze, profesorado, nie mogą przynieść innego skutku.

—Gdybym i ja mógł mieć tę pewność... —Marten przysiadł na stole operacyjnym i ujął Alberta za rękę. —Jeśli przewidywania okażą się trafne, to jest on pierwszym świadectwem. — Marten spojrzał na Ann i poprawił się: —Pierwszym żywym świadectwem nowej epoki w nauce. Trochę żal, że o tym sukcesie będzie wiedziało zaledwie kilka osób.

—Dużo jest odkryć, o których wiedzą nieliczni.

—Tak, Annie, wiem o tym. Są również takie odkrycia, o których wie tylko odkrywca.

—Ten sukces, profesorado, ma żywotne znaczenie dla Zespołu. To chyba

ważniejsze niż kapryśny poklask tłumu — głos Ann nabrał twardości.

—Masz rację —rzekł w zamyśleniu Marten, ciągle wpatrując się w nieruchomą twarz Alberta. —Tłum jest groźny. Nieobliczalny. Pozbawiony kontroli, zniszczyłby sam siebie.

— Przygotuję panu koktajl, profesorze —głos Ann znów nabrał łagodności. —Ten zabieg był męczący.

Na zbliżeniu twarz Martena wyglądała znacznie starszej niż w telewizji. Spozza kadru dał się słyszeć szmer pracującego automatu z napojami i miękki, jakby wyciszony przez reżysera dźwięk głosu Ann:

— Pamięta pan, co stało się po ogłoszeniu przez pana metody wygaszania dewiacji społecznych? Nie pracował pan wtedy dla Zespołu, za co zresztą poleciał Szef Służb Specjalnych.

— Nie przypominaj mi o tym — Marten poruszył się niecierpliwie. —To był mój błąd.

— Szkód nie udało się do tej pory naprawić, choć minęło ponad dziesięć lat — ciągnęła nieubłaganie Ann. —Proszę koktajl.

Marten wziął z jej rąk szklanekę napoju i rzekł:

— Pierwsza udana operacja, i to na byłym członku Zespołu. Czy to nie paradoksalne?

— Tacy ludzie jak on są niebezpieczni dla innych. Są niczym detonatory w ładunkach wybuchowych. Pan zapobiegł reakcji łańcuchowej i stworzył mu szansę na nowe życie. Czy to nie jest piękne?

— Czy naprawdę jemu stworzyłem szansę?— Marten zwiesił głowę. —Przecież Wardensona już nie ma...

Długi spojrzął zdezorientowany na Kardena.

— Co ty mi tu za kawałki puszczasz? Chcesz, żeby Webb popłakał się ze wzruszenia?

— Poczekaj — rzekł Karden. —Jeszcze chwila. A ty, Webb, przestań mlaskać na jej widok.

Marten zwrócił się wprost do kamery:

— Dyktuję do protokołu operacji: nowe nazwisko pacjenta —Dogow, Ira Dogow. Wstępne badania pooperacyjne nie wykazały symptomów powikłań.

Wszystkie reakcje pacjenta w normie. Jeszcze dziś wieczorem umieszczamy go w jego nowym mieszkaniu. W rejestrze Służb Specjalnych Zespołu jest to apartament — Marten zajrzał do notesu — numer sto trzydzieści osiem. Pacjent obudzi się jutro około południa.

Przez pierwsze dwa tygodnie będzie pod stałą opieką Ann Duray. Te dwa tygodnie to wstępny okres adaptacji podświadomości do nowych warunków. Dokładna analiza mnemograficzna wykazała, że pacjent myślał o tym eksperymencie i że jednak w tę sprawę są uwikłane osoby trzecie. Nie udało się, niestety, ich zidentyfikować. Wiadomo tylko, że istnieje bardzo silna korelacja dodatnia między tą nie znaną osobą lub osobami a planami życiowymi pacjenta, które jednak zostały sformułowane w poprzedniej strukturze jego osobowości.

Mnemogram zostanie jeszcze poddany szczegółowej analizie stochastycznej, a jego interpretacja będzie zakończona w terminie najbliższych trzech dni. Można jednak już teraz przypuszczać, że niebezpieczeństwo zostało zażegnane. Dawna osobowość została poddana istotnej przemianie, a podstawowe popędy zorientowano na osiągnięcie nowych, neutralnych celów. Koniec notatek bieżących.

Ekran zamigotał i zgasł. Długi popatrzył przeciągle na Kardenę:

— Interesujące... Zwłaszcza te „osoby trzecie”. Musimy się śpieszyć...

— Myślisz, że Służby Specjalne złapały trop Sponsora? — spytał od niechcienia Cox.

— Możliwe... A jeśli nawet? — Długi spojrzał uważnie na Coxa. — Czyżbyś zaczynał się bać?

Cox zmieszał się i tylko wzruszył ramionami. Tymczasem Długi ciągnął dalej:

— I tak jesteśmy już w to zamieszani. Od blisko dwóch tygodni prowadzimy obserwację Martena, Matildy Lorret i Wardensona. Od początku wiedzieliśmy, w co się bawimy. Nieprawdaż, Webb?

— Nie tak ostro, kotku — rzekł Webb pojednawczo. — Nikt tu nie chce się wycofywać. Sponsor płaci dobrze, więc po co ten cyrk!

— A poza tym — dodał Karden — trop może im się urwać... w morzu.

— Nie myślisz chyba, że Sponsor mieszka po tamtej stronie? — spytał ostrożnie Webb.

— Koniec tych dyskusji! — przeciął Długi. — Kimkolwiek jest Sponsor, wykonamy

jego zlecenia rzetelnie. A instrukcje są jasne, prawda?

Skoro tylko Marten opuścił gabinet, Szef uruchomił przycisk na biurku. Na monitorze pojawiła się pociągła, lekko już pomarszczona twarz sekretarza.

— Przyślijcie tutaj kapitana Vittolini.

— Tak jest, generale —monitor zamigotał i zgasł. W dwie minuty później Vittolini meldował się służbiście tuż za progiem gabinetu Szefa.

— Siadajcie — rzekł Szef, wskazując fotel po drugiej stronie swojego rozłożystego, w pełni zautomatyzowanego biurka — i słuchajcie uważnie.

Vittolini, młody, dobrze zapowiadający się specjalista Służb Specjalnych, usiadł na brzegu fotela, jakby w ten sposób chciał podkreślić swoje pełne skupienie.

— Przed chwilą był u mnie Marten. Mam niejasne przeczucie, że on coś kręci. Wprawdzie wszystkie raporty podporucznik Duray sugerowały jego całkowitą lojalność, ale trzeba być ostrożnym. Bo i sprawa jest szczególnej wagi. Zwłaszcza że Duray pilnuje Wardensona. Weźcie więc profesora pod dyskretną obserwację.

— Tak jest, generale.

— Dyskretnie — rzekł Szef —rozumiecie?

— Tak jest.

— Weźcie też od Martena komplet materiałów dotyczących tej operacji.

— Jak to? —Vittolini zdawał się być zaskoczony.

Szef spojrzał nań przenikliwie.

— Kiedy wy, kapitanie, oduczycie się traktować swoich przełożonych jak skończonych idiotów?

— Generale...—wyjąkał zmieszany Vittolini.

— Weźmiecie więc komplet materiałów —ciągnął dalej Szef —i przekażecie wszystko do Sekcji Badań i Oceny wraz z moim poleceniem, aby dokładnie porównali je z naszymi kopiami. Niech mi zameldują, jeśli wykryją jakieś niezgodności, próby zafałszowań lub coś w tym rodzaju. Musimy być pewni Martena. Ostatecznie Wardenson zdawał się pewniejszy niż Marten. Ci intelektualiści są nieobliczalni.

— Racja.

Szef spojrzał podejrzliwie.

— Nie po to was wezwałem, abyście przyznawali mi rację. Wyniki waszych

testów są też podejrzenie wysokie, a wasze koneksje rodzinne...

— Nie mam już żadnej rodziny, generale —przerwał oschle Vittolini.

— No, do rzeczy. Ta dziewczyna Wardensona. Jak jej tam?

— Matilda Lorret —podpowiedział.

— No więc, co ona teraz robi?

Vittolini spojrzął na zegarek.

— Trzyście minut temu siedziała na ławce w parku Centrum Medycznego, czekając na wizytę u Martena.

— Czy ona już wie?

— Dowie się za trzydzieści minut. Marten jest w drodze do „Siódemki”.

— Skąd ta pewność?

— Pozwoliłem sobie, generale, umieścić przy nim nadajnik.

— Doskonale, Vittolini. Jeżeli jeszcze nauczycie się myśleć tylko wtedy, kiedy potrzeba, to może dojdziecie do czegoś. Kto obserwuje tę Lorret?

— Cown, Theo Cown.

— To ten od akcji w metrze?

— Ten sam, generale. Poleciał pan zaangażować najlepsze siły. Każdy ruch Matildy Lorret jest w polu naszego widzenia.

— To dobrze. Marten podejrzewa, że ona może coś wiedzieć. — Spod zmęczonych, nieco spuchniętych powiek spojrzęło na Vittoliniego dwoje wyblakłych, beznamiętnych oczu.

— Rozumiem, generale.

— Być może rzeczywiście coś wie, tylko jeszcze nie zdaje sobie sprawy z wagi tej informacji. Tak czy owak musicie ją mieć na oku, byle dyskretnie! —wyblakłe oczy Szefa znów spotkały się ze wzrokiem Vittoliniego. —Naszym podstawowym zadaniem jest ochrona tajemnic Zespołu, a tym samym ochrona bezpieczeństwa Apostezjonu. Reszta ma znaczenie drugorzędne. Sprawdźcie jeszcze, czy w ostatnim miesiącu Wardenson kontaktował się z kimkolwiek z tamtej strony. Jasne?

— Oczywiście! —Vittolini skwapliwie przytaknął.

— To wszystko — Szef podniósł się z fotela i niemal w tej samej chwili uczynił to samo Vittolini.— Aha, żadna z osób z otoczenia Wardensona nie powinna opuszczać Wyspy w najbliższym miesiącu. Pamiętajcie, aby o każdej zmianie sytuacji meldować

mi natychmiast.

Yittolini skłonił się nieznacznie i wyszedł z gabinetu sprężystym, a jednocześnie miękkim krokiem, który nabywało się po latach treningu w Ośrodkach Specjalnych.

Matilda nerwowo spojrzała na zegarek. Zostało pięć minut. Albert na pewno jeszcze nie odzyskał przytomności. W przeciwnym razie mogłabym go odwiedzić. Mój Albert...—pogłaskała machinalnie wiązanekę gerberów. Spadło to na niego tak nagle. Mało jest przecież dzisiaj rzeczy, które zdarzyć się mogą zupełnie nieoczekiwanie. A już zupełnie rzadko zdarzają się nieoczekiwane choroby. I musiało trafić właśnie na Alberta, i to dokładnie wtedy, gdy postanowili wreszcie założyć rodzinę. Matilda czuła się głęboko skrzywdzona niesprawiedliwością losu.

W podcieniach „Siódemki” nie było nikogo. Podobnie w przestronnym, owalnym holu. Matilda podeszła do automatu informacyjnego i —jak poprzednio —podała nazwisko Alberta. Na monitorze ukazał się napis: „Proszę przejść do pokoju nr 14”. Matilda rozejrzała się niepewnie: nie dostrzegła jednak nikogo i ruszyła w głąb korytarza. Trafiła dobrze i po chwili ujrzała drzwi opatrzone numerem 14. Zawahała się przez moment; w oczy rzuciła się tabliczka z napisem: „Profesor A. Marten. Dyrektor Naczelny”. Sam Marten zechciał ze mną rozmawiać — targnęła nią fala niepokoju. Uchyliła drzwi, zza których dobiegł głos profesora:

— Proszę niech pani wejdzie...

— Dzień dobry, profesorze, nazywam się...

— Wiem, jak się pani nazywa — Marten wstał zza biurka i podprowadził ją do fotela. — Bardzo proszę, pani Lorret, niech pani siada. Czego się pani napije? —nie czekając na odpowiedź, nacisnął klawisze automatu z napojami.

— Nie chciałabym robić kłopotu...—wyjąkała.

— Chcę się tylko dowiedzieć, co z Albertem.

— Wszystko sobie opowiemy —rzekł Marten, podając jej szklanekę napoju. — Proszę, napijmy się— sam pociągnął ze swojej szklanki spory łyk.

Matilda bezwiednie napiła się. Poczuła w ustach przyjemny smak i w chwilę potem opuścił ją ów dręczący niepokój. Popatrzyła ufnie na Martena i zapytała:

— Czy już wiadomo, co z Albertem?

— Droga pani Lorret —rzekł powoli Marten —musi pani być dzielna.

Przez Matildę przeszedł dreszcz, który jednak nieomal w tej samej chwili rozplynął się, jak urojony obłok kurzu w wiejskim skansenie. Tak się męczy — pomyślała leniwie — chce mi powiedzieć coś niemiłego, a nie ma na to najmniejszej ochoty. Jest taki dobry dla mnie. Żal mi go.

— Niech pani będzie dzielna —powtórzył Marten z naciskiem i patrząc na nią uważnie, dodał: —Albert nie żyje.

— Nie żyje? —Matilda była zdziwiona.—Jak on może nie żyć? —myśli jej rwały się. —Przecież leczył go Marten...

— Mimo naszych wysiłków nie udało się —głos profesora był pełen rezygnacji.— Zrobiliśmy wszystko, co można było zrobić...—jego głos dolatywał jakby przez kłęb miękkiej bawełny. — Czy pani dobrze się czuje?

— Tak, profesorze — rzekła z wyraźnym wysiłkiem— nic mi nie jest...

— Był to przypadek, którego nie notowały jeszcze kroniki medycyny. —Głos Martena niczym wąż prześlizgiwał się przez zwoje dźwiękochłonnego powietrza. -

— ...przykro, bo nawet nie potrafimy na razie dokładnie stwierdzić...—głos Martena to zbliżał się, to oddalał.

— Panie profesorze! —Matilda chwyciła kurczowo poręcz fotela. — Chcę go zobaczyć. My mieliśmy,, to znaczy, chcieliśmy założyć...

— Droga pani Matildo —przerwał jej łagodnie Marten. —Niestety, jest to niemożliwe. Sama pani rozumie, że musieliśmy dokładnie zbadać przyczyny jego zgonu. Jest to przecież kwestia bezpieczeństwa innych ludzi.

— Zaprowadźcie mnie do niego —rzekła Matilda rozedrganym głosem. — Muszę go jeszcze zobaczyć.

— Rozumiem pani ból i szczerze pani współczuję —Marten ujął ją za rękę—ale, niech mi pani wierzy, to naprawdę jest niemożliwe. Prowadzimy bardzo dokładne badania...

Matilda spojrzała na niego niezupełnie przytomnie. Ciągle bowiem to, co mówił, nie docierało do niej w pełni. Wiedziała jednak, że przyszła do Alberta i ten oto człowiek chce jej w tym przeszkodzić.

— Profesorze...—zaczęła znowu tym samym błagalnym, choć nieustępliwym tonem —nie mogę odejść tak po prostu. Ja muszę go zobaczyć. Przecież pan powiedział... /

— Niech się pani napije —Marten podsunął jej niedopity koktajl —to panią wzmocni.

Matilda pociągnęła nerwowo kilka łyków, a Marten mówił dalej:

— Bardzo chciałbym pani pomóc, ale tej jednej prośby nie mogę spełnić — spojrzał na nią badawczo.

— Podczas badań jego dało zostało rozłożone na tkanki. To było niezbędne... Czy mogę pani w czymś pomóc?

— Nie, dziękuję...—Matilda wstała, przewyciężając rozdygotaną słabość. Pójdę...Ja muszę to sobie uporządkować, profesorze. Tak mi przykro... —myśli znów zaczęły się rwać. —Do widzenia.

Wyszła z gabinetu. Na poręczy fotela czerwieniła się wiązanka zapomnianych gerberów. Matilda wyszła - wolno przed szpital i oparła się znużona o jeden z filarów podcieni. Stopniowo opuszczała ją owa nieznośna ociążałość myśli. I wówczas zaczął do niej docierać prawdziwy sens tego, co się stało. Nie ma Alberta. Nie ma nawet jego ciała. Przecież to niemożliwe. Marten nie powiedział jej nawet, kiedy to się stało. Nagle z całą wyrazistością przypomniały się jej ostatnie słowa Alberta: „Wiesz, co to jest testament?... - To wcale nie testament tylko list”. Czyżby Albert spodziewał się czegoś niedobrego? Może nawet przeczuwał swą śmierć? Zawróciła, aby ponownie porozmawiać z Martenem. Drzwi jednak nie ustąpiły. Nacisnęła kilkakrotnie przycisk dzwonka. Bez skutku. Wówczas ogarnęła ją fala bezsilnej wściekłości. Biła w nie, kalecząc ręce o ostre okucia. Kopała twardą imitację drewna i krzyczała: Co z nim zrobiliście? On nie był wcale chory! Oddajcie mi go!

Z podcieni wyszło dwóch mężczyzn, niosących rozpostarty kaftan bezpieczeństwa: Z widoczną wprawą zarzucili go na Matildę, po czym unieśli ją do czekającego nie opodal ekwipartu.

Ira stał wsparty o niewysoki parapet okna: Sącząc -i wolno jeden ze swoich ulubionych koktajli, słuchał ; monotonnego głosu radioautomatu. „Dziś w godzinach porannych na skraju autostrady X-dwanaście w pobliżu rozjazdów nadbrzeżnych, znaleziono ciała dwóch młodych mężczyzn. Zmarli z powodu przedawkowania energosolu. Są to kolejne ofiary nieprzystosowania. W dalszym ciągu apelujemy do ludności Apostezjonu, aby powiadamiała placówki Służb Specjalnych o wszelkich

przejawach pokątnego handlu lekami lub alkoholem. Tu chodzi o zdrowie i o życie obywateli. Działalność garstki kombinatorów ciągnących zyski z ułomności kilku temporystów musi spotkać się ze słusznym oburzeniem i sprawiedliwym osądem zdrowej części naszego społeczeństwa. Dlatego jeszcze raz apelujemy: w trosce o zdrowie i życie swoich braci, którzy mogą powrócić do normalnego życia, ujawniajcie wszystkie znane wam przypadki pokątnego handlu lekarstwami lub alkoholem.

Wiadomości z zagranicy. W Albertslund czterech anarchistów opanowało siedzibę władz miejscowych. Cały zarząd gminy, który został zaskoczony podczas debaty nad perpektywicznym planem poprawy sytuacji osób żyjących poniżej oficjalnej granicy ubóstwa, jest trzymany przez terrorystów pod kluczem. Rzecznik tzw. Światowej Organizacji Anarchistycznej nie zabrał jeszcze w tej sprawie głosu. Nie wiadomo więc, czego będzie się żądać za zwolnienie zakładników.

Neostezjon. Jeden z robotników zatrudnionych w tamtejszych zakładach oczyszczania miasta targnął się na swoje życie. Spóźniona pomoc lekarska nie odniosła skutku. Jak powiedziała naszemu korespondentowi rodzina zmarłego, motyw samobójstwa miały charakter polityczny. Tamtejsza telewizja, usiłując zatuszować rzeczywiste przyczyny dramatu, nie wspomniała o tym fakcie, zaś lokalna prasa odnotowała go zaledwie w kronice wypadków, sugerując, iż stało się to wskutek nieostrożności zmarłego. Fakt ten jeszcze raz pokazuje, na czyich usługach są środki masowego przekazu po tamtej stronie świata.

Kosmostezjon. Dziś w godzinach porannych zanotowano w mieście wstrząsy ziemi (dwa stopnie w skali Richtera). Ofiar w ludziach nie było.

Omastezjon..."

Ira tak rozmieścił głośniki radioautomatu, że mógł wysłuchać najnowszych wiadomości w każdym miejscu domu. Gdy zaś włączył przystawkę wielogłosową, jego cztery pokoje rozbrzmiewały gwarem, jakby odwiedziła go gromada przyjaciół. Według jego życzenia głosy te kłóciły się i przekrzykiwały radośnie, mówiły o sprawach smutnych, ale też potrafiły śmiać się zaraźliwie.

Ira zżył się z tymi głosami; czuł się w swoim domu naprawdę dobrze. Znacznie lepiej niż w jakimkolwiek innym miejscu. Nie lubił specjalnie ludzi, co nie znaczy, by odnosił się do nich wrogo. Po prostu wolał być z sobą. Wiedział, czego może się po sobie spodziewać. A inni ludzie są tacy nieobliczalni; nigdy nie wiadomo, co

naprawdę myślą, nigdy nie można mieć absolutnej pewności, że zachowają się tak, a nie inaczej. Jest się częścią ich świata, czy się tego chce, czy nie. Co innego automat. Zachowuje się ściśle według programu, a program można dowolnie modelować. Lubił swój dom, lubił do niego wracać. Obcowanie ze skomplikowaną materią realnego świata pozwalało mu pełniej cieszyć się powrotami do domu. Pozwalało też wprowadzać do domowego programu życia pewne innowacje. Bezpieczne innowacje, bowiem nie naruszały one jego osobowości, ale pozwalały mu ją kształtować zgodnie z jego własną wolą, a nie na skutek mniej lub bardziej przypadkowych interakcji z innymi ludźmi. A czyż istotą człowieczeństwa nie jest umiejętność panowania nad przypadkami? Ów realny, harmonijny w zasadzie, ale niezupełnie stabilny świat nie mógł konkurować z jego własnym światem, stworzonym przez niego i jemu tylko podporządkowanym. Ot. choćby ta pielęgniarka, Annie —Ira spojrział na nią niechętnie. — Siedzi zwinięta w fotelu i czyta, ale kto może wiedzieć, co ona robi za chwilę? Ira znów spojrział na Ann, która oderwała na chwilę wzrok od książki.

— Czy panu coś podać?

— Nie, dziękuję. Czuję się zupełnie dobrze. Myślę, że tracisz zupełnie niepotrzebnie czas. Profesor naprawdę postawił mnie na nogi.

— Panie Dogow, nie może pan...

— Nie mów do mnie po nazwisku. To mnie onieśmiela.

— Dobrze, proszę pa... jak chcesz, Ira — poprawiła się.

— Powiedz mi, Annie, czy wy spodziewacie się u mnie jakichś komplikacji?

— Nie, skąd — rzekła niedbale —po prostu zwykły tok rekonwalescencji.

— Na pewno?

— Na pewno. Czy odczuwasz jakiś niepokój?

—Annie spojrziała na niego badawczo.

— Nie, nie! —zaprzeczył żywo.

Ann badawczo lustrowała jego twarz. Ira doznał nagle niejasnego przeświadczenia, że coś przed nim ukrywa. Muszę to wszystko sobie uporządkować. Tydzień temu miałem wypadek — Ira dyskretnie przesunął ręką po potylicy, tam gdzie rano odczuwał ból.

— Boli? —zapytała czujnie Ann.

— Nie...—zmieszał się nagle, jakby przyłapano go na czymś niestosownym.

Ann jeszcze raz zlustrowała go uważnym spojrzeniem, po czym wróciła do przerwanej lektury.

Dlaczego ona na mnie tak patrzy? —pomyślał z wysiłkiem. —Jakby się mnie bała. Nic nie pamiętam,

nic nie pamiętam... Czy można tak doskonale zapomnieć wypadek? —znów powrócił ów poranny, szarpiący niepokój. —Dlaczego zupełnie nie pamiętam wypadku? Marten jest doskonałym fachowcem — próbował sobie perswadować. — On nie zajmuje się pospolitymi przypadkami. Musiałem być mocno pokiereszowany.

Coś jednak ukrywają. Dlaczego? —starannie modulowany głos radioautomatu nie docierał do niego.— Z obawy o moje zdrowie, to jasne —przemawiał głos rozsądku. — A może z innych powodów? — jątrzył niepokój. —Jak sprawdzić, czy nie jestem oszukiwany? Jak to sprawdzić? Chyba wiem! —pomyślał z rosnącym podnieceniem i w tym momencie poczuł na sobie uważny wzrok Ann. Aby pokryć swoje zmieszania, zapytał szybko:

— Czy będę dzisiaj mógł pójść do pracy?

— Czyżbyś zapomniał, że profesor dał ci miesiąc zwolnienia? —uśmiechnęła się Ann. — Będziesz pod moją opieką przez najbliższy tydzień. Myślę, że potrafimy sobie jakoś uprzyjemnić ten czas, prawda?

— Wiesz, Annie, w pracy nie lubią, gdy ktoś dla byle głupstwa zostaje w domu.

— Profesor wszystko załatwił. Tak bardzo zależy ci na tej pracy?

— Lubię ją, to fakt, ale nie tak bardzo, abym nie mógł jej zmienić. Tu chodzi o coś innego: czuję się lepiej, gdy wiem, że zrobiłem wszystko, co do mnie należy — rzekł ostrożnie.

— No więc teraz należy do ciebie współpraca w zabiegach rekonwalescencyjnych. Musisz dołożyć starań, aby adaptacja, to znaczy rekonwalescencja, przebiegała prawidłowo — powiedziała Ann i ponownie zagłębiła się w lekturę.

— Jeszcze jedno... — Ira na chwilę zawiesił głos.

— Tak? — Ann spojrzała na niego znad książki.

— Czy wasz program rekonwalescencji przewiduje spacer?

— W zasadzie... — Ann zawahała się —profesor nie zabronił tego. Ale też nie

zalecał — dodała pospiesznie. — Jeśli ci będzie na tym bardzo zależało, to pójdziemy na spacer, zgoda?

Ira wyłączył radioautomat i nieco ociężałym krokiem ruszył do sąsiedniego pokoju.

— Gdzie idziesz?

Spojrzał na nią ze zniecierpliwieniem.

— Do drugiego pokoju. Posłucham radia w samotności. Pozwolisz?

— Oczywiście.

Ira zamknął za sobą starannie drzwi. Postawił nie dopity koktajl na stoliku, ponownie włączył radioautomat, po czym zagłębił się w fotelu.

Z głośnika dobył się melodyjny głos:

— Słucham?

— Podaj mi kronikę wypadków sprzed siedmiu dni.

Szef przeglądał właśnie meldunki Wydziału I, gdy sekretarz zaanonsował Vittoliniego.

Po chwili kapitan stanął w drzwiach i zameldował się regulaminowo.

— Podejdźcie, kapitanie — Szef wskazał mu fotel.— Sprawa jest bardzo poważna, więc Ograniczcie formalny ceremoniał do niezbędnego minimum. Co nowego?

— Dziewczynę Wardensona musieliśmy zabrać sprzed szpitala.

— Więc Wardenson jednak się jej zwierzył?

— Niestety, jeszcze tego nie wiemy.

Przez twarz Szefa przemknęła złowroga fala gniewu. Spojrzał na Vittoliniego zimno i powiedział:

— To po co, do diabła, zwinęliście ją?

— Zaczęła się awanturować...

— Choćby stawała na głowie, to jeszcze nie usprawiedliwiłoby waszego kroku.

— Generale... — Vittolini usiłował uspokoić Szefa, choć ten ani o ton nie podniósł głosu.

— Zrozumcie, kapitanie, że ona jedynie na wolności coś dla nas znaczy. Chyba

nie chcecie przekazać jej do Sekcji Przesłuchań?

— Nie, generale — Vittolini znów przerwał Szefowi. — My jej nie zamknęliśmy; nie ma pretekstu, który pozwoliłby ją poddać przesłuchaniu specjalnemu.

— To co z nią, do diabła, zrobiliście? Mówże składniej, jak na oficera Służb Specjalnych przystało.

— Po prostu — Vittolini tłumaczył cierpliwie, już przyzwyczajony do zgryźliwości Szefa — po prostu moi ludzie, przebrani zresztą za pielęgniarzy, wzięli ją z „Siódemki”, dali jej zastrzyk uspokajający i wsadzili w centrum miasta do jej własnego ekwipartu. Nie mogliśmy przecież dopuścić do niekontrolowanego zbiegowiska.

— Czy ona nie domyśli się, że to my?

— Nie daliśmy jej najmniejszego powodu do takich podejrzeń — rzekł z przekonaniem Vittolini.

— Co ona teraz robi.

— Jeszcze siedzi w ekwiparcie. Dokładnie tam, gdzie ją wsadziliśmy.

— Czy nie dostała za dużej dawki? — zaniepokoił się Szef.

— Nie, generale, to robili fachowcy. Myślę, że ona teraz po prostu zastanawia się co dalej.

— Jeszcze coś?

— Mamy już materiały Martena. Właśnie teraz porównujemy je. Pobieżne oględziny sugerują, że dał nam wszystko, co miał.

— Ale to trzeba dokładnie sprawdzić — rzekł Szef z naciskiem. — Dokładnie.

— Tak jest.

— To wszystko?

— To na razie wszystko.

— Dziękuję, kapitanie — Szef ponownie zagłębił się w lekturę meldunków. Vittolini skłonił się lekko i wyszedł z gabinetu.

— Tu jest wynagrodzenie za wykonanie instrukcji numer jeden — Karden wykladał na stół zwitki używanych banknotów. — Sponsor dotrzymuje umowy.

— Długi — Cox potarł nerwowo podbródek — to cała kupa forsy. Domyślasz się, kto to jest? Czy to ktoś stamtąd?

Długi spojrzał na niego przeciągle i rzekł:

— Doprawdy to cię aż tak interesuje?

— Niespecjalnie — odrzekł niedbale Cox — ale wiesz, chciałbym się orientować, dla kogo robię...

— Już ci powiedziałem, że to jest ostatnia rzecz, której on od nas oczekuje. Płaci i jego prawo trzymać się z boku. Jeśli nie podoba ci się...

— Daj spokój, kotku — rzekł pojednawczo Webb. — On od szczeniaka był ciekawy, co go niechybnie doprowadzi do zguby.

— Zamknij się! — Długi znów był poirytowany.

— Cox nie potrzebuje adwokata. Więc jak? — zwrócił się do Coxa. — Strach skrobie pięty?

— Jedź dalej, Długi — wystękał Cox. — Złego lichu nie weźmie.

— Ale ci ze Służb Specjalnych mogą — zarechotał Webb i zamilkł pod zimnym spojrzeniem Długiego.

— Jak wykazały materiały' przyniesione przez Kardena — Długi wstał i zaczął przechadzać się przed stołem — Marten operował Wardensona, co nas upoważnia do otwarcia instrukcji numer dwa. Wiemy też, że Wardenson miał dziewczynę, niejaką Matildę Lorret, która też należała do trójki przez nas obserwowanej. Sponsor nieźle orientuje się w... Tak, ale to nie nasz interes. Jak pamiętacie, instrukcja numer jeden mówiła

otym, że druga część zadania jest o wiele poważniejsza. Wchodzi bowiem w grę ryzyko osobiste.

— Rany boskie — jęknął Webb, nie przerywając dłubania w zębie — nie mógłbyś się streszczać?

— Żarty już się skończyły, Webb — rzekł Długi oschle. — Jak zrobisz, co do ciebie należy, zgarniesz wielką forszę. Naknocisz coś, to ci ze Służb Specjalnych już cię ze swoich łap nie wypuszczą.

— Wiemy, wiemy — przerwał niecierpliwie Karden. — Mów dalej.

— Otwarcie instrukcji numer dwa jest równoznaczne ze zgodą na wykonanie, w ramach naszych możliwości, rzecz jasna, poleceń w niej zawartych.

— Ale jest to trzy razy więcej forsy — rzekł Webb z rozmarzeniem.

— Racja — Długi wyjął z niewielkiej walizeczki podłużną kopertę z szarego płótna

i podał ją Kardenowi. —Otwórz ją i przeczytaj.

Karden rozerwał kopertę i po krótkiej chwili zaczął głośno czytać:

Instrukcja numer II.

Jeśli zdobyliście kopie taśm z zabiegu przeprowadzonego na Wardensonie, to należy możliwie jak najwcześniej:

1) odszukać Wardensona i uprowadzić go do apartamentu nr 49 w domu nr-14 przy ulicy 52 w III dzielnicy;

2) to samo należy uczynić z Matildą Lorret; pamiętajcie, że należy obchodzić się z nią łagodnie i dyskretnie; należy ją doprowadzić do wyżej wymienionego apartamentu dopiero po jej wizycie w Banku Centralnym, gdzie odbierze adresowany do niej Ust;

3) do tego samego pomieszczenia należy doprowadzić profesora Martena; pamiętajcie jednak, że doprowadzenie dwóch pierwszych osób jest konieczne, zaś doprowadzenie Martena —pożądane;

4) w holu wyżej wymienionego apartamentu jest skrytka, która otworzy się na hasło wypowiedziane przez Wardensona; tam znajduje się ostatnia rata wynagrodzenia za waszą pracę; jeśli hasło to wypowiedziałby ktoś inny, skrytka nie otworzy się;

5) wasza działalność skończy się z chwilą odtransportowania tych trzech osób do portu (przystań VII przy nabrzeżu C), gdzie jest przycumowana łódź motorowa o znakach rejestracyjnych XTZ — 212A —chyba, że Wardenson albo Matilda Lorret zadecydują inaczej.

Sponsor

— Niezły musi być numer z tego Wardensona... —mruknął Webb.

— Musiał być —poprawił Długi.

— Marten też nie jest najłatwiejszą sztuką —dodał ze znanstwem Karden.

— Tylko ta dziewczyna mnie zastanawia —rzekł Cox. — Czyżby też miała jakieś powiązania z Zespołem Ekspertów?

— Myślisz, kotku, że ją podstawili Wardensonowi? —zapytał Webb.

— Dość tych dyskusji —przeciął Długi. — Wbijcie sobie teraz do głowy każdy punkt instrukcji, a potem rozdzielimy zadania.

Staroświecki zegar elektryczny, z tych, na które snobi wywalają ciężkie pieniądze, wydzwonił godzinę 11.30. W pokoju zapanowała cisza wypełniona tylko odległym szumem wielkiego miasta.

Matilda nie widzącym wzrokiem patrzyła na tablicę rozdzielczą ekwipartu. Działanie zastrzyku ustąpiło niemal zupełnie. Nie wróciła jednak dawna rozpacz. Jej miejsce zajęła chłodna analiza sytuacji. Należała do generacji mającej logikę niemal we krwi. Starła się uporządkować fakty.

Zaczęło się wszystko od ich niedawnej rozmowy. Zapewne ostatnie wypadki były skutkiem jakichś zdarzeń, które miały miejsce, zanim poznała Alberta, a znała go już niemal trzy miesiące. Kiedy widziała go po raz ostatni, był czymś wyraźnie poruszony. Nie powiedział jej, o co chodzi, zresztą w ogóle mało mówił o sobie. Matilda uświadomiła sobie, iż nie wie nawet, czy Albert miał jakąś rodzinę. Poznała go w jednym z ośrodków integracyjnych. Zainteresował się nią, a później pokochał. To jej wystarczyło. Nie pytała go o przeszłość; sama zresztą nie lubiła, gdy ktoś babrał się w jej życiorysie. Przeszłość ich nie łączyła, a więc była mało interesująca. Albert był pierwszym mężczyzną, którego naprawdę pokochała. Wszystkie dotychczasowe kontakty z mężczyznami rozpoczynały się i kończyły łóżkiem. I nic poza tym. Psychiatra powiedział, że nie jest ułomna, że uczucie miłości jeszcze się w niej wykształci. Ale lata płynęły. Toteż gdy zorientowała się, że obecność Alberta wywołuje w jej duszy reakcję dotąd nie znaną, uczepiła się jedynej —jak jej się zdawało — szansy na stanie się prawdziwą kobietą. Pokochała więc Alberta. A jego inność, którą osoby postronne nazwałyby dziwactwem, jeszcze bardziej to uczucie wzmacniała. Była niemal pewna, że przed nią nie było żadnej kobiety, nie licząc —rzecz jasna —przelotnych, higienicznych kontaktów w licznych klubach integracyjnych. Wierzyła, że była pierwszą kobietą, którą potraktował serio. Czuła, że owo wzajemne, intuicyjne zrozumienie, bez którego miłość staje się pustym słowem, wiąże ich coraz silniej. I to zespalało ją z Albertem znacznie bardziej niż czyniłyby to najkorzystniejsze nawet matryce genetyczne.

Matilda nacisnęła starter i ekwipart ruszył wolno, jakby niezdecydowanie. Ekran automatycznego pilota rozbłysnął zielonkawym światłem, na którego tle pojawił się napis: „Brak współrzędnych celu jazdy”. Matilda nacisnęła klawisz „Jazda spacerowa”

i pojazd nabrał przepisowej szybkości. Wiatr chłodną strugą chłostał jej czoło.

Owego dnia Albert był szczególnie niespokojny. Prawdopodobnie zdecydował się na coś, z czym nosił się od niejakiego czasu. A zarazem widać było, że bał się tej decyzji. Matilda nie dopytywała się, o co chodzi, aby nie upodobnić się do tych kobiet, które są zazdrosne o każdą myśl swojego mężczyzny w przekonaniu, iż może ona dotyczyć innej kobiety. Zresztą wiedziała, że o tym nie może być mowy. Albert sprawiał wrażenie, że boi się czegoś lub kogoś. Te gorączkowe, nieobecne spojrzenia, te nagłe zamyślenia, mówienie o przyszłości... Czyżby przeczuwał swoją chorobę? Nonsens! Nie byłby wtedy aż tak tajemniczy, nie zostawiałby jej listu. I to gdzie! W Banku Centralnym znanym z przesadnie skrupulatnego wypełniania żądań klientów.

A zatem coś mu groziło, coś, co — Matilda była tego pewna — nie miało żadnego związku z jego życiem osobistym. Wszak ona sama była, a przynajmniej starała się być jego prywatnym życiem. Czego więc mógł się bać?

Po naszym rozstaniu — myślała — Albert nagle zachorował. I to akurat na chorobę, z którą nie mógł sobie poradzić nawet Marten. Jakie jest prawdopodobieństwo takiego przypadku? Minimalne. Marten nie angażowałby się w byle głupstwa. To sława. Więc może rzeczywiście jakiś nowy rodzaj schorzenia? Ale dlaczego nie wpuszczono jej do szpitala? Straciła panowanie nad sobą. Marten mógł sobie nie życzyć... Na szczęście poza drobnymi zadrapaniami nic jej się nie stało. Dlaczego Albert nic jej nie powiedział? Dlaczego ją porzucono w środku miasta? Dlaczego nie pozwolili jej obejrzeć zwłok?... List! Przecież Albert zostawił jej jakiś list. W Banku Centralnym. Może list odpowie na te pytania?

Ogarnął ją nagły popłoch. W natłoku wydarzeń ostatniego tygodnia ow list wydawał się mało ważny. Zapomniała o nim, tak jak zapomina się o środkach uspokajających w chwilach wielkiego podniecenia. Przeraziła się, że może listu już tam nie ma, przeraziła się, że być może zaniedbała coś, co mogłoby uratować Alberta. Zażyła środek uspokajający z podręcznej apteczki i usiłowała uporządkować myśli.

Albert mnie upoważnił do jego odebrania. Zaraz, zaraz, gdzie jest moja karta identyfikacyjną — zajrzała nerwowo do skrytki w ekwiparcie. — Nie ma. Została w domu. — Podała automatycznemu pilotowi nowe współrzędne. Ekwipart

przyspieszył.

Ira z napięciem słuchał melodyjnego głosu radio-automatu. Napięcie nie ustąpiło nawet wówczas, gdy brzmiał już ostatni komunikat i głośnik zamilkł. W oficjalnym wykazie wypadków miejskich nie znalazł swojego nazwiska. Dlaczego? Czyżby wypadek był zbyt drobny, aby mógł trafić do oficjalnych statystyk? Nie mógł to być jednak wypadek drobny, skoro zajął się nim Marten, największy specjalista w dziedzinie psychosyntezy. Wszyscy wiedzieli, że nie podejmuje się on zabiegów. Jest przede wszystkim teoretykiem. Ponownie ogarnęła go fala niejasnego niepokoju. Nie umiał sobie odpowiedzieć, czego się boi, ale czuł się osaczony. Brak jego nazwiska był pierwszym faktem, drobnym, ale konkretnym jak okruch metalu. Pierwszym faktem, który wprowadzał dysonans do jego spójnego świata. Brak jego nazwiska nie wynikał przecież z niedbalstwa lub niekompletnego sprawozdania. Automaty statystyczne są przysłowiowo skrupulatne. Dlaczego nie zarejestrowano mojego wypadku? —myśl ta aż do bólu drążyła jego mózg. — Czyżby wypadku nie było? — spojrzał z lękiem na drzwi, za którymi była Ann. — Nonsens! Chore rojenia! — próbował się uspokoić. — Na pewno sprawa się wyjaśni. A w końcu konkretniejszym faktem jest to, że miałem wypadek, niż to, że go nie zarejestrowano — niepokój jednak nie ustępował. Ira wstał, włączył muzykę rozrywkową i sięgnął po pastylki odświeżające.— Dlaczego nie zarejestrowano mojego wypadku? Może zapytać Ann? Nie, ona nic nie powie. Typowa pielęgniarka, trzymająca się ściśle wydanych jej poleceń. Profesor powinien wiedzieć. Na pewno wie. Muszę go zapytać. Pojadę do niego. Nic mi przecież nie jest. Poruszam się swobodnie —przeszedł się po pokoju, jakby chcąc udowodnić sobie, że ma rację. —Jestem całkowicie sprawny. Dlaczego miałbym nie pojechać? Przed domem stoi mój ekwipart. Nie, nie mogę nim pojechać, dopóki nie oddam go do naprawy. Wezmę ekwipart publiczny. A jeśli Ann nie zgodzi się? —zawahał się nagle. —Nie jestem w końcu więźniem. Wcale nie muszę jej pytać o zgodę —postanowił z nagłą determinacją. Wyrzwał przez okno na niewielki betonowy parking, zalany słońcem późnego poranka.

—Z pewnością jest bardzo ciepło —pomyślał. —Wymknę się drugim wyjściem. Ann nawet tego nie zauważy. Jest taka zaczytana —myślał, w pośpiechu wciągając" buty —że zorientuje się, gdy będę już daleko. Czuję się, jakbym uciekał —stwierdził nagle

ze zdziwieniem.— Uciekał? Z własnego mieszkania? —podszedł do ukrytych za kotarą drzwi, prowadzących do windy. Przekręcił klamkę, ale bez skutku. Spróbował jeszcze raz, z tym samym rezultatem. Drzwi były zamknięte. Sięgnął do kieszeni po klucze. Wydobył ten od zapasowych drzwi. Włożył go do otworu. To nie był klucz od tego zamka! Usłyszał, że drzwi do pokoju otwierają się z wolna. Odwrócił się. W progu stała Ann, trzymając w ręku szklanę musującego napoju.

Vittolini wszedł do pokoju operacyjnego i usiadł za stołem, na którym piętrzył się stos raportów. Odgarnął je niecierpliwie i nacisnął klawisz wewnętrznego wideofonu.

— Z Sekcją Badań proszę.

Po sekundzie na ekranie pojawiła się twarz Sartora, przypominającego starego, steranego życiem archiwistę.

— Są już wyniki w sprawie Martena?

— Kończymy, kapitanie. Myślę, że mamy coś, co was zainteresuje.

— No? Co to jest? Brakuje czegoś?

— Nie. Test na kompletność materiału dał wyniki pozytywne.

— Więc co do diabła? Dawajcie to szybko, bo Szef mi wisi nad głową!

— Musimy ostatecznie upewnić się, że nasza hipoteza jest prawdziwa — rzekł Sartor z dokładnie takim samym, jakby znudzonym wyrazem twarzy. — Chyba nie chcecie strzelić głupstwa, hę?

Vittolini zaklął cicho i rzekł z rezygnacją:

— Kiedy?

— Jeszcze dziesięć minut, może osiem... — dodał z wahaniem.

— Czekam — Vittolini wyłączył wideofon i nacisnął przycisk z nazwiskiem COWN. Z głośnika na tle szumu wielkowiejskiej ulicy dał się słyszeć nieco chrypliwy głos zwiadowcy:

— Theo Cown melduje się, kapitanie.

W tym samym momencie włączył się automatyczny zapis, rejestrujący wszystkie rozmowy ze zwiadowcami.

— Coś nowego, Cown?

— Moje współrzędne: róg Trzydziestej Trzeciej ulicy i Pięćdziesiątej Drugiej alei w Czwartej Dzielnicy. Czas: jedenasta czterdzieści dziewięć. Obserwowana Matilda

Lorret odzyskała przytomność o godzinie jedenastej dwadzieścia osiem. Siedziała nieruchome w ekwiparcie przez dziesięć minut, po czym o godzinie jedenastej trzydziści osiem ruszyła w kierunku Ósmej Dzielnicy wzdłuż ulicy Osiemnastej. O godzinie jedenastej czterdzieści trzy zmieniła kierunek, zbliżając się do Trzeciej alei spacerowej w Czwartej Dzielnicy. Przejechała Trzecią aleję i udała się w kierunku Trzydziestej ulicy, którą jedzie obecnie w kierunku północnym. Z nikim nie kontaktowała się. Ekwipart prowadzi pilot automatyczny. Czekam na dalsze rozkazy. Odbiór.

— Następny meldunek za dziesięć minut —rzekł Vittolini. — Chyba, żeby zaszło coś nowego. Wtedy meldujcie natychmiast. Zrozumiano?

— Tak jest!

— To wszystko.

Magnetofon sprzężony z odbiornikiem zatrzymał się z cichym trzaskiem. Vittolini połączył się z operatorem i powiedział:

— Podajcie mi współrzędne Martena.

W tym momencie zauważył światełko migające na pulpicie łącznościowym i dodał spieszenie:

— Chwileczkę, mam inne połączenie —automatyczny zapis włączył się ponownie.

— Słucham, Vittolini.

— Melduje się Ann Duray. Kapitanie, nasz klient zachowuje się cokolwiek niespokojnie. Jak tylko ustaje działanie leków podtrzymujących, przejawia nie do końca kontrolowane reakcje.

— Co to znaczy? —przerwał jej niecierpliwie.— Mów jaśniej!

— Teraz na przykład zamknął się w drugim pokoju i przesłuchuje kronikę wypadków z ubiegłego tygodnia.

— Czy myślisz:..

— Tak, kapitanie, on szuka potwierdzenia własnego wypadku.

— Zaczyna się czegoś domyślać?

W głośniku rozległ się śmiech Ann:

— To niemożliwe.

— Więc o co chodzi?

— To działa podświadomość. Marten jest w stanie modelować tylko świadomość.

Połączenie starej podświadomości z nową świadomością prowadzi do stanów lękowych. Zresztą Marten przewidywał, że tak właśnie będzie przebiegał wstępny okres adaptacji.

— Skoro wszystko mieści się w ramach programu, to po co mi o tym mówisz?

— Nie wszystko... — odparła z wahaniem Ann.

— No więc mów wreszcie, o co chodzi! — zaczął się denerwować.

— Te wizjery funkcjonują doskonale. Widzę, że właśnie skończył wkładać buty. Wybiera się gdzieś, i to w tajemnicy przede mną. Wypuścić go?

— Nie! Uspokój go, a jeśli okaże się to konieczne, to uspij. Nie wychodź z nim, dopóki nie dam ci wyraźnego zezwolenia. Jasne?

— Jasne, kapitanie. Wyłączam się.

— Powodzenia — Vittolini nacisnął przełączniki i zapytał:

— Co z Martenem?

— Jest jeszcze w „Siódemce”, a ściślej, na pewno tam jest jego kapelusz.

— No, no — rzekł ostrzegawczo. — Wiecie, że nie lubię takich głupich żarcików.

— Tak jest — odparł ten sam ochoczy głos.

— Czy Sartor jest u siebie?

— Chwileczkę! — głos zamilkł na moment, po czym odezwał się znowu: — Właśnie wyszedł do was, kapitanie.

Po chwili do pokoju operacyjnego wkroczył dostojnie Sartor. Niektórzy twierdzili, że Sartor nawet do łóżka wkracza dostojnie.

— Skończyliście badania? — Vittolini nie mógł doczekać się, aż Sartor podejdzie na przepisową odległość i zacznie mówić tymi swoimi podręcznikowymi zdaniem. — Jak tam hipoteza?

— Hipoteza potwierdziła się.

— Powiedzcie wreszcie, jaka hipoteza!

— Materiały dostarczone przez Martena zostały skopiowane. A ściślej, ta ich część, która dotyczy przebiegu operacji.

— Co? — Vittolini wstał. Jego dolna warga za drgała nerwowo, odsłaniając rząd mlecznobiałych zębów. — Jesteście tego absolutnie pewni?

Sartor spojrzał na niego, jakby dostrzegł nagle przed sobą temporystę, który

przedawkował leki pobudzające. Vittolini zmieszał się nieco i rzekł spokojnie:

— Kiedy to się stało?

— Nie jesteście jasnowidzami. Możemy powiedzieć tylko tyle, że skopiowanie materiałów wymagało przynajmniej godziny. Przy zastosowaniu najnowszej techniki. Tyle zajęłoby to człowiekowi z mojej Sekcji.

— Ale kiedy to mogło nastąpić?

— Na pewno po operacji, a przed przysłaniem materiałów do nas — rzekł z sarkazmem. — Drogą eliminacji można jednak dojść do wniosku, dość prawdopodobnego, że nastąpiło to wczoraj w nocy. Pacjent był już w apartamencie, Marten u siebie w domu, a materiały w szpitalnym archiwum. Medycy przestali się już kręcić koło Archiwum, które zamknięte było na zamek tak prosty, jakby go w ogóle nie było. Zresztą w „Siódemce” pilnuje się tylko wejść do budynku. Jeśli już ktoś wejdzie, to może w środku robić dokładnie to, na co ma ochotę. Śladów włamania brak — dodał, jakby chcąc uprzedzić pytanie Vittoliniego.

— Widzę, że wyręczyliście Sekcję Operacyjną? — rzekł z lekkim wyrzutem Vittolini.

— Myślałem, że zależy wam na czasie.

— Gdzie mogą być kopie? I kto je zrobił?

— Znów chcecie, abyśmy was wyręczyli? — sarkazm Sartora stawał się już demonstracyjny.

— Czy mógłby to zrobić ktoś z „Siódemki”? Marten na przykład? — spytał Vittolini bardziej siebie niż Sartora.

— Nie mam nic do dodania — Sartor odwrócił się i skierował w stronę drzwi.

— Chwileczkę! — zawołał Vittolini. — Powiedzcie mi, Sartor, gdybyście wy skopiowali te specjalistyczne materiały, to do czego mogłyby się one przydać?

Sartor zatrzymał się na moment, po czym wzruszył ramionami i wyszedł z pokoju operacyjnego. Vittolini połączył się z operatorem.

— Wezwijcie Martena do Szefa A u mnie niech natychmiast się stawią Dreger, Swen i Pino.

Po chwili w pokoju operacyjnym pojawiło się trzech wysokich, dobrze zbudowanych mężczyzn, którzy w milczeniu zajęli miejsca za stołem.

— Mam dla was ciekawą robotę, chłopcy — Vittolini spojrzał uważnie na

siedzących. — Trzeba się z nią uwinąć możliwie szybko i dobrze. Ktoś skopiował materiały z pewnego zabiegu, przeprowadzonego w „Siódemce”. Zostało to zrobione z dużą wprawą

i przy zastosowaniu najnowszej techniki. Nie zrobił więc tego amator silnych wrażeń. Naszym zadaniem jest odszukanie kopii. Wszystkich. I oczywiście tych, którzy je mają. Im szybciej to zrobimy, tym większa jest szansa, że kopie te nie zostaną wykorzystane.

— Są jakieś punkty zaczepienia, kapitanie? — spytał jeden z siedzących mężczyzn.

— Niewiele, Dreger, przynajmniej na razie. Materiały skopiowano w Archiwum „Siódemki”, prawdopodobnie wczoraj w nocy. Według informacji Sartora w szpitalu niczego nie dostrzeżono. To w zasadzie wszystko, co w tej chwili wiemy.

— Rzeczywiście niewiele — mruknął któryś z siedzących.

— Ty, Dreger, rozejrzysz się w Archiwum. Może tam będzie coś ciekawego. Pino będzie ubezpieczał Cowna, który obserwuje Matildę Lorret, ostatnią kobietę Wardensona. Ta dziewczyna to niezłe zaczepienie. Może ona zaprowadzić nas do tych, którzy zrobili kopie. Nie wolno jej spłoszyć. Pamiętaj o tym, Pino. Meldujcie co piętnaście minut, chyba żebyście coś znaleźli. Jasne?

— Jasne kapitanie.

— Jakieś pytania?

— Kapitanie...— zaczął Swen, ale Vittolini przerwał mu:

— Ty masz inne zadanie. Pomówimy o tym u Szefa. Jesteście wolni — zwrócił się do Pino i Dregera, którzy na te słowa wstali i wyszli z pokoju.

Vittolini spojrzął badawczo na Swena i powiedział:

— Mam pewną koncepcję, którą musi zaaprobować Szef. Jeśli się z nią zgodzi, to przez najbliższe kilka godzin będziesz miał sporo roboty — Vittolini, nawykły do działania, odzyskał już pełną równowagę po nieoczekiwanej wiadomości o kopiach.

— A teraz słuchaj uważnie, Swen. Ktoś włączył się do gry. Ten ktoś jest nie w ciemności, skoro potrafił skopiować taką kupę materiału. Ten ktoś — kapitan rzekł nieco ciszej — wiedział o operacji, zanim została ona wykonana. Pomyśl chwilę, kto mógł o tym wiedzieć?

— Marten.

— Tak, oczywiście, ale po co Marten miałby robić kopie bez naszej wiedzy, skoro i tak ma zagwarantowany dostęp do wszystkich materiałów?

— Może chciał sobie zostawić kopie, ot po prostu dlatego, aby wykorzystać je do celów naukowych?

— Bardzo logiczna hipoteza, ale przecież mógł nam to powiedzieć, prawda?

— W istocie — przyznał Swen.

— A jeśli — Vittolini na chwilę zawiesił głos

—a jeśli to nie był Marten?

— Więc kto?

— No właśnie — nalegał Vittolini.

— Nie mam pojęcia.

— Pomyśl...

— Ktoś z tamtej strony?

— To jest jedna możliwość. A druga?

Swen ukrył twarz w dłoniach. Po chwili, spojrzawszy na kapitana, powiedział z niepokojem:

— Kapitanie, nie myślisz chyba...

— No, no... — zachęcał.

— Nie, to niemożliwe — Swen wydawał się przestraszony własnym przypuszczeniem.

— Dlaczego niemożliwe? — spytał Jdkby od niechcienia.

— Kapitanie, nie sądzę, aby ktoś od nas mógł okazać się nielojalny — rzekł z determinacją. — Przecież, przecież to są bardzo specjalnie dobrani ludzie. Oni nie mogliby działać przeciwko sobie.

— A Wardenson? Czyż nie był członkiem Zespołu? Ufaliśmy mu i niewiele brakowało, a doprowadziłby do katastrofy. A więc do rzeczy, Swen. Akcja musi być przeprowadzona dyskretnie. Dlatego wszystko będziesz robił sam. Zacznesz od sprawy najprostszej. Sprawdzisz alibi wszystkich, którzy wiedzieli coś o operacji.

— Członków Zespołu Ekspertów też?

— Ich przede wszystkim. Jeśli oczywiście Szef się zgodzi.

— Jasne, kapitanie — powiedział Swen bez entuzjazmu.

— A/teraz chodźmy do Szefa, zanim zjawi się Marten. Wyszli z pokoju, nerwowo

obciążając uniformy.

W tym samym mniej więcej czasie, gdy Vittolini rozmawiał z Sartorem, Marten przebywał w swoim szpitalu, zaś Ann uspokajała Irę znanymi jej sposobami— Długi rozdzielał zadania zlecone im przez Sponsora.

— A więc, chłopcy, sprawa rysuje się dość jasno. Mamy trzech klientów, których musimy odstawić w wyznaczone miejsce. Pierwszą rzeczą jest odnalezienie tych trzech osób. Z Martenem nie powinno być kłopotów — Długi wziął ze stołu zwój wydruków z maszyny elektronicznej. — Z dotychczasowego rozpoznania wynika, iż prawdopodobieństwo znalezienia go o tej porze w „Siódemce” wynosi zero siedemdziesiąt, prawdopodobieństwo spotkania go w okolicach Kwatery Głównej Służb Specjalnych wynosi zero trzynaście, prawdopodobieństwo pobytu w domu zaledwie zero zero pięć, zaś w innych miejscach zero jedenaście. Takie przynajmniej wyniki dała tygodniowa obserwacja jego dobowego budżetu czasu. Jak zatem widać, trzeba go przede wszystkim szukać w szpitalu. Zajmie się tym Cox.

— Dlaczego nie Karden? Zna przecież szpital

—bąknął Cox.

— Karden ma inną robotę — przeciął Długi.— Jasne?

— OK — odparł Cox. — Ale byłem tam tylko raz, przelotnie.

— Niechybnie wylądujesz tam jako pacjent naszego kochanego profesorka, koteczku —jęknął Webb.

— Ty, Webb, słuchaj uważnie, bo mam teraz robotę dla ciebie. Odszukasz tę dziewczynę. Będzie to dość trudne, przynajmniej do czasu. Ostatnio jest bardzo ruchliwa — Długi znów zajrzał do wydruków.

—Najbardziej prawdopodobne jest zastanie jej w domu, ale jej budżet czasu charakteryzuje się licznymi załamaniem rytmu. Powinieneś więc zacząć od jej domu. Tu masz jej adres — Długi podsunął Webbowi małą kartkę papieru.

— Ja tam bardziej wierzę w swój nos — Webb dotknął swojego organu powonienia, który istotnie wystawał z twarzy na imponującą odległość —niż w te wasze statystyczne frymuśności.

— Ona prawdopodobnie ma obstawę —ciągnął dalej Długi. — Uważaj, Webb. Bo jak cię spece złapią, to na własną prośbę pójdziesz do Ośrodka Resocjalizacyjnego.

Nawet forsa nie będzie cię pociągać.

— Głupie gadanie — Webb najwidoczniej nie lubił pesymistycznych prognoz. — Wiem przecież, że jeśli mnie złapią, to nie po to, aby zaproponować mi stoik orzeźwiających pastylek — a ponieważ właśnie sięgał po kolejną taką pastylkę o ulubionym smaku astonishing, skojarzenie wydało mu się niestosowne i wrzucił z odrazą pastylkę z powrotem do fiolki.

— Analiza materiału przyniesionego przez Kardena —mówił dalej Długi — sugeruje, że Lorret może być w Banku Centralnym. To jest druga wskazówka, gdzie należy jej szukać. Wkrótce prawdopodobnie dam ci dokładniejsze informacje na temat miejsca jej pobytu. Ale pamiętaj, Webb, powinieneś ją zwinąć dopiero po jej wizycie w Banku, chyba żebyś musiał wcześniej. Jak już ją zwiniesz, to natychmiast odstaw do apartamentu wskazanego przez Sponsora. Masz to jednak zrobić tak, aby...

— Wiem, wiem — Webb przerwał niecierpliwie.

— Nie myślisz chyba, koteczku, że zaproszę tych ze Służb Specjalnych, aby zabawiali naszą ślicznotkę w apartamencie.

Był to dobry znak. Długi wiedział, że Webb należy do ludzi, którzy odczuwają lęk tylko przed akcją. W czasie jej trwania zawsze wypełniała go instynktowna umiejętność osiągnięcia celu najkrótszą drogą.

— A co z Wardensonem? —zagadnął Cox.

— Nie wiemy, gdzie on jest teraz, ale myślę, że tutaj jest odpowiedź —Długi wskazał na stos wydruków. — To znaczy?—Cox nie ustępował.

— Wiadomo, że wywieziono go ze szpitala i ulokowano gdzieś w bezpiecznym miejscu. Musimy to bezpieczne miejsce odnaleźć.

— Naprawdę? —Webb wydawał się ucieszony tym odkryciem, jednak Długi nie zwracał na niego uwagi.

— Niewątpliwie przydzielili Wardensonowi jakiegoś anioła stróża, który jakoś musi kontaktować się z kwaterą Służb Specjalnych. Problem polega więc nie tyle na odszukaniu Wardensona, co na zidentyfikowaniu częstotliwości fali, na której pracują dzisiaj spece — Długi wziął ze stołu część wydruków. — Mamy tutaj analizę częstotliwości za ostatnie dwa tygodnie. Analiza wariacyjna wykazała pewne prawidłowości, które ograniczają nasze próby i błędy do stosunkowo niewielkiej

liczby częstotliwości. Myślę, że przy pomocy naszych maszynek złapiemy tę właściwą w ciągu kilkadziesiąt minut. Jak myślisz, Karden? W końcu ty znasz się na tym lepiej.

— Myślę, że jest to jedyny rozsądny sposób znalezienia Wardensona. Meliny speców są dobrze zakonspirowane. A oprócz tego jest ich dość dużo. Możemy zlokalizować tę właściwą przy pomocy namiaru radiowego.

— Otóż to! — rzekł Długi. — A przy okazji, Webb, będziemy mogli pomóc twojemu nosowi w poszukiwaniach panny Lorret. Jeśli ma obstawę, w co nie wątpię, to na pewno spece nie kontaktują się z kwaterą przy pomocy gołębi pocztowych. Jak myślisz, Webb?

Webb wymamrotał coś, co z pewnością nie było wyrażeniem zbyt wykwintnym, po czym sięgnął do fiolki i połknął pastylkę.

— No, chłopcy — w głosie Długiego zabrzmiało ledwie wyczuwalne podniecenie — najwyższy czas przystąpić do pracy. Jest w tej chwili — spojrzął na zegar — jedenasta pięćdziesiąt siedem. Co dziesięć minut będziecie mi składać meldunki. Czy wszystko jest jasne?

— Tak, tylko podaj mi jeszcze raz szyfr do zamka w apartamencie — rzekł Webb. — Nie czułbym się zbyt dobrze przed zamkniętymi drzwiami.

— Cztery, osiem, zero, sześć, trzy, cztery, jeden — wyskandował Długi, zaś Webb powtarzał półgłosem za nim.

Pierwszy skierował się do drzwi Cox, a tuż za nim szedł Webb.

— Połamcie wasze pokrętne szyje! — rzucił za nimi Długi. W odpowiedzi Webb podniósł kciuk do góry i zniknął za drzwiami. W chwilę później staroświecki zegar wybił godzinę dwunastą.

Skwar osiągnął szczytowe natężenie. Marten, jadąc w zamkniętym ekwiparcie, nie czuł tego, bowiem klimatyzacja utrzymywała temperaturę około jego ulubionych dziewiętnastu stopni. Marten źle znosił upał, toteż w takie dni jak dzisiejszy niechętnie opuszczał szpital, jego chłodne wnętrze, kojące rozgorączkowaną skórę. I nie ruszyłby się pewnie ze szpitala, gdyby nie nagłe zaproszenie Szefa Służb Specjalnych. Źle znosił nie tylko upał, ale również takie nagłe wezwania. Miał więc co najmniej dwa powody, aby czuć się nie najlepiej. Zresztą od pomyślnie

przeprowadzonego zabiegu nie odzyskał do tej pory owego wewnętrznego spokoju, który płynie z przekonania, że to, co się robi, ma sens. Stracił tę pewność po rozmowie z pacjentem.

A przecież to, co się stało, było logicznym zakończeniem jego wieloletniej pracy; najpierw w pojedynkę, a później przy wsparciu Zespołu. Pamiętał dokładnie ten dzień, kiedy nagle wezwał go jeden z członków Zespołu Ekspertów, pełniących aktualnie funkcję reprezentanta, i oznajmił mu, że koncepcja modelowania osobowości, ów ukochany i przenoszony nieco płód intelektu Martena, zainteresowała kompetentnych członków Zespołu. Zespół postanowił finansować dalsze badania, a zwłaszcza prace wdrożeniowe. Dodatkowo Zespół zdecydował przywrócić Martenowi prawo publikowania Wyników prac, odebrane mu po tej nieszczęsnej wpadce z metodą farmaceutycznego kształtowania osobowości, która narobiła tyle zamieszania socjalnego. Jednak rozmówca zastrzegł, że jego propozycje będą aktualne dopiero po podpisaniu przez Martena deklaracji lojalności wobec Zespołu. Zaś dalsze badania ze względów zrozumiałych „będą w całej rozciągłości utajone”. W taki oto sposób Marten przystał do Zespołu Ekspertów grupującego najtęższe umysły Apotezjonu, a jednocześnie stanął na czele jednego z najświetniejszych szpitali, wyposażonego w najnowocześniejszą aparaturę naukową i terapeutyczną. Możliwość kontynuowania pasji życia była niezmiernie nęcąca. Marten nie odrzucił jej. Jakże mógłby to zrobić? Nie należał do ludzi, którzy przerywają pracę w połowie. Przyznałby w ten sposób, że jego działania były bezowocne.

Ekwipart opuścił cieniste alejki Centrum Medycznego. Nad przezroczystą kopułą pojazdu rozpostarła się automatycznie ochrona przeciwsłoneczna.

Decyzja o przyłączeniu się do Zespołu miała jeszcze jeden powód, do którego Marten nie lubił się przyznawać. Podziwiał on ludzi tam pracujących, zazdrościł im sprawności intelektualnej. Sam również pragnął należeć do tej elity, choć jego działalność była możliwie skrzętnie skrywana przed zawsze ciekawą ludnością. Przecież Zespół zajmował się zbyt poważnymi sprawami, aby wyciągać je pod osąd tłumów. Toteż początkowo na temat Zespołu krążyły najfantastyczniejsze legendy. Ponieważ jednak nikt nie wiedział, jak jest naprawdę, legendy te przycichły jakby, a zainteresowanie publiczności skupiło się na niezwykle atrakcyjnych zawodach sportowych i wielkich rewiach artystycznych. Wszakże dla środowiska uczonych,

niezależnie od pozycji, automatycznie niejako przypisanej każdemu specjalście w Zespole, było coś niezmiernie ekscytującego w fakcie, że jest się oto ważną częścią kolektywnego mózgu, kierującego społeczeństwem w myśl jego najlepiej pojętych interesów. Przynależność do Zespołu była aktem swoistej nobilitacji intelektualnej. Świadczyła bowiem o tym, że praca naukowa jest użyteczna dla społeczeństwa, pomaga w utrzymywaniu jego harmonii, w optymalnym zaspokajaniu potrzeb społecznych. Pomyślnie przejście ogniowej próby użyteczności było, a przynajmniej powinno być, ambicją każdego uczonego. Czyż nie jest tak, że praktyka społeczna jest ową ostatnią instancją, która orzeka o słuszności podjętych wysiłków badawczych? Marten był tego pewny. A jednak... A jednak x>d momentu przeprowadzenia zabiegu dręczył go jakiś niepokój. Dążył przecież do eksperymentu wszystkimi siłami. Nie wiedział, rzecz jasna, że pierwszym jego pacjentem będzie właśnie Wardenson, ów legendarny samotnik, którego nawet starzy członkowie Zespołu znali jedynie na płaszczyźnie służbowej. Fascynował Martena, a jednocześnie onieśmiała. Marten chciał zbliżyć się do niego, ale nie było to łatwe. Wardenson bowiem żył swoim światem; światem spójnym wewnątrz, a zarazem podlegającym ciąglej zmianie. Wardenson zmagał się z odwiecznymi kwestiami filozofii człowieka, które miały stać się ostateczną podstawą pomyślniej i niczym nie zmaconej pracy Zespołu.

Marten podziwiał go, podziwiał jego uparty, syzyfowy trud poszukiwania prawd jednoznacznych. Toteż nie tylko z naukowych względów wprowadził do świadomości Wardensona uczucie szacunku do niego, Martena. Była to jedna z jego intymnych, wstydliwych tajemnic, które starał się ukryć nawet przed sobą samym.

Ekwipart przyhamował lekko przed wjazdem na autostradę. Przed nim stał sznur podobnych, zaokrąglonych pojazdów, czekających niecierpliwie na bezpieczne wciśnięcie się w rwący nurt ruchu ulicznego. Marten spojrzał na zegarek. Nie będzie to trwało chyba zbyt długo. Szef bardzo nie lubi czekać. Zażył pastylkę orzeźwiającą. Za stosunkowo późne wstąpienie do Zespołu zapłacił uwierającą zależnością od Szefa Służb Specjalnych. Zespół był ciałem kolegiąlnym o płynnych strukturach wewnętrznych, więc siłą rzeczy nie mógł działać tak operatywnie jak Szef. Toteż żaden z członków Zespołu nie lubił spotkań w cztery oczy z tym kostycznym, zimnym starcem, który traktował ich trochę jak zdolne, ale krnąbrne dzieci. Co innego, gdy

Szef wzywany był przed oblicze Zespołu. Zmieniał się wówczas nie do poznania. Był układny, grzeczny, nieledwie służalczy. Wszak służył Zespołowi, a nie poszczególnym jego członkom. Odpowiadał na każde pytanie. Zwięźle, jasno, jakby przedtem znał jego treść i wykuł na pamięć odpowiedź. Nikt z Zespołu nie przepadał za nim, ale każdy musiał przyznać, że Szef i jego ludzie spełniają swoje zadania bez zarzutu. I każdy był świadom, że bez istnienia Służb Specjalnych Zespół nie mógłby funkcjonować tak sprawnie jak obecnie. Szef onieśmiał Martena swą bezpośredniością, szorstkością i nieubłaganym dążeniem do sedna spraw, które załatwiał. Zawsze onieśmielali go ludzie zdecydowani, ludzie traktujący siebie i innych w sposób instrumentalny. Ich działania i reakcje były wyprane ze zbędnych a złudnych ornamentów, przydanych ludzkiemu zachowaniu przez kulturę. Każda wizyta u Szefa przypominała mu najkoszmarniejsze egzaminy na studiach. I teraz znowu, po raz wtóry tego samego dnia, miał przed nim stanąć. Na pewno w sprawie tego nieszczęsnego Wardensona.

Z zamyślenia wyrwało go lekkie szarpnięcie ekwipartu, który znalazł wreszcie lukę wśród mknących pojazdów. Marten poczuł nagle, że przestrzeń pojazdu jest mała. Zaprzagnął wydostać się z tej pułapki. Nacisnął klawisz i przeźroczyta kopuła skryła się wolno w pojemniku za tylnym siedzeniem. Do wnętrza wdarło się gorące powietrze. Zdjął kapelusz i rzucił go na sąsiedni fotel. Gorąco dzisiaj — stwierdził — a kto wie, czy nie będzie jeszcze goręcej. Dzisiejszy dzień od samego rana był cokolwiek nietypowy. Najpierw to przedwczesne przebudzenie Wardensona, potem raport u Szefa i nieuchronna wizyta tej rozhisteryzowanej dziewczyny. Chciał jej powiedzieć o zgonie tuż po zabiegu. Szef prosił jednak, aby odwlec to do momentu, kiedy Marten będzie pewien, że operacja się powiodła. Słusznie. Bo gdyby się nie udała, nie byłoby żadnych komplikacji ze zwłokami i z normalną przy takich okazjach procedurą obrządkową. I wszystko byłoby proste: prochy Wardensona spoczywałyby w urnie, wyprawiono by mu uroczysty pogrzeb, taki z mowami pożegnalnymi i okolicznościowymi audycjami w telewizji, a dziewczyna by trochę rozpaczła i wkrótce pocieszyła się kimś innym. Ale stało się inaczej. Przestraszył się tych myśli. Zabieg przecież się udał. Sprawdziły się wszystkie jego założenia teoretyczne. A czyż nie do tego dążył przez tyle lat? Czyż nie podporządkował swojego życia poszukiwaniu prawdy, jakakolwiek by ona była i jakichkolwiek poświęceń jej

zdobyć by wymagało? Ta operacja była jego naukowym triumfem. Prawda, wiedzą o tym nieliczni. Ale czy jego osobista satysfakcja nie jest więcej warta od poklasku gawiedzi? Tą jedną operacją udowodnił, że życie człowieka, jego biografia i wszystkie doświadczenia są niczym innym, jak jedną z praktycznie nieskończonej liczby kombinacji połączeń międzyneuronowych. Że owe połączenia można dowolnie modelować, a tym samym —można sobie planować przeszłość. Czyż nie będzie to błogosławieństwo dla tych wszystkich, którzy pragną rozpocząć nowe życie, a zapomnieć o swojej jednostkowej przeszłości? Czyż nie jest bardziej godne człowieka wybieranie swojej przeszłości? W sposób przemyślany, dojrzały, świadomy... przynajmniej do pewnego momentu. Czyż nie jest to swoiste zapanowanie nad czasem minionym? Marten utwierdzał się w przekonaniu, że podąża we właściwym kierunku. Pragnął stłumić w sobie niepokój, jaki ogarnął go po ochłonięciu z nastroju euforii. W końcu —przekonywał sam siebie — o tym, co dobre, a co złe decydują normy moralne stworzone przez społeczności ludzkie. A więc ludzie uprawnieni są do ich zmiany albo przynajmniej do odejścia od ślepego im posłuszeństwa. Normy moralne służą przecież do zachowania stabilności społecznej. Jego odkrycie idzie w tym samym kierunku. Gdyby jeszcze pierwszym pacjentem nie był Wardenson... Gdyby był nim jakiś anonimowy człowiek...

Ale Wardenson nie mógł przeżyć tej dyskusji, którą sam sprowokował. Przegrał. Jego postawa zagrażała nie tylko bezpieczeństwu Zespołu, ale i stabilizacji społecznej. Musiał ponieść konsekwencje. Zresztą był ich świadom. Jak bowiem inaczej wytłumaczyć fakt, że na dwa tygodnie przed tym jego fatalnym zdekonspirowaniem się przyszedł do Martena i zapytał, czy znalazł się już jakiś pacjent. Jakby chciał mu skojarzyć swoje nazwisko z możliwością dokonania operacji. Nie wiedział, nie mógł wiedzieć, że po jego wpadce Prezydium Zespołu na wniosek Szefa Służb Specjalnych poleciło Martenowi dokonanie analizy pamięci Wardensona, aby wyłapać ewentualne przecieki informacji o pracach Zespołu. Potem Wardenson miał być resocjalizowany, a w razie niepowodzenia — izolowany na zawsze. Była to sankcja, z którą Wardenson musiał się liczyć. Każdy członek Zespołu, podpisując deklarację lojalności, godzi się z faktem, że wyjście z Zespołu jest tylko jedno: w wieczność. W grę wchodzi przecież szczęśliwe życie milionów ludzi. Wardenson wiedział więc, co go czeka w razie przegranej. Ale nie mógł

wiedzieć, że właśnie on, Marten, podsunie Szefowi myśl przeprowadzenia operacji na Wardensonie. Przecież analiza pamięci była sama w sobie pierwszym krokiem procedury operacyjnej. Nie mógł zaprzepaścić takiej okazji! W gruncie rzeczy uratował Wardensoniowi swobodne życie. Przynajmniej w sensie biologicznym. A jednak po rozmowie z pacjentem Martena ogarnął niepokój. Z trudem zniósł szczere wyznania owego nowego człowieka. Wyznania, które programował kilka dni wcześniej. Odniósł niejasne wrażenie, jakby rozmawiał z maszyną ubraną w ludzkie ciało. Czy istotnie człowieczeństwo polega na zapamiętywaniu tego, co się stało?

W alejce dojazdowej do Kwatery Głównej Służb Specjalnych powietrze było nieco chłodniejsze. Ekwipart zwolnił i po chwili zatrzymał się przy wejściu. Marten wysiadł, zaciągnął kopułę i zniknął za ciężkimi frontowymi drzwiami.

Odgarnęła włosy z czoła i spojrzała w perspektywę opustoszałej o tej porze uliczki. Gdzie ten pilot mnie wywiózł? —pomyślała i zwolniła nieco bieg ekwipartu, aby rozejrzeć się po okolicy. Minęła już blisko trzy czwarte uliczki, gdy zza zakrętu wyłonił się mały sportowy pojazd. — Chyba już go gdzieś widziałam— Matilda zwolniła jeszcze bardziej. Sportowy ekwipart zbliżał się coraz szybciej, jakby chciał ją staranować, po czym z wizgiem wyminął ją i w chwilę później zniknął za następnym zakrętem. —Jestem roztrzęsiona —pomyślała z ulgą —boję się nawet ruchu ulicznego. Ruszyła szybko i skręciła w przeciwną stronę, wymijając rząd zaparkowanych pojazdów, podobnych do uśpionych kajmanów. Gdy skręcała w następną przecnicę, jeden z pojazdów ruszył z wolna i podążył jej śladem. Matilda tymczasem poleciła automatycznemu pilotowi utrzymanie maksymalnej przepisowej prędkości na najkrótszej trasie do domu.

Ekwipart wiózł ją skrótem przez dzielnicę, w której jeszcze nigdy nie była. Znała ją jedynie z audycji telewizyjnych. Niebotyczne wieżowce ustępowały miejsca coraz niższym i coraz bardziej kolorowym domom. Szerokie arterie przelotowe rozsypały się w sieć wąskich, prostych uliczek osiedlowych, biegnących między rzędami domków stylizowanych na różne okresy historyczne miasta.

Na dłuższych uliczkach Matilda instynktownie zwalniała. Niekiedy stawała zupełnie. Mijało ją w tym czasie kilka ekwipartów, których zachowanie niczym jednak nie wyróżniało się wśród ospałego, popołudniowego ruchu na przedmieściu. Raz

wydawało się jej, że jeden i ten sam wóz wyminął ją dwa razy, ale numery rejestracyjne były różne. Histeryczne urojenia — uspokajała się w duchu i sięgnęła po pastylkę tonizującą. Apteczka była jednak pusta.

Pojazd, zwiększając prędkość, skręcił w dzielnicę przemysłową. Po obu stronach ulicy wyrosły długie, monotonne mury fabryczne, przecinane tu i ówdzie lokalnymi drogami dojazdowymi. Wjechała w długą, zupełnie pustą ulicę i przyspieszyła bieg ekwipartu, zerkając co chwila na boki w poszukiwaniu automatu farmaceutycznego. Wreszcie ujrzała go u wylotu drogi dojazdowej, która załamywała jednostajną płaszczyznę muru fabrycznego. Matilda zatrzymała pojazd i podeszła do automatu. Zauważyła wówczas, że tuż za skrzyżowaniem, w głębokim cieniu siedziało trzech mężczyzn, którzy leniwie o czymś rozmawiali. Ich ruchy były powolne, jakby z trudem pokonywali opór powietrza. Temporyści — pomyślała z niepokojem i wrzuciła szybko monetę do automatu. Po sekundzie we wgłębieniu pojawiła się fiolka z żądanymi przez nią pastylkami. Mężczyźni zbliżyli się na odległość dwóch kroków i otoczyli ją półkolem. Matilda poczuła niepokojący zapach zeschniętych liści. Przedawkowali Energopol — pomyślała w popłochu. — Są nieobliczalni — odwróciła się powoli i ruszyła w kierunku ekwipartu. Mężczyźni stali bez ruchu i przyglądali się jej pożądliwie. Już ich mijała, gdy jeden z nich złapał ją za rękę. Wówczas wszyscy trzej rzucili się na nią i zaciągnęli w cień przecznicy. Matilda nie opierała się zbyt, bowiem wiedziała, że opór jest bezskuteczny. Ci, którzy przedawkowali energosol, stawali się szczególnie niebezpieczni; zaspokajali swoje potrzeby za każdą cenę, nawet za cenę życia — swojego lub innych. Rozejrzała się bezradnie, ale nie dostrzegła żadnego patrolu porządkowego. A oni tymczasem szarpali niecierpliwie jej odzież, która z trzaskiem rozdieranej materii opadała z niej jak pasma kory z kaleczonego drzewa. Jeden z nich zaczął wysupływać się ze zwojów ubrania, zaś dwóch pozostałych trzymało jej ręce i nogi. Matilda zamknęła oczy i po chwili poczuła ciężar walącego się na nią ciała. I zaraz potem, jakby na przekór prawu grawitacji, ciało to uniosło się i zniknął krępujący ją uchwyt dwóch pozostałych mężczyzn. Otworzyła oczy i dostrzegła dwóch innych mężczyzn, bijących się z temporystami. Zerwała się szybko i pobiegła do ekwipartu, za którym stał drugi pojazd. Wskoczyła do wnętrza i nacisnęła starter. Wóz ruszył i wtedy Matilda zorientowała się, że w zaciśniętej dłoni trzyma fiolkę kupioną przed kilkoma minuta-

mi. Gdy pojazd nabrał szybkości, z ulgą rozparła się na fotelu. Przyszło odprężenie, które objawiło się lekkim, ale niezmiernie trudnym do opanowania drżeniem rąk i nóg, a potem całego ciała. Nagle poczuła, że jest jej zimno. Przełączyła urządzenie klimatyzacyjne na wyższą temperaturę i okryła się resztkami ubrania. Już teraz cała wypełniona była drżeniem, które lada moment przerodzić się mogło w spazm, znany w podręcznikach psychologii pod nazwą płaczu. Matilda nie lubiła tego spazmu, toteż zażyła podwójną dawkę pastylek uspokajających. Drżenie powoli ustępowało pod naporem uczucia ociążałej błogości, Matilda zbyt spieszyła się do domu, by zauważyć, że w odległości ponad dwustu metrów podąża za nią uparcie mały sportowy ekwipart.

Pierwszą rzeczą, jaką zrobił Webb po rozstaniu się z Coxem, było zażycie pastylki orzeźwiającej o ulubionym smaku astonishing. Jak się zaczyna akcję, to nigdy nie wiadomo, kiedy będzie czas na zażycie następnej. Rozejrzał się odruchowo i wsiadł do swojego ekwipartu. Po niezbyt długiej jeździe zatrzymał się przed Bankiem w tłumie parkujących tam pojazdów. Rozejrzał się jeszcze raz, po czym wszedł do Banku.

Nie dotarł jednak do głównej sali, ale przystanął przy budce portiera. Każdy szanujący się bank lubił zachowywać styl z dawnych, dobrych czasów. Wprawdzie utrzymywanie portiera kalkulowało się nieco drożej niż zainstalowanie automatu, ale za to klienci mieli poczucie, że dba się o nich. Portier niewiele mógł mu powiedzieć. Przez Bank Centralny przewijają się tysiące ludzi. A tej dziewczyny, o którą pytał Webb, nie widział, a przynajmniej nie przypomina sobie. Webb zaklął w duchu, poklepał portiera przyjaźnie i powiedział, że jeszcze tu wpadnie, a gdyby co, to żeby miał ją na oku i ewentualnie facetów, którzy mogą dookoła niej się kręcić. Portier mrugnął do niego porozumiewawczo („kto by lubił kręcących się przy dziewczynie facetów”) i przyrzekł, że „zrobi się”, co nie było z jego strony znów taką łaską. Webb wyciągnął go kiedyś z całkiem niezłej afery z temporystami i sam pomógł załatwić tę cichą przystań w Banku.

Webb pokręcił się jeszcze trochę po przestronnych pomieszczeniach Banku, po czym wyszedł na ruchliwą w tym miejscu ulicę. Cholerny upał —skrzywił się z niesmakiem. — Że też akurat w taki dzień trzeba wałęsać się po mieście, zamiast w

przyjemnym chłodku popijać sobie orzeźwiające koktajle i oglądać telewizyjne kawałki —powłókł się do wozu, zamknął drzwi pojazdu i połączył się z Długim.

— Jadę do jej domu, koteczku.

— Zgoda.

— W Banku spokój. A ty masz coś?

— Właśnie próbujemy łapać. Trzymaj się.

Ruszył dość szybko jak na tę ospałą porę dnia. Do domu Matildy nie było daleko. Toteż po kilku minutach zwolnił, czujnie obserwując ulicę. W następnej przecznicy powinien być jej dom —pomyślał i przestawił pilota na tempo spacerowe. Bacznie przyglądał się wszystkim przechodniom, co nie było zbyt trudne, bowiem o tej porze tylko nieliczni opuszczali domy lub miejsca pracy. —To chyba tutaj —zbliżył się na odległość pozwalającą odczytać numer domu. —Tak —upewnił się ostatecznie. Zatrzymał pojazd przed sąsiednim budynkiem. Jeszcze raz rozejrzał się, ale nie dostrzegł niczego podejrzanego. Uliczka była spokojna. Południowy, letni bezruch.

Webb sięgnął do kieszeni po flakonik ze środkiem usypiającym i wlał kilka kropel do małej plastikowej poduszeczki, swobodnie mieszczącej się w dłoni. Jeszcze raz uważnie zlustrował ulicę, wysiadł z wozu i swym miękkim, kocim krokiem podążył do domu Matildy. Dotknął przycisku i z wnętrza ozwał się melodyjny głos gongu. Nastawił ucha. W środku panowała cisza. Nie usłyszał najmniejszego ruchu. Zadzwoił jeszcze raz. Z tym samym rezultatem.

Wrócił do ekwipartu. Usiadł na przednim siedzeniu i połączył się z Długim.

— Nie ma jej, kotku.

— Tak? —Długi nie wydawał się zdziwiony.

— Chyba poczekam na nią w Banku, chociaż— zawahał się — tu byłoby znacznie łatwiej zaprosić ją do nas...

— Pamiętaj, że ona ma coś podjąć —przerwał mu Długi. — Lepiej czekaj tam, gdzie jesteś. Jeden kontakt już złapaliśmy. Z innymi pójdzie łatwiej.

— OK. —mruknął Webb bez entuzjazmu i sięgnął po pastylkę. Rozparł się wygodnie na fotelu i postronny obserwator mógłby przysiąc, że ten facet uciął sobie popołudniową drzemkę w chłodnym wnętrzu ekwipartu. Jednak Webb nie spał. On czekał.

Nie trwało to długo, bowiem nagle w senną ciszę uliczki wdarł się gwizd pędzącego pojazdu. Webb jeszcze głębiej zapadł w fotel i spod półprzymkniętych powiek patrzył na zbliżający się z przeciwka ekwipart. Był to wóz Matildy, który zatrzymał się gwałtownie przed wejściem do jej domu. Matilda podbiegła do drzwi, otworzyła je szybko i zniknęła w środku. Webb, nie zmieniając swojej pozycji ani o milimetr, zauważył, że zza zakrętu wyłonił się mały sportowy wóz, który zatrzymał się w odległości około stu metrów od pojazdu Matildy. Nikt z niego nie wysiadł.

Webb ponownie połączył się z Długim.

— Nasza ślicznotka jest w domu.

— Doskonale.

— Ale jest —zawahał się w doborze właściwego określenia —trochę nadwerężona.

— To znaczy?

— Ubranie ma sfatygowane. Jakby bardzo szybko chciała się rozebrać.

— Rozumiem. Jeszcze coś?

— Ma co najmniej jednego opiekuna.

— Ma dwóch.

— To już wiecie?

— Tak —głos Długiego zdradzał zniecierpliwienie.— Włącz swój sygnał pozycyjny. Podsyłam ci Coxa, bo sam nie dasz rady. Znajdzie cię na namiar. Pamiętaj o Banku...

— Pamiętam, do cholery —zdenerwował się Webb. —Teraz już powinno pójść szybko. Trzymaj się.

Ira poczuł skurcz strachu. Zaczął niezgrabnie chować klucz do kieszeni.

— Ira! — rzekła wylewnie Ann. — Kochany chłopcze. Trzeba było powiedzieć, że chcesz wyjść.

Ira zrobił niezdecydowany gest, w którym było zażenowanie i chęć obrócenia wszystkiego w żart. Twarz jego zdradzała jednak napięcie. Ann tymczasem ciągnęła dalej:

— Mój chłopiec chciał uciec, tak jakby go ktoś trzymał w zamknięciu. Ech, wy mężczyźni... Do śmierci zostaje w was coś z przedszkolaków.

— Annie —wyjąkał Ira —ja właśnie...

— Nie musisz mi nic tłumaczyć —przerwała mu. —To ja mam spełniać twoje polecenia. A teraz napij się tego — Ann podeszła bliżej i podała mu szklankę napoju. —To ci dobrze zrobi —położyła mu pieszczotliwie rękę na ramieniu. — Boże! Ty drżysz! Czy coś się stało?

— Nic — Ira był coraz bardziej zmieszany. Cała ta ucieczka wydała mu się nagle zupełnie idiotyczna. —Naprawdę nic. Wiesz, ciągle jeszcze nie mogę się znaleźć... Chciałbym...

— Wiem, wiem, co byś chciał —przysunęła się jeszcze bliżej do niego. — Pójdziemy razem zobaczyć ten piękny świat. Ale najpierw wypij to i zostaw mi trochę. Wypijemy razem, zgoda?

Wziął szklankę i pociągnął spory łyk. Cierpkawy, a zarazem lekko słodki napój wypełnił go ciepłem. Napięcie spadło. Czuł się znowu dobrze. Spojrzał na Ann z sympatią. Ona zgaduje moje pragnienia — pomyślał z nagłym rozrzewnieniem. — Ona wie, czego mi potrzeba. Jest naprawdę znakomitą pielęgniarką. Powiem o tym profesorowi. Powiem mu, że ma świetną pracownicę — spojrzał w na w pół przymknięte oczy Ann i poczuł ciepło jej ciała. Spod rozchylonego uniformu wyzierały małe, ale kształtne piersi. Odstawił na oślep szklankę i objął Annie.

— Ira —wyszeptała mu w ucho — chciałeś iść na spacer...

— Nie, Annie — przerwał jej niecierpliwie. — Nie teraz —zaczął całować jej twarz i szyję. — Chcę ciebie. Wieki całe nie miałem żadnej kobiety.

Ann broniła się lekko.

— Nie— szeptała —proszę... Jestem tylko...

Zakrył jej usta pocałunkiem. Ann, obejmując go, spojrzała na zegarek.

— Chodź, mój chłopcze — tchnęła mu w ucho. — Ja też ciebie chcę. Spleceni w uścisku osunęli się na puszysty dywan.

Cień rosnącego za oknem ogromnego kasztana utrzymywał w gabinecie nastrój naturalnego, pełnego świeżości półmroku. Szef siedział za biurkiem, bawiąc się niedbale mnemorekordem, który od niedawna wyparł zupełnie nieporęczne dyktafony. Wejście Martena skwitował uważnym spojrzeniem, po czym wskazał mu

fotel, stojący po przeciwnej stronie biurka.

— Siadajcie, profesorze —w jego głosie dawało się wyczuć znużenie. Zawsze sprawiał wrażenie znużonego. Marten od dawna podejrzewał, że jest to poza, która ma delikatnie sugerować rozmówcom pełne zaangażowanie w pracę. Nabrał tych podejrzeń od czasu, kiedy spostrzegł, że z wymiętoszoną, ptasią twarzą kontrastują skupione, zawsze czujne oczy, niezbyt dokładnie maskowane wypłowiałymi, plamistymi powiekami. Toteż i teraz Marten nie dał się zwieść owej nieuchwytej aurze rozluźnionego, nastroju. Wiedział, że Szef nie wezwał go, aby wyzalić się na niewdzięczną robotę albo by ponarzekać na niesfornych podwładnych. Siedział spięty i z niepokojem oczekiwał pierwszego pytania, które po krótkiej chwili milczenia istotnie padło.

— Czy dał nam pan wszystkie materiały dotyczące Wardensona? —Szef zadał to pytanie takim tonem, jakby odpowiedź mało go interesowała.

— Wszystkie — odparł żywo Marten — absolutnie wszystkie. Czyżby coś zaginęło?

— W zasadzie niczego nie brakuje, ale... —zawiesił głos i spod półprzymkniętych powiek spojrzął na Martena — ale jest pewna komplikacja.

Marten poprawił się niespokojnie na fotelu i sięgnął machinalnie po pastylkę orzeźwiająca. Zdał sobie jednak sprawę z niestosowności tego gestu i splótł ręce na kolanach.

— Pan opracowywał ten materiał, prawda?

— Tak. Nikt inny nie miał do niego dostępu. Nawet Annie, to znaczy porucznik Duray, zna jedynie fragmenty.

— I pan przekazywał ten materiał do Archiwum?

— Tak. Sam go zresztą umieściłem w Dziale Tajnym. Archiwista tylko pokwitował depozyt.

— Czy pańskim zdaniem był to ciekawy materiał badawczy?

— Bez wątpienia.

— Czy będzie on panu jeszcze potrzebny?

— Generale —głos Martena zadrżał tłumionym niepokojem. — Chyba nie zamierza pan pozbawić mnie dostępu do tego materiału? Przecież... przecież to położyłoby całe badania, a przynajmniej opóźniłoby...

— Rozumiem —przerwał Szeff. — Nie zamierzamy zabierać panu tego wszystkiego. Jest pan przecież członkiem Zespołu. A poza tym — dodał z okrutną szczerością — przedstawiają one dla nas wartość razem z pańskimi umiejętnościami i doświadczeniem. Bez pana stanowią one interesującą ciekawostkę naukową, a przecież nie jesteśmy po to, aby tracić czas na ciekawostki, prawda?

— Cóż więc się stało?

— Nie zostawił pan sobie przypadkiem kopii, tak na wszelki wypadek?

— Nie —odrzekł stanowczo — nie pomyślałem o tym. Ale uczynię to niezwłocznie.

— Nie ma pośpiechu. Już ktoś za pana to zrobił.

— Pańscy ludzie?

— Moi też —rzekł z naciskiem.

— Nie rozumiem.

— Ja też nie bardzo rozumiem.

— Generale! Czy chce pan powiedzieć...

— Tak, właśnie. Dostaliśmy materiały, z których ktoś zrobił kopie. Jeśli to nie był pan, to kto?

— To niemożliwe!

— A jednak prawdziwe.

— Zaraz, zaraz... — Marten czuł zamęt w głowie. —Osobiście dawałem Vittoliniemu kompletną dokumentację. Sejf otworzyłem sam. Nie przypominam sobie, aby nosił ślady włamania. Nie, na pewno ich nie było — upewnił się — zauważyłbym coś podejrzanego.

— Kto zna szyfr sejfu?

— Tylko ja.

— Jaki to szyfr?

— Jeden z szyfrów literowych, zrobionych przez was na użytek Zespołu.

— A więc nie tylko pan znał ten szyfr — stwierdził Szeff.

— No tak, formalnie rzecz biorąc, mógł go znać każdy z członków Zespołu Ekspertów. Ale z tego nic nie wynika! Przecież, gdyby komuś były potrzebne kopie, mógłby po prostu ich zażądać. To byłoby prostsze, prawda?

— Prawda —przyznał Szeff.

— Po co więc miałby ktoś potajemnie kopiować te materiały?

— Tego jeszcze nie wiemy —głos Szefa nabrał zimnych akcentów. —Ale dowiemy się — dodał z naciskiem — a na razie chcielibyśmy dać panu jakąś ochronę.

Jednak mi nie ufają —pomyślał Marten w nagłym popłochu. — Chcą znać każdy mój krok. Przecież i tak nigdzie nie ucieknę. Jakże mógłbym zostawić im jedyną rację mojego istnienia.

— Dziękuję bardzo —usłyszał swój głos, cokolwiek zmatowiały — ale wydaje mi się, że to przesadna ostrożność.

— Ja odpowiadam za pańskie bezpieczeństwo — uciął Szef.

— Nic mi nie może się stać — perswadował Marten. — Nie widzę powodu...

— Nie sądzę, aby dyskusja na ten temat coś dała. Jeśli ktoś skopiował te materiały, to szybko dojdzie do wniosku, że do kompletu brakuje tylko pana. Nie myśli pan chyba, że ktoś podjął ryzyko włamania dla zabawy? Ten, kto to zrobił, znał szyfr i chciał skopiowanie ukryć przed nami. Takie są fakty, prawda?

Marten skinął głową.

— Dla pańskiego bezpieczeństwa przydzielimy panu funkcjonariusza naszych Służb — spojrzał na Martena i dodał: — Na jakiś czas, ma się rozumieć.

Na biurku odezwał się melodyjny brzęczyk telefonu. Szef włożył mikrosluchawkę do ucha. Do Martena nie docierał najlżejszy dźwięk rozmowy. Szef wymruczał kilka razy „tak” i „rozumiem”, potem zadał pytanie: „Czy macie wszystkich?”, stwierdził: „To dobrze” i rozłączył się. Spojrzał na Martena i rzekł:

— To wszystko. Dziękuję, profesorze.

Wychodząc z domu, rozejrzała się uważnie. Nie dostrzegła niczego podejrzanego. Uliczka była senna, jak zwykle o tej porze. Może mnie nikt nie śledzi? — pomyślała z nadzieją. —Jak łatwo jest przecież wejść w rolę ofiary i jakże często jest się ofiarą własnych urojeń —wsiadła do ekwipartu, jeszcze raz odruchowo rozejrzała się i ruszyła w kierunku centrum miasta.

List. Teraz muszę odebrać list. Może wreszcie dowiem się choć cząstki prawdy. Jeśli on naprawdę umarł z powodu jakiejś nieznannej choroby, to cóż mógł do mnie napisać? Kilka słów pożegnania, które wobec nieodwracalności śmierci zawsze brzmią zdawkowo. Jeśli to była śmierć naturalna...—wóz odczekał chwilę przed

wjazdem na arterię i włączył się w strumień głównego ruchu. —Jeśli to była śmierć naturalna, to nie ma najmniejszych powodów do obaw, niezależnie od tego, czym Albert zajmował się za życia. Ale jeśli było inaczej? —Matilda poczuła lekkie mrowienie pod łopatkami, tam gdzie w upalny dzień czuje się łaskotanie strumyczków potu. —Jeśli Alberta zamordowano, to na pewno maczał w tym palce Marten. W końcu był jego lekarzem. I on na pewno wie, że ja będę pierwszą osobą, która domyśli się prawdy. Jeśli istotnie musieli Alberta usunąć, to muszą to samo zrobić ze mną. Albert nie miał rodziny, żył jak pustelnik. No, niezupełnie jak pustelnik; byłam przecież ja. Nieostrożnością byłoby zatem zostawienie mnie w spokoju. Wszystkie dzisiejsze wydarzenia układają się w logiczny ciąg, jeśli przyjąć, że zlikwidowali Alberta i to samo chcą zrobić ze mną i z listem — Matilda znów rozejrzała się odruchowo, ale jedyne, co zobaczyła, to zastępy ekwipartów sunące z przepisową szybkością, w równych odstępach, kontrolowanych przez centralny komputer komunikacyjny miasta. Przez przezroczyste kopuły pojazdów można było dostrzec pasażerów wpatrzonych tępo przed siebie, rozmawiających, czytających lub rozglądających się równie bezmyślnie jak ona. —Jednego przynajmniej mogę być pewna — pomyślała z gorzką satysfakcją. —Nikt nie może tutaj zbliżyć się do mnie ani mnie zatrzymać. A więc jestem nietykalna jak mucha pod kloszem.

Matilda nerwowym ruchem poprawiła włosy opadające jej na czoło. Czuła się osaczona, choć nie była pewna, czy uczucie to nie jest tylko skutkiem nastroju i wyolbrzymiania rzeczy nieistotnych, których zazwyczaj się nie dostrzega. Poczuła nagle, że znów jest jej chłodno. Przystawiła regulator temperatury. Ekwipart dojeżdżał do centrum miasta. Czyżbym się bała? Tak, ja po prostu boję się —poczuła lekką ulgę. — Boję się, bo jestem sama. Samotność zawsze budzi lęk. Samotność to bezbronność. Pojadę do Alice, to w końcu moja najlepsza znajoma. Pójdziemy razem do Banku. Wezmę list i wrócimy do niej. Tam będę czuła się bezpieczniejsza — podała pilotowi nowe współrzędne i po niedługiej chwili jej pojazd zatrzymał się przed mieszkalnym wieżowcem, przypominającym nieregularną piramidę sześciobocznych, przeszklonych pudełek. Wjechała na siedemdziesiąte ósme piętro, przeszła szybko przez lokalny zieleniec i stanęła przed drzwiami mieszkania przyjaciółki.

Drzwi otworzyła jej Alice ubrana w domowe, przezroczyste kimono. Spojrzała na

nią zdziwiona i rzekła:

- Matilda?
- Słuchaj, Alice! Chciałam cię prosić...
- Wejdz.
- Jesteś sama?

Alice spojrzała na nią z wahaniem i odparła:

- Nie, niezupełnie... Proszę, wejdz dalej. Czy coś się stało?
- Tak. Bardzo jesteś mi potrzebna.
- Siadaj. Powiedz wreszcie, o co chodzi?
- Albert nie żyje...
- Nie żyje...—powtórzyła bezwiednie Alice.— Ale przecież mówiłaś, że to nic

poważnego...

- Mnie też tak mówiono.
- To straszne... Jak to się stało...? Przygotuję ci coś do picia...
- Nie wiem.
- Nie powiedzieli ci?
- Nie. Wyrzucili mnie ze szpitala.
- Mad! Co ty mówisz! — rzekła z rosnącym niepokojem. — Jak mogli wyrzucić cię ze szpitala? Kochanie, przecież...
- Ty nic nie wiesz... Słuchaj... To jest —głos Matildy zadrgał —może głupie, ale... ale wydaje mi się, że ktoś mnie śledzi.

— Kochanie, jesteś strasznie zdenerwowana...— Alice pogłaskała ją. —Zaraz dam ci coś na uspokojenie.

— Jestem zupełnie spokojna! — krzyknęła Matilda, po czym zreflektowawszy się, dodała: — Gdyby to była śmierć naturalna, to nie postąpiono by ze mną w taki sposób. Kto jest u ciebie?

— Uspokój się, kochanie. To mój przyjaciel. Nie znasz go jeszcze, ale z pewnością poznasz.

— Alice, droga... Kiedy ostatni raz widziałam Alberta, był bardzo niespokojny. To było widać, choć starał się to ukryć przede mną. Wiesz, jaki był zamknięty w sobie. Ale wtedy, tego ostatniego dnia...— Matilda starała się stłumić ogarniające ją łkanie.

— Postanowiliśmy mieć dziecko... Mieliśmy naprawdę zacząć wspólne życie...

- Zdecydowaliście się na małżeństwo?
- Tak. Byłabym szczęśliwa. I potrafiłabym Alberta uczynić szczęśliwym.
- Na pewno, kochanie, ale...
- Tego dnia on był jakiś... Nie wiem, jak to określić. To on powiedział o tym dziecku. A jednak czułam, że dzieli mnie od niego jakaś ściana.
- Nic nie rozumiem —wtrąciła Alice. — Nie czuliście się razem w takiej chwili?
- Trawił go jakiś problem, którego nie mógł albo nie chciał mi powierzyć. Wyglądało, jakby rozliczał się z naszej miłości. I stąd może wzięła się propozycja małżeństwa. Był inny niż zawsze.
- Nie sądzisz, że mogły to. być już początki tej jego nagłej choroby?
- Dlaczego więc zostawił mi list?
- Jaki list, kochanie?
- Zdeponował w Banku Centralnym list czy testament. Na moje nazwisko. Właśnie wtedy mi o tym powiedział. Słuchaj, on czegoś się bał albo przeczuwał coś niedobrego. Powiedział, że jeśli mu się coś stanie, to mam ten list przeczytać. Boję się jednak tam iść. Boję się jednak tam iść sama — poprawiła się —napadli mnie temporyści.
- Mad — rzekła uspokajająco Alice — to wszystko jest bez sensu. Dlaczego Albert miałby zostawić ci list? Nie mógł ci tego po prostu powiedzieć?
- Widocznie nie mógł.
- To wszystko jest ponad twoje siły. Jesteś nerwowo wyczerpana. Widzisz wszystko na czarno. Jakieś tajemnicze siły śledzące, cię, jakieś listy od własnego chłopaka zdeponowane w Banku... napady w środku dnia...
- Alice —Matilda spojrzała uważnie na przyjaciółkę. —Ty mi po prostu nie wierzysz. Powiedz mi zatem, dlaczego zagarnięto mnie sprzed szpitala i porzucono w środku miasta.
- Kto cię zagarnął?
- Nie wiem. Powiedz, dlaczego, jak napadli mnie ci temporyści, to ktoś mnie obronił.
- Kto cię obronił?
- Nie wiem. Nie wiem. Nie wiem! Chcę tylko odebrać ten list. Pójdiesz ze mną?
- Oczywiście, kochanie! —powiedziała Alice, po czym dodała z lekkim

wahaniem: —Jeśli ci tak bardzo na tym zależy. Ale myślę, że powinnaś przede wszystkim odpocząć. Ochłonać po tym wszystkim. Wyjechać gdzieś, starać się zapomnieć. Jesteś bardzo młoda, masz znakomitą matrycę genetyczną? Całe życie przed tobą.

— Nic nie rozumiesz, Alice. Ja muszę wiedzieć, co chciał mi powiedzieć Albert.

— Naturalnie, kochanie.

— To była dziwna śmierć. Czy wiesz, że nie pozwolili mi nawet obejrzeć jego ciała?

— Wszystko się wyjaśni, zobaczysz.

— Tak, wyjaśni się...—powtórzyła Matilda machinalnie.

— Czy chcesz iść do Banku teraz?

— Tak.

— Dobrze, kochanie. Tylko uprzedzę go, że wychodzę.

Alice wyszła do drugiego pokoju, nie zamykając za sobą drzwi. Matilda dopiero teraz spostrzegła, że trzyma w ręku szklanekę, którą podała jej przyjaciółka. Pijąc lekko gorzkawy, wytrawny płyn, usłyszała strzępy rozmowy toczonej półgłosem w sąsiednim pokoju. Natężyła słuch; dobiegły ją pojedyncze słowa, wypowiedane niskim, męskim głosem: „Szok...”, „histeria...”, „nie twoja sprawa...”, „a jeżeli...”, „podejrzane...” Matilda wstała, odstawiła szklanekę i wyszła z mieszkania.

Podczas gdy Ann ubierała się, Ira wodził za nią oczyma, chociaż jego wzrok, jakby zamglony nieco, rejestrował niewiele z tego, co znajdowało się w jego zasięgu. Widocznie jego umysł zaprzątnięty był jakimiś innymi myślami. Ann spojrzała na niego badawczo, po czym zbliżywszy się, ujęła swymi zgrabnymi dłońmi jego głowę i pocałowała go, a właściwie musnęła wargami. .

— O czym myślisz, kochany?

Ira, oprzytomniawszy nieco, oddał jej pocałunek i rzekł:

— O niczym specjalnym, Annie, nie myślę. Muszę zaczerpnąć świeżego powietrza. Duszę się tutaj, rozumiesz? —głos jego drgał tłumionym gniewem.

— Rozumiem, głuptasku —odparła pieszczotliwie.

—Przyrzekłam ci, że pójdziemy na spacer. Prawda? Muszę tylko powiadomię profesora. Wiesz, tak mu zależy, abyś wyszedł z tego bez komplikacji...

— Wiem — mruknął Ira. —W ogóle jesteście dla mnie bardzo dobrzy. I profesor... i ty...

Ann uśmiechnęła się i szepnęła w jego zmierzwione włosy:

— Ty też byłeś dla mnie dobry —znów musnęła go wargami i dodała: —A teraz przygotuję ci mały koktajl. Objawy lekkiej klaustrofobii są absolutnie normalne. Podobnie zresztą jak i objawy dokładnie przeciwne. Nie myślałeś o tym, że jest ci w tym mieszkaniu bardzo dobrze, że czujesz się tutaj bezpiecznie?

— Istotnie, miałem takie stany — przyznał.

— No właśnie! A teraz dusisz się... Ale to wszystko minie, jak wrócisz do pełni sił.

— Minie... Oczywiście minie! Ale... ale to wszystko jest jakieś bez sensu...

— Co jest bez sensu, kochany?

— Nie mogę pewnych spraw zrozumieć.

— Czego na przykład?

— Według miejskiej rejestracji nie miałem żadnego wypadku... Przecież każdy, nawet najmniejszy wypadek jest skrupulatnie rejestrowany, prawda?

— Prawda, prawda — rzekła Ann z uśmiechem, który wydał się Irze cokolwiek sztuczny — ale nawet tej zautomatyzowanej maszynie biurokratycznej zdarzają się potknięcia. Zresztą profesor na pewno będzie wiedział, dlaczego nie zarejestrowano twojego wypadku.

— Dlaczego mój klucz nie pasował do zamka w moim mieszkaniu?

— Nie wiem dokładnie, kochany. Ale zwróć uwagę na fakt, że wypadek miałeś na ulicy, potem był szpital, a obudziłeś się w domu. Prawdopodobnie nie mogli znaleźć twoich kluczy. Wyważyli drzwi i wymienili zamki. Ot, i cała tajemnica... Ira, wierz mi, rzeczywistość nie jest tajemnicza. Wszystkie niesamowite wydarzenia pojawiają się tylko tu —dotknęła jego czoła — a prawdziwe życie jest okropnie zwyczajne.

— Może, może to wszystko minie, ale...—spojrzył na nią z udręką i dodał szybko:

— Nie, to jest zupełnie bez sensu.

Ann usiadła obok niego, objęła go i gładząc po policzku wyszeptwała:

— Powiedz mi o wszystkim, co cię męczy. Wyrzuć to z siebie. Poczujesz się lepiej, zobaczysz.

— Chodzą mi po głowie różne dziwne myśli. Takie niezwykle natrętne rojenia.

— Rojenia?

— Tak. Jakieś zupełnie bezsensowne obrazy. Widzę je bardzo wyraźnie. Nie mogę się od nich uwolnić...

— Opowiedz mi, to się od nich uwolnisz.

— Stoję w środku pola, przy czymś takim, co kiedyś dzieliło działki rolne. Zapomniałem, jak to się nazywało.

— Płot?

— Nie, nie, taki wąski pasek trawy.

— Miedza.

— Właśnie. Otóż stoję przy tej miedzy. Pole ma kształt dość głębokiej dolinki. A ja w jej środku. Przy mnie stoi jakaś dziewczyna. Jej twarz zasłonięta jest włosami. Coś do mnie mówi, a właściwie nie mówi, tylko bezgłośnie porusza wargami. Nic do mnie nie dociera poza szelestem rozfalowanego zboża. Chcę tej dziewczynie powiedzieć coś miłego, coś takiego, wiesz, prosto z duszy, ale nie mogę otworzyć ust. I wtedy widzę, że na wzgórzach otaczających dolinkę wyrasta ciemna ściana mroku. Ma ostre, wyraźnie zarysowane kontury. Widzę wyraźnie, że zsuwa się powoli w dolinę, równomiernie ze wszystkich stron. Czy to nie dziwne?

— Dlaczego?

— Przecież normalnie zmrok zapada najpierw na dnie doliny, prawda?

— Wiesz, w snach różnie bywa...

— Ale to nie był sen! —wykrzyknął Ira. — To jest szalenie natrętne seria obrazów, które widzę na jawie niemal.

Ann poruszyła się niespokojnie.

— Wiem, że to tylko wytwór mojej wyobraźni — ciągnął dalej Ira — ale niepokoi mnie to, że nie mogę nad nim zapanować.

— Często nawiedza cię ta wizja?

— Nie, pierwszy raz mam coś takiego. Obrazy przesuwają się wolno, mogę wszystkiemu przyjrzeć się dokładnie.

— Tylko to widzisz?

— Nie, skąd! —zaprzeczył żywo.

— Co jeszcze?

— Mrok jest już bardzo blisko, tak blisko, że jestem z dziewczyną w wąskim kręgu jasności. Wówczas chcę ją objąć, a ona, niczym bezskrzydły ptak, unosi się w kokonie jasności i ulatuje poza wzgórze. Mnie zaś pochłania absolutna ciemność. Czuję się przeraźliwie samotny. I w tym momencie słyszę sapanie — spojrzał na Ann i dokończył z wahaniem — sapanie konia.

— Konia?

— Tak. Wiem dokładnie, że jest to koń, choć nic nie widzę. Co więcej, czuję, że nie jest to koń rasowy, którego można wypożyczyć na przejażdżkę po parku, ale utrudzony pracą koń pociągowy. Kiedyś używano koni jako napędu, prawda?

— Prawda.

— Słyszę tego konia z bliska, słyszę dokładnie jego astmatyczne sapanie, potem coś jakby krótki, suchy kaszel i wszystko się rozplywa. Obraz niknie. A potem znowu od nowa.

Ann wstała, poprawiła włosy i rzekła:

— Przygotuję ci ten obiecany koktajl.

— Myślisz, że to skutek urazu? Te rojenia?

— Niewykluczone, chociaż —Ann zawiesiła głos — może to się wiązać z jakimś silnym przeżyciem. Byłeś kiedyś w skansenie rolniczym?

— Może kiedyś, bardzo dawno temu...

— Powiemy o tym profesorowi. On z pewnością znajdzie jakieś przyczyny.

— Teraz już chyba rozumiesz, dlaczego chcę wyjść między ludzi.

— Doskonale to rozumiem. Zadzwońię do profesora, a ty tymczasem wypij to — podała mu szklankę napoju i wyszła z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

Drzwi jednak, niedokładnie zamknięte, Uchyliły się z ledwie dosłyszalnym szmerem.

Ira, siedząc w fotelu, sączył powoli podany mu napój. Po kilku sekundach poczuł miłe, rozlewające się po całym ciele ciepło. Dopiero teraz spostrzegł, że mięśnie rąk i nóg miał nienaturalnie napięte. Rozluźnił się i usadowił wygodniej w fotelu. I wówczas z sąsiedniego pokoju dobiegł go głos Ann. Nie zwracał nań większej uwagi, dopóki nie dosłyszał powtórnego dwukrotnie: „Tak jest, kapitanie”. Znow poczuł falę niepokoju. Wstał cicho z fotela i podszedł do drzwi. Usłyszał jeszcze tylko: „Rozumiem, kapitanie”, „Dziękuję za pozwolenie” i potem lekki trzask rozłączonego

telefonu. Wrócił spiesznie na fotel, czekając wejścia Ann.

— Generale! — Vittolini prężył się w postawie zasadniczej. Widocznie nie czuł się w tym momencie zbyt pewny siebie. — Przebadaliśmy tych ludzi, którzy napadli Matildę Lorret. Cown i Pino z łatwością ich obezwładnili.

— I co? — Szef spojrzął na niego spod oka.

— Wydaje mi się...

— Nie interesuje mnie, co wam się wydaje — przeciął.

— Oni nie mają z tą sprawą nic wspólnego. Zupełnie przypadkowe spotkanie.

— Tak?

— To była po prostu grupka temporystów po dość silnej dawce jakichś leków. Zneutralizowaliśmy działanie tych środków. Teraz siedzą w pokoju przesłuchań i płaczą.

— Czy były to środki prawnie dozwolone?

— Robimy ekspertyzę — Vittolini rozluźnił się nieco — ale myślę, że potwierdzi się nasze przypuszczenie, iż chodzi tu o środki rozpowszechniane nielegalnie, prawdopodobnie energosol. Jeśli tak, to byłby to dobry powód, aby ich przystosować.

— Zgoda — rzekł szef, po czym dodał: — Po ekspertyzie weźcie od nich oświadczenia o chęci powrotu do społeczeństwa i roześlijcie ich do różnych zespołów resocjalizacyjnych. Zrozumiano?

— Tak jest!

— Co jeszcze?

— Śledztwo w sprawie kopii. Są nowe fakty.

— Słucham.

— Materiały skopiowano dziś nad ranem. Dokładnej godziny nie da się, niestety, ustalić. Zrobił to ktoś, kto zna szyfr i rozkład dyżurów w „Siódemce”.

— Jakież ślady są?

— Niestety nie, poza drobnymi zadrapaniami taśmy, co pozwoliło nam stwierdzić, że była z niej odbita kopia. Brak również odcisków palców, jeśli nie liczyć odcisków Martena, rzecz jasna. No, słowem — w głosie Vittoliniego zabrzmiało coś jakby podziw — robił to fachowiec.

- Ktoś z tamtej strony?
- Niewykluczone, chociaż...
- No, mówcie, mówcie — ponaglił Szef.
- Ten szyfr. W zamku nie znaleźliśmy żadnych śladów włamania. Jest prawie niemożliwe, aby szyfr był znany komuś stamtąd.
- A więc ktoś z Zespołu?
- Tak to właśnie wygląda...
- Ale po co?

Vittolini milczał. Zaś Szef usadowił się głębiej w fotelu i przymknął oczy, jakby miał zamiar uciąć sobie krótką drzemkę. Po chwili jednak, nie otwierając oczu, odezwał się:

— Marten nie musiał potajemnie robić kopii. Mógł zrobić ją w sposób absolutnie jawny. Zresztą wiedziałby, że pierwsze podejrzenia padłyby właśnie na niego. Chyba żeby zależało mu z jakichś powodów, abyśmy go o to podejrzewali. Ale jest to mało prawdopodobne, właściwie niemożliwe. On jest —Szef przerwał, szukając najwłaściwszego określenia — on jest miękki. Więc ktoś inny. Brak śladów włamania wskazuje na to, że poszukiwanemu przez nas osobnikowi znany był szyfr. Szyfr ten znają wyłącznie członkowie Zespołu. Ale... przecież każdy z nich, nie budząc podejrzeń, mógł oficjalnie zażądać kopii. Chyba że...

— Szef zamilkł, a po chwili ciągnął dalej: —Chyba że w świetle wypadków, które dopiero nastąpią, wyglądałoby to podejrzenie. I dlatego pragnął schować się w Zespole... Czyżby więc kolejna zdrada?

— Generale! —wtrącił Vittolim. —Przecież to w zasadzie niemożliwe.

— W zasadzie —powtórzył Szef. — A jednak znalazł się wyjątek. Dlaczego więc nie miały znaleźć się następny? Sprawdziliście już alibi członków Zespołu?

— To nie jest takie proste.

— A kto mówi, że to jest proste? —Szef podniósł nieznacznie głos. — Nie szukacie tu chyba łatwych zadań, do diabła!

— Zabiera to dużo czasu — poprawił się Vittolini. — Nie można dyskretnie sprawdzić alibi trzystu dwudziestu osób w ciągu trzech godzin. A formalne przesłuchania wymagałyby zgody Prezydium Zespołu. Mam na to zbyt mało ludzi. Do tej chwili możemy wykluczyć zaledwie osiemdziesiąt trzy osoby. Ale to kwestia czasu.

Myślę, że za osiem godzin będziemy mieli kompletne dane.

— Przeanalizowaliście już socjogramy Zespołu?

— Tak jest.

— Z kim łączyły Wardensona szczególnie silne więzi?

— Był powszechnie lubiany...

— Odpowiadajcie ściśle na pytania —głos Szefa nabrał niebezpiecznej oschłości.

— Tak jest!—Yittolini zaczął recytować jak komputer.— Wanderson otrzymał sto czterdzieści sześć wyborów pierwszej kategorii (przy przeciętnej dla członka zespołu osiemdziesiąt trzy, cztery dziesiąte wyborów), sto cztery wybory drugiej kategorii (przy przeciętnej sto pięćdziesiąt, sześć dziesiątych) oraz siedemdziesiąt dziewięć wyborów trzeciej kategorii (przy przeciętnej sto siedemdziesiąt pięć wyborów).

— Sprawdźcie więc przede wszystkim alibi tych, którzy wybrali go na pierwszym miejscu.

— Właśnie od nich zaczęliśmy.

Szef spojrzał na niego jakby nieco cieplej.

— Dobrze. Nie możemy wykluczyć, że Wardenson miał w Zespole jakichś współników albo przynajmniej sympatyków. Materiały skopiowano w tym samym czasie, w którym zakończył się pierwszy etap rekonwalescencji. Zadziwiający przypadek.

— Istotnie — przytaknął Yittolini.

— Ale ja nie wierzę w przypadki. Przynajmniej, w sprawach dotyczących Zespołu. Podstawowym naszym zadaniem jest ochrona Zespołu, ochrona jego spistości. Musimy w zarodku likwidować każde niebezpieczeństwo. Zarówno zewnętrzne, jak i... wewnętrzne. Do tego zobowiązuje nas prawo. Jasne?

— Tak jest!

— Jeśli więc ktoś potajemnie skopiował te materiały, to-z pewnością nie po to, aby wykorzystywać je w ramach Zespołu. Mogą one być wykorzystywane przeciw Zespołowi, gdyby je upowszechniono z tendencyjnym komentarzem albo jeśli ktoś w tajemnicy pragnąłby dokonywać podobnych zabiegów w sobie wiadomych celach. Tak więc, jeśli zaistniała druga ewentualność, to przestępca lub gang przestępców pokusi się o porwanie Martena.

— Rozumiem.

— Czy sprawa tej Lorret już się wyjaśniła?

— Jeszcze nie. Dziesięć minut temu wstąpiła do niej — Vittolini dyskretnie zajrzał do notesu

— Alice Takuna, hostessy National Airlines. Prawdopodobnie jest jeszcze u niej. Otoczmy hostessę dyskretną obserwacją, dopóki sprawa się dostatecznie nie wyjaśni. Nie znamy celu tej wizyty. Na razie.

— A więc kroi się nam niewąska robota. Coś grozi Zespołowi, a nie wiemy jeszcze co. A może już wiecie? — Szef spojrzął bystro na Vittoliniego.

— Mam nadzieję, że wkrótce będę wiedział.

— W każdym bądź razie sprawa wygląda coraz poważniej. To już nie tylko konieczność zapobieżenia konsekwencjom nieodpowiedzialnego działania zranionej kobiety. Zdaje się, że mamy do czynienia z zawodowcami, którzy albo są w Zespole, albo mają z nim jakieś powiązania. I którym obce są humanitarne cele działania Zespołu — Szef spojrzął przenikliwie na swego podwładnego i dodał z naciskiem: — Ważniejszy dla nich jest ich własny interes, a nie interes społeczeństwa Apostezjonu. Wiecie, czym to pachnie?

— Nie sądzę jednak — wtrącił Vittolini — aby Lorret była na ich usługach. Nie wiedziała nic o operacji i nadal nic o niej nie wie. A oni wiedzieli. Nie, ona nie ma z tym nic wspólnego.

— Na razie, na razie. Nie można jednak wykluczyć, że będą ją chcieli wykorzystać. Musicie więc zapobiec i tej ewentualności. Czas działa na waszą niekorzyść. Czy to jest jasne?

— Tak jest.

— Informujcie mnie na bieżąco — Szef pochylił się nad papierami rozłożonymi na biurku i dodał ciszej: — To wszystko.

Vittolini skłonił się lekko i ruszył w stronę drzwi.

Webb dojrzał zbliżający się ekwipart Coxa. Gdy go minął, ledwo dostrzegalnym gestem dał znać, że go widzi, Cox odpowiedział mu takim samym skinieniem głowy, po czym — nie zwalnając — przemknął obok. Webb poczuł się jakoś rażniej i natychmiast zawstydział się tego uczucia. Mruknął niezbyt pochlebną wiązaną pod własnym adresem i włączył radiotelefon.

— Co nowego, kotku?

— Panienska ma dwóch aniołów stróżów. Jeden siedzi w czerwonym wozie sportowym...

— Tyle zdążyłem sam zauważyć.

— ...a drugi w starym, rozklekotanym pudle rodzinnym, które nie jest znowu aż tak bardzo rozklekotane.

— Co dalej?

— Czerwonego masz tuż pod nosem, a drugi zaparkował po przeciwnej stronie wieżowca, a teraz instrukcja od Długiego. Jak tylko nadarzy się sposobny moment, ja biorę na siebie obstawę, a ty zwijasz dziewczynę i zawozisz ją w wiadome miejsce.

— Dlaczego ty masz brać na siebie obstawę?

— To rozkaz — uciął krótko Cox — a poza tym, dlaczego nie ja? Ktoś musi to zrobić, a twój wóz nie ma takich przyspieszeń, a ponadto, wybacz, rzuca się w oczy. Może gdybyś go kiedyś umył...

— Zamknij się —mruknął Webb. — Rozkaz, to rozkaz. Co rozumiesz przez „stosowny moment”?

— Możliwie ruchliwe miejsce, gdzie obstawa nie będzie mogła...

— Wychodzi! — przerwał mu Webb. — Sama. Trzymaj się, Cox.

— Rozłączam się. Powodzenia, Webb.

Webb dostrzegł Matildę, gdy przecinała chodnik, kierując się w stronę ekwipartu. Pewna ociężałość chodu wskazywała na to, że spotkał ją jakiś nieoczekiwany zawód. Wsiadła do wozu, który po chwili ruszył, nabierając przepisowej szybkości. Czerwony ekwipart ruszył w chwilę potem z takim samym przyspieszeniem. Trzymają ją na namiarze —pomyślał Webb, sięgając machinalnie po kolejną pastylkę orzeźwiającą. A właściwie nie ją, tylko jej pojazd. A może by tak... — nie dokończył tej myśli, gdyż spostrzegł, jak z przecznicy z wizgiem opon wyskoczył ekwipart opisany przez Coxa. Webb uruchomił swój pojazd i dołączył do kawalkady niewidocznej dla postronnego obserwatora.

Długi spojrzął nerwowo na zegarek. Do godziny 13.00 brakowało zaledwie ośmiu minut.

— Karden — powiedział cicho — czas nagli. Bawisz się tym selektorem już pół godziny.

— Nie przeszkadzaj! — warknął Karden pochylony nad płaską skrzynką, z której raz po raz wydobywały się piskliwe dźwięki, rozsiane w eterze. Długi zaczął wertować wydruki komputerowe, lecz po chwili zaprzestał, jakby zniechęcony jałowością tej czynności.

Karden spojrział na niego znad selektora i rzeki:

— Jeśli nie możesz usiedzieć spokojnie, to zażyj pastyl... chciałem powiedzieć: przespaceruj się. Wyłapałem już cztery częstotliwości podstawowe. Ale żeby wiedzieć, o którą chodzi, muszę usłyszeć opiekuna Wardensona. Inaczej nie uzyskam namiaru.

— Skąd wiesz, że to właśnie te częstotliwości?

Karden spojrział na niego przeciągle i znów pochylił się nad selektorem.

— No dobrze, dobrze... — rzekł Długi pojednawczo. — Rób swoje, byle skutecznie.

W pokoju zaległa ciężka cisza, przerywana od czasu do czasu popiskiwaniem aparatu. Po chwili jednak chaotyczne szумы ustąpiły miejsca krótkiej sekwencji dźwięków, które przypominały melodyjny sygnał telefoniczny. Długi zamarł w bezruchu, jakby bał się te dźwięki spłoszyć, zaś Karden począł manipulować przy aparacie.

— Mam — szepnął Karden. — Nareszcie odezwał się — w jego głosie zabrzmiała widoczna ulga. — Biorę namiar.

Tymczasem z głośnika dobiegł ciepły, kobiecy głos:

— Melduje się Ann, pacjent chce wyjść na spacer.

A potem twardy, męski głos, na dźwięk którego

Długi jakby sprężył się do skoku:

— Możesz wyjść Ann, ale tylko na spacer. Żadnych przejażdżek. Zrozumiałaś?

I znów ten sam kobiecy głos:

— Tak jest, kapitanie.

A potem męski:

— Wracajcie najpóźniej za godzinę.

Głos kobiecy:

— Rozumiem, kapitanie.

I męski krótko:

— To wszystko.

I na koniec kobiecy, jakby z odrobiną zalotności:

— Dziękuję za pozwolenie.

Zaraz potem pojawiła się krótka sekwencja melodyjnych sygnałów, po których z głośnika dobyły się znów nieregularne piski.

Długi słuchał w napięciu lakonicznego dialogu i bacznie obserwował skomplikowane manipulacje Kardena. Zawsze z pewnym nabożeństwem odnosił się do techniki. Ów nabożny zachwyty zmieszany był jednak z pewną nieufnością, jaką wzbudzają rzeczy niezupełnie znane. Toteż i teraz zapytał z niepokojem.

— Złapałeś namiar?

— Tak. Mam współrzędne. Kwadrat B-Jeden-Osiemnaście — spojrzał na plan aglomeracji. — Spory kawał drogi.

— Dlaczego Cox i Webb tak marudzą? — Długi potarł nerwowo policzek, po czym dodał: — Słuchaj Karden, ja muszę tu jeszcze kilka godzin posiedzieć, żeby utrzymywać z wami wszystkimi kontakt. Ty powinieneś tam pojechać.

— Rozumiem.

— Obserwuj ich tylko. Nie wszczynaj żadnej akcji. Sam nie dasz rady. Cox i Webb mają w tej robocie doświadczenie.

— Jasne.

— Podeślę ci Webba, jak tylko skończą swoje. Ja w tym czasie z Coxem postaram się sprowadzić Martena. Oba skoki muszą być zsynchronizowane w czasie, rozumiesz? Chłopcy ze Specsłużby będą mieli głupie miny.

— Ty ich nie lubisz, Długi.

— Nie przepadam za nimi — uciął krótko.

— Tak... Słyszałem, że miałeś z nimi jakieś historie. .

— To źle słyszałeś.

— Wiesz, Długi, wydaje mi się, że ty ich jakoś specjalnie nienawidzisz. Ty robisz to nie tylko dla pieniędzy.

— Głupstwa gadasz.

— W gruncie rzeczy mnie to mało obchodzi, ale ci powiem, Długi, że Sponsor wiedział, komu powierzyć organizację tej całej akcji. Ty byś to zrobił nawet bez

pieniędzy, co?

— Nie męcz mnie, Karden — odparł Długi. —To przecież nie' ma znaczenia. Nieważne jest, dlaczego to robimy. Ważne natomiast, abyśmy zrobili to zgodnie z umową. Jasne?

— Jasne, ale...—nie ustępował Karden. —Głos tego specja... Vittoliniego. Ty go znasz, prawda? Zbladłeś jak panna przed pierwszą wizytą w centrum integracyjnym.

Długi spojrzał na niego uważnie i rzekł:

— To moje sprawy, Karden.

— Jak już w coś się pakuję, to lubię wiedzieć, w co się gra. Dlaczego tylko ty jeden używasz pseudonimu?

— To naprawdę nie ma nic do rzeczy, Karden.

— Znamy się krótko, Długi, ale już powinieneś wiedzieć, że jedno, co mnie zawsze odstręczało od tego całego cyrku na Wyspie, to fakt, że nigdy naprawdę nie wiedziałem, w co się gra.

— Rozumiem cię, Karden —przerwał niecierpliwie— ale teraz nie mamy czasu na spowiedź. Wszystko ci kiedyś wyjaśnię...

— Traktujesz mnie jak Coxa i Webba — odparł wolno Karden. —To niedobrze, Długi. Jak ty się właściwie nazywasz?

Długi przeszedł nerwowo po pokoju, po czym zasiadł naprzeciwko Kardena i rzekł:

— Nazywam się... Vittolini. Tak, Vittolini, jak ten gówniarz ze Służb Specjalnych, który kiedyś był moim bratem. Zadowolony jesteś teraz?

Zapanowało milczenie, które przerwał Karden:

— To rzeczywiście są twoje sprawy, Długi. Nie chcę się do nich mieszać.

— No, to do roboty —rzekł Długi już swym zwykłym, beznamiętnym głosem. — Do godziny szesnastej kontakt przeze mnie. Potem likwiduję tutaj cały majdan i kontaktujemy się systemem „każdy z każdym”. Czy wszystko jest jasne?

— Jasne.

— Do roboty i... zapomnij o tym, co ze mnie wydusiłeś.

— Oczywiście, Długi.

Co za dzień — pomyślał z niechęcią Marten, wsiadając do ekwipartu. — Kroci się

całkiem spore zamieszanie. Czego właściwie oni ode mnie chcą? Zrobiłem wszystko zgodnie z przepisami bezpieczeństwa. Nic nie mogą mi zarzucić. Absolutnie nic — włączył starter i podał automatycznemu pilotowi współrzędne mieszkania, w którym przebywał Dogow. Pojazd nabierał normalnego przyspieszenia.

Co za idiotyczny zbieg okoliczności. Pierwszy zabieg, zrobiony w najgłębszej tajemnicy, i takie komplikacje. Nie, to nie mógł być zwykły zbieg okoliczności — poprawił się w fotelu. — Ktoś dobrze wykalkulował całą sprawę. Ale kto? Przecież o zabiegu wiedziałem tylko ja, Prezydium Zespołu Ekspertów, no i... ci ze Służb Specjalnych. Gdzie nastąpił przeciek? A może w ogóle go nie było? — na myśl o tym Martenowi zrobiło się chłodno. — Czyżby była to... Nie, niemożliwe... Prowokacja nie miałaby sensu. Mieli przecież dużo okazji do sprawdzenia mojej całkowitej lojalności. Komu mogłyby się przydać kopie materiałów? Zaraz, zaraz... — próbował uporządkować rozwichrzone myśli. — Służby Specjalne? Mogli zażądać oficjalnie. A więc nie oni. Ktoś z Zespołu? A właściwie ktoś z samego Prezydium? Nie, jednak trzeba wziąć pod uwagę cały Zespół. Ci z Prezydium mogli o tym poszeptać tu i ówdzie. Przecież sam czyniłem podobnie. A w tym przypadku decyzja miała charakter precedensowy. Na pewno były przecieki w ramach Zespołu. A więc ktoś z Zespołu. To by się zgadzało z brakiem śladów włamania. Ktoś otworzył zamek szyfrowy. Ktoś znał szyfr. Tak — zasępił się — zaczyna się to wszystko powoli zgadzać. Ale jeśli tak, to dlaczego ten ktoś po prostu nie poprosił o legalny wgląd do materiałów? Dlaczego chce pozostać w ukryciu? Czyżby szykował mi po cichu jakieś świństwo? Niby jesteśmy wszyscy równi, a jednak

— pomyślał nie bez satysfakcji — moje osiągnięcia są dla prac Zespołu szczególnie cenne. Mogło się to komuś nie podobać — spojrzął w boczne lustro. Za nim podążał ekwipart podobny do tysięcy innych.

— Obstawa — stwierdził machinalnie. — Chronią mnie, a może raczej... śledzą? Zresztą wszystko mi jedno. I tak będę podejrzany, dopóki cała sprawa się nie wyjaśni... A jeżeli nie wyjaśni się nigdy?

Sięgnął po pastylkę orzeźwiającą i rozejrzał się wokoło. Ekwipart niósł go przez jedno z licznych centrów handlowo-usługowych. O tej porze zaczynało żywiej pulsować tętno życia ulicznego. Przed wielu barami szybkiej obsługi gromadziły się grupki osób, które tego dnia postanowiły później wrócić do swoich domostw. Tu i

ówdzie poczęły migotać neony centrów integracyjnych, gdzie każdy miał prawo czuć się przyjacielem każdego i gdzie najczęściej tworzyły się wielomiesięczne, a nawet kilkuletnie pary lub grupy małżeńskie. Marten był jednak zbyt zaabsorbowany własnymi myślami, aby dostrzec w pełni urodę codziennego życia Apostezjonu.

Mogli przecież skopiować materiały tylko po to, aby zrobić mnie w aferę, która w ogóle nie istnieje —myślał gorączkowo. —Tak, to jest bardzo prawdopodobne. Wiedzieli, że Służby Specjalne są czujne i na pewno ten fakt zauważą. Są przekonani (i słusznie), że spowoduje to najróżnorodniejsze domysły, a Służby Specjalne nie zamkną sprawy, dopóki wszystkiego nie wyświatlą. Siedzę w środku jak biskopt w melbie. Wystarczy sięgnąć po łyżeczkę. Całkiem zręcznie to pomyśleli. Służby Specjalne będą przez długie miesiące wyjaśniać zagadkę, której po prostu nie ma. A mnie przez długie miesiące będzie otaczać atmosfera dwuznaczności, nieudomówień i podejrzeń. To spowoduje, że odsuną mnie od najtajniejszych prac Zespołu, a może nawet zastosują informacyjną kwarantannę. To zaś oznacza... Tak, to oznacza początek końca. Zaufanie to taka misterna konstrukcja, którą buduje się długo, ale którą można zrujnować przez usunięcie* najdrobniejszej cegiełki. Stwarzanie wokół mnie tajemnicy może być właśnie tą cegiełką. Liczą się w końcu tylko fakty, a one —jak by na to nie patrzeć —stawiają mnie w dwuznacnym świetle.

Droga zeszła mu szybko i ani się obejrzał, kiedy ekwipart zaparkował z sykiem hamulców przed ogromnym wieżowcem, w którym mieścił się "den z apartamentów Służb Specjalnych.

Marten jechał do tego apartamentu, aby ponownie spotkać się z Dogowem. Chciał bowiem zorientować się, na ile udało mu się wytłumaczyć działanie podświadomości pacjenta. Nadszedł czas, aby delikatnie wyjaśnić mu, czego może oczekiwać w przyszłości. A oprócz tego przypuszczał, że zainteresowanie się stanem Dogowa pozwoli mu choć na chwilę zapomnieć o kłopotach. Drzwi jednak zastał zamknięte, a na dźwięk gongu nikt nie odpowiadał. Zaniepokojony sięgnął po zapasowe klucze i wszedł do środka. Mieszkanie było puste. Marten rozejrzał się po pokojach, ale nie zauważył nic szczególnego. Podeszedł więc szybko do radiotelefonu. W słuchawce ozwał się opryskliwy głos Vittoliniego:

— Słucham!

— Mówi Marten.

— Witam, profesorze —głos nabrał podejrzanie uprzejmych akcentów.

— Dzwonię z apartamentu, gdzie umieściliście pacjenta. Nikogo tu nie ma... Czy coś się stało?

98

— Drogi profesorze —głos był równie uprzejmy jak poprzednio. — Proszę się nie niepokoić. Wszystko w porządku.

— To znaczy? Przecież zabroniłem...

— Nie zdołaliśmy skonsultować się z panem, a pacjenci chciał koniecznie wybrać się na spacer.

— Ale...

— Rozumiem pański niepokój, profesorze, ale zapewniam, że pacjent jest pod dobrą opieką. Wrócą najpóźniej za dwadzieścia minut.

— Kapitanie! Takie działania mogą zakłócić przebieg readaptacji! —wykrzyknął wzburzony Marten.

— Muszę z nim porozmawiać. Gdzie oni są?

— Gdzieś w okolicy. Jeśli panu tak bardzo zależy —głos był już o ton chłodniejszy —mogę sprowadzić ich za, powiedzmy, pięć minut. Zgoda?

— Dobrze. Będę tu czekał. Do widzenia, kapitanie.

— Do widzenia, profesorze.

Marten odłożył słuchawkę i podszedł do automatu z napojami. W klimatyzowanych wnętrzach zawsze zasychało mu w gardle.

Matilda spojrzała na podręczny chronometr. Cztery minuty po trzynastej — zarejestrowała machinalnie. Poczowała się bezradna i samotna. Jak wtedy, gdy jeszcze chadzała do centrów integracyjnych. Alice...ona bała się... Jedyna osoba, którą mogłaby nazwać stałą przyjaciółką, bała się niejasnej sytuacji. — Dlaczego tak się dzieje, że gdy sytuacja jest niejasna, przyjaźń chowa się w zakamarki pamięci, a na wierzch wypływa troska o własny spokój? —myślała, jadąc w kierunku Banku. — Dlaczego nietypowe sytuacje częściej oddzielają ludzi, niż ich łączą? Może dlatego,

że na Apostezjonie nie ma właściwie nietypowych sytuacji? Ale dlaczego Alice bała się?

Ekwipart niósł ją przez zatłoczone arterie śródmieścia. Właściwie to proste — olśniła ją nagle myśl —przecież w obecnej sytuacji ja już nic więcej nie mogę stracić. Mogę natomiast coś zyskać. Na przykład list od Alberta. A Alice? Cóż ona może zyskać? Nic. Najwyżej kłopoty. A przecież każdy dąży do tego, by mieć spokój. Alice i jej przyjaciel działali racjonalnie. A ja zachowałam się jak sentymentalna, rozhisteryzowana kobietka, którą czasami widuje się w dramatach telewizyjnych. Życie jest może dramatem u tamtych, zza morza. Ale u nas? U nas trzeba być wierzącym pragmatykiem. Kto nim przestaje być, ten wcześniej czy później kończy wśród temporystów. Nie, nie... Nie mogę winić Alice. Mogę winić siebie, że usiłowałam wciągnąć w niecodzienną sprawę swoją najbliższą znajomą.

Pojazd zatrzymał się na parkingu przed głównym wejściem do Banku Centralnego. Matilda obejrzała się odruchowo i wysiadła. Uświadomiła sobie, że zmierza do głównego wejścia nienaturalnie szybko. Jakby uciekała przed czymś. Weszła do hali operacyjnej, w której na pozór beładnie kłębił się tłum interesantów. Podeszła do najbliższego automatycznego rejestratora zleceń, podała numer sejfów Alberta, swój numer identyfikacyjny i prośbę o wydanie listu. Ekran rejestratora rozblęsnął zielonkawym światłem, które po chwili uformowało się w napis powtarzający treść zlecenia i informujący, że jego realizacja nastąpi w okienku 38 o godzinie 13.14.

Matilda spojrzała na zegar. Do wyznaczonego czasu brakowało dwóch minut. Wyjęła z torebki plastikową kartę identyfikacyjną z wytłoczonymi danymi personalnymi i poczęła szukać okienka 38. Po chwili dostrzegła w przeciwległym końcu hali poszukiwany numer. Krążyła w pobliżu, dopóki na tablicy wywoławczej nie zapalił się napis z jej nazwiskiem. Wówczas podeszła do okienka i wpuściła kartę identyfikacyjną do urządzenia kontrolującego tożsamość. W kilka sekund później otworzył się pojemnik, w którym obok jej karty spoczywała szara koperta. Matilda chwyciła oba przedmioty i schowała je szybko do torebki.

W tym momencie w hali zaczęło dziać się coś dziwnego. Najpierw rozległy się pojedyncze krzyki przestachu, zaś później nawoływania i bieganina. Ujrzała

rozstępujący się w dwóch przeciwległych końcach hali tłum. W pierwszym odruchu chciała podejść, aby zobaczyć, co się stało. Nie ruszyła się jednak, bowiem zauważyła, że na opustoszałej posadzce leżą nieruchomo mężczyźni. Wówczas poczęła szybko iść do wyjścia, ale zanim do niego dotarła, poczuła na ramieniu czyjąś rękę.

Webb jechał ostrożniej niż zwykle; zresztą zawsze zaliczał się do pasażerów, którzy z przeczności wykorzystywali możliwości automatycznego pilota jedynie w połowie. Tym razem jednak zupełnie wyłączył pilota i sam prowadził. Wydawało mu się, że tak będzie rozsądniej. Trudno było przewidzieć przecież, co może strzelić do głowy obstawie, nie mówiąc już o tej Lorret. Pilnował odstępu między pojazdami jak na Paradzie Potęgi Apostezjonu. Wprawdzie nigdy nie brał w niej udziału, ale wiedział, na czym ta sztuka polega. Przecież rok w rok oglądał ją w telewizji.

Coxowi udało się wcisnąć między dwa pojazdy speców, co nie było trudne w ruchu ulicznym śródmieścia. Toteż jechali w takiej kolejności: najpierw Matilda, potem pierwszy spec, Cox i drugi spec. A za nimi jeszcze Webb, który miał na oku ich wszystkich. Dlatego też gdy tracił pojazdy z pola widzenia, spoglądał wyczekująco na radiotelefon. Cox jednak nie odzywał się, co oznaczało, że wszyscy trzymają się w kupie.

Ani się obejrzał jak wjechali do centrum. Teraz już wiedział, gdzie jadą. Jednak Bank — pomyślał z zadowoleniem. — Żeby tylko tamci nie zechcieli sprzątnąć jej nam sprzed nosa — czuł się jak pływak, który po przystosowaniu do nazbyt chłodnej wody zażywa wszystkich rozkoszy kąpieli. Zgodnie z jego przewidywaniami pojazdy poprzedzielane przypadkowymi ekwipartami wjeżdżały na parking przed głównym wejściem do Banku. Webb przyspieszył trochę, aby nie stracić z oczu obstawy. Dostrzegł wysiadającą Matildę, a później dwóch facetów, którzy lekko kołyszącym się krokiem podążyli jej śladem. Webb zarejestrował ich twarze i sylwetki. Upewnił się jeszcze, że obstawa zniknęła we wnętrzu budynku, po czym otworzył skrytkę i wyjął maleńką poduszeczkę z przezroczystego plastyku, z której po naciśnięciu wyskakiwała ledwie widoczna igła. Sprawdził działanie mechanizmu, przymocował pieczołowicie poduszeczkę do wewnętrznej części dłoni i wysiadł z pojazdu. Nie

opodal stał Cox; z widocznym zainteresowaniem studiował świetlną tablicę ogłoszeniową. Webb również zajął się lekturą ogłoszeń i rzekł półgłosem:

- Widziałeś ich, kotku?
- Mhmm... — mruknął Cox.
- Którego wolisz?
- Wszystko jedno. Może być ten wyższy.
- Myślisz, że jest ich tylko dwóch?
- Nie wiem. Ryzyko zawodowe.
- Kiedy?
- Jak tylko ona załatwi sprawę.
- W porządku.

Najpierw do środka wszedł Cox, a w chwilę później Webb. Rozejrzał się uważnie. Wystarczyło mu kilka sekund, aby wyłowić z tłumu postać Matildy Lorret i zwaliste sylwetki tych dwóch. Podeszedł w pobliże niższego i z zadowoleniem stwierdził, że Cox w podobny sposób zbliża się do drugiego. Webb krążył nie opodal niższego, co nie było specjalnie trudne z dwóch powodów. Po pierwsze, większość ludzi w hali wałęsała się pozornie bez celu, oczekując załatwienia swojej sprawy. Po drugie zaś, „jego” spec zbyt był zaabsorbowany obserwacją Matildy i tego drugiego, aby zwrócić uwagę na bliskość Webba.

Tymczasem Matilda —Webb widział to dość wyraźnie, mimo iż działo się to po drugiej stronie hali — podeszła do okienka i wpuściła kartę identyfikacyjną. Wówczas „jego” spec dał znak temu drugiemu, który skierował się w stronę Matildy. W tym momencie Cox skoczył ku niemu, potrącił go i —jakby chcąc uchronić go przed upadkiem —ujął go pod rękę. Webb podeszedł do niższego, zanim tamten zdążył zareagować na incydent, i przycisnął dłoń z poduszczką do jego ramienia. Niemal w tym samym czasie dwaj ludzie z obstawy osunęli się bezgłośnie na posadzkę.

Webb ruszył w stronę Matildy, która szybkim krokiem zmierzała do wyjścia. Wiedział, że Cox go ubezpiecza na wypadek, gdyby okazało się, że znalazł się tu jakiś kolega tych dwóch. Podeszedł do niej i położył rękę na jej ramieniu.

Matilda odwróciła się. Na jej twarzy malował się przestach. Webb ścisnął jej ramię i rzekł półgłosem:

— Bądź grzeczna, dziecinko, bo skończysz jak tamci.

Szarpnęła się odruchowo, ale Webb zacisnął uchwyt i dodał z groźbą w głosie:

— Uważaj, dziecinko, bo mam strasznie słabe nerwy...

— Czego chcesz?

— Chcę, żebyś poszła ze mną. Ale grzecznie...

Pchnął lekko Matildę w kierunku wyjścia, nie zwalniając jednak uścisku. Wyszli przed Bank, gdzie skierował ją do wozu Coxa. Usiadł z nią na tylnym siedzeniu, podczas gdy Cox zajął miejsce koło automatycznego pilota. Gdy opuszczali parking, dobiegł ich zbliżający się szybko odgłos jękliwych ścigaczy Specsłużb.

— Poszło łatwiej, niż przypuszczałem — mruknął Cox, podając automatycznemu pilotowi współrzędne jazdy.

— To była niezła robota, koteczku — Webb zamlaskał z przejęcia i sięgnął po pastylkę orzeźwiającą, którą z wyraźnym smakiem połknął. Potem wyjął całą fiolkę i rzekł do Matildy:

— Chcesz, dziecinko?

Popatrzyła na niego z przestachem i odwróciła głowę.

— Nie, to nie —ciągnął nie zrażony. — A może ty również, dziecinko, żyjesz tylko na naturalnym żarciu, co?

Matilda milczała nadal.

— Nie jesteś rozmowna — zauważył z przekąsem.

— Cox, ty znasz życie. Czy słyszałeś kiedy, żeby kobieta nie umiała mówić?

— Daj spokój, Webb. Rób tylko to, co do ciebie należy, a dobrze na tym wyjdiesz.

— W porządku, kotku. Zamykam się. Zamelduj tylko Długiemu, że pierwsza część zadania jest wykonana.

— Będzie wykonana — poprawił go Cox. — Będzie wykonana, jak odstawimy ją na miejsce. Z listem.

Gdy usłyszała te słowa, odruchowo przycisnęła do siebie torebkę.

— Myślisz —zaczął ostrożnie Webb —że powinniśmy zostawić jej ten list?

— W tym miejscu instrukcja nie jest jasna — odparł Cox, —Zapytam Długiego.

Włączył radiotelefon i po chwili z głośnika dobył się głos Długiego:

— Nareszcie się odezwałeś!

— Nie gorączkuj się. Wszystko idzie zgodnie z planem.

— To znaczy?

— Mamy dziewczynę. Właśnie ją odstawiamy.

— Wzięła to z Banku?

— Tak. Właśnie! Ma przy sobie—Cox zerknął przelotnie na Matildę —w torebce. Zabrać jej to?

— Instrukcja nic nie mówi na ten temat —w głosie Długiego dało się odczuć lekkie wahanie. — Ale na wszelki wypadek zabierz. Cholera wie, co tam może być.

— Zrobi się.

— Jestem tutaj do godziny szesnastej. Później komunikujemy się systemem „każdy z każdym” na częstotliwości zapasowej.

— Jasne.

— Następny meldunek po odstawieniu jej.

— Tak jest.

— Rozłączam się. Trzymajcie się.

— Cześć.

Cox wyłączył radiotelefon i zwrócił się do Webba:

— Na co czekasz?

— Nie! — to był okrzyk Matildy. —Nie zabierajcie mi tego! Błagam, kimkolwiek jesteście...

— Jednak wszystkie kobiety mówią —stwierdził Webb z zadowoleniem. — No, dziecinko, zachowuj się grzecznie, to i my będziemy grzecznymi chłopcami. Jesteś przecież rozsądna, prawda?

— Nie dam, nie dam —powtórzyła z determinacją.— Możecie mnie zabić, ale nie dam...

— A fe! —Webb skrzywił się z niesmakiem.— Któż tu mówi o zabijaniu? Czy wyglądamy na morderców?

— To wy zabiliście tych dwóch mężczyzn w Banku —bardziej stwierdziła, niż zapytała. —Zabiliście Alberta. Co on wam zrobił?

Opanowało ją to dziwne, jakby z trzewi płynące drganie, którego już dzisiaj

doświadczyła po spotkaniu z temporystami. Z wielkim trudem opanowała się.

— Zbyt często oglądasz telewizję, dziecinko — rzekł pojednawczo Webb. —Trupy padają w dramatach. Na Apostezjonie, powinnaś to wiedzieć, tylko samobójcy kończą życie w gwałtowny sposób.

— A Albert? Co zrobiliście z Albertem? Przecież nie popełnił samobójstwa!

Webb wymienił spojrzenie z Coxem, a potem powiedział:

— Zadajesz za dużo pytań. Cox, czy wszystkie kobiety są takie ciekawe?

— Skończ już to przedstawienie —mruknął Cox z niechęcią. —Zabierz jej, co masz zabrać, i przestań wreszcie mleć ozorem.

Webb rozłożył bezradnie ręce.

— Widzisz, dziecinko, do czego prowadzą głupie pytania. Cox się zdenerwował. — Nagle głos jego nabrał ostrości: — Daj ten list. Chyba że chcesz, abym sam się obsłużył, co?

Wyrwał torebkę z rąk Matildy i wyjął z niej szarą kopertę, a następnie schował ją do bocznej kieszeni kombinezonu.

— Co chcecie ze mną zrobić? Kim jesteście? Nie odpowiem na żadne pytania.

— A czy my pytamy cię o cokolwiek?

— Mam prawo wiedzieć, o co jestem oskarżona

— kiedy Webb zabrał jej list, poczuła się nieco pewniej. Znowu nie miała nic do stracenia. —A wy nie macie prawa porywać na ulicy spokojnego obywatela!

— Prawo... prawo... — pastylka wprawiła Webba w filozoficzny nastrój. —Cóż to jest prawo? To umowa silniejszego ze słabszym. Silniejszy umawia się ze słabszym, że w określonej sytuacji będzie go traktował w określony sposób. My jesteśmy dla ciebie prawem. I umawiamy się z tobą, że nie będziemy odpowiadali na pytania. Zgoda?

Matilda poruszyła się gniewnie.

— No widzisz —rzekł Webb tryumfująco. —Nie protestujesz, więc się zgadzasz. A zatem nasza umowa weszła w życie.

— Webb... —jęknął Cox.

— W porządku, koteczku. Zamykam się jak wrota Ośrodka Resocjalizacyjnego.

W ekwiparce zapanowało ciężkie milczenie.

Vittolini miotał się wściekły, co zdarzało mu się tylko wtedy, gdy robota była naprawdę spaprana.

Pino i Cown siedzieli w milczeniu, a ich opuszczone głowy świadczyły, że sami oceniają swoją robotę tak jak kapitan. Vittolini ciągle nie mógł się opanować.

— Daliście się podejść jak dzieci! Jak cholerne smarkacze, zapatrzone w kręcący się tyłek. Może przynajmniej opisze mi tych, co was uspili? Pino, słyszysz? Do ciebie mówię!

— Tak jest!

— Miałeś ubezpieczać Cowna.

— Cały czas miałem go na oku...

— Spokojnie, spokojnie ... — Vittolini tamował gniew. — Jeszcze raz po kolei.

— Więc — zaczął niepewnie Pino — miałem na oku Cowna...

— To już wiem, do cholery!

— I jednocześnie obserwowałem tę dziewczynę.

— Jak wyglądał ten człowiek? Weź się wreszcie w garść i mów jasno!

— Kiedy ja...

Vittolini bezradnie rozejrzał się po gabinecie, jakby wzywał ściany na świadków, że tępota Pino sięgnęła zenitu.

— Pino, fakty, potrzebuję wyłącznie faktów? Opowiedz mi wszystko, co pamiętasz od momentu wejścia do Banku. Wszedłeś tuż za Cownem. Co dalej?

— Cown ustawił się w jednym rogu hali, a ja w drugim, o tak mniej więcej — Pino szkicował w pośpiechu plan hali bankowej. — Ta dziewczyna podeszła najpierw do rejestratora, tutaj — pokazał na szkicu. — Złożyła zamówienie. Potem zaczęła iść w moim kierunku, więc musiałem zmienić miejsce postoju. Podeszła do okienka numer trzydzieści osiem. Dobrze mówię, Cown?

— Tak, to było okienko trzydzieści osiem.

— Co dalej — niecierpliwiał się Vittolini. — Nie mamy czasu na gadaninę.

— Stała tam chwilę.

— Chwilę?

— No — zająknął się Pino i spojrzał na Cowna

—nie więcej niż trzy minuty.

— Podjęła coś?

— Tak.

— Ja byłem bliżej —wtrącił Cown. — Widziałem wyraźnie, jak wpuszczała kartę identyfikacyjną, a potem wyjęła coś z pojemnika.

—Co to było?

—Nie zdążyłem dokładnie...

—Co to było? —powtórzył zimno Vittolini.

—Koperta. Chyba koperta w jakimś ciemnym kolorze. Pino dał mi znak i ruszyłem w kierunku obserwowanej. Chciałem ją pod jakimś pozorem zatrzymać. Wtedy, ktoś mnie potrącił, poczułem lekkie ukłucie... —zawahał się i dodał ciszej: — I dalej nic już nie wiem.

—Kto to był, Pino?

—Mężczyzna. Tyle zdążyłem zauważyć. Wzrostu mniej więcej Cowna. Ubrany standardowo.

—Wiek?

—To -było dość daleko...

—Wiek?

—Od trzydziestu do pięćdziesięciu lat.

—Co ty wówczas zrobiłeś?

—Nic — Pino zaczerwienił się — bo w tym momencie poczułem dotknięcie ręki i ukłucie. —Jego twarz wyrażała najgłębszą skruchę. — Pierwszy raz mi się...

—Weź się w garść! — przerwał z niesmakiem Vittolini. —Jeszcze mi się tu rozplączesz. Nic więcej nie możecie mi powiedzieć?

Spojrzeli na niego w milczeniu. ,

—Odmaszerować do lekarza dyżurnego. Niech zbada, czy jesteście już do użytku. Po badaniu zameldować się u Dregera po dalsze dyspozycje.

Dwaj mężczyźni wstali, przyjęli regulaminową postawę i ociężałym krokiem opuścili gabinet.

Tymczasem Vittolini połączył się z sekretariatem Szefa.

—Szef wolny? To bardzo pilne. Muszę natychmiast... Nic mnie nie obchodzi rozkład godzin! — krzyknął opryskliwie. — Muszę natychmiast się z nim zobaczyć! Natychmiast, rozumiecie? .

W pokoju słychać było jedynie tykanie staroświeckiego zegara, którego wskazówki zbliżały się do godziny 13.30. Coś tu się nie zgadza —myślał Ira, śledząc kątem oka Ann, która swoim zwyczajem siedziała skulona w fotelu i sączyła w zamyśleniu koktajl. —To nie są... To nie mogą być pourazowe urojenia. Przecież wyraźnie słyszałem. O ile wiem, „Siódemka” nie jest szpitalem wojskowym. Skąd więc ten kapitan...? Ciekawe..?—Ira wstał i włączył muzykę rozrywkową. Ann spojrzała na niego przelotnie, po czym rzekła:

— Naprawdę nie chcesz już wyjść?

— Nie. Przynajmniej nie w tej chwili.

— Jak sobie życzysz. Jeśli jednak...

— Tak! —przerwał jej nieco podniesionym głosem. —Jeśli będą miał ochotę, to niezwłocznie dam ci znać —od kiedy zorientował się, że mówi mu się zaledwie część prawdy, uznał, że musi przejąć inicjatywę we własne ręce. Musi decydować sam, aby zorientować się, gdzie są granice jego wolności (jeśli, rzecz jasna, jego hipoteza o istnieniu takich granic miałyby okazać się prawdziwa). Toteż zrezygnował z wyjścia z mieszkania. Skoro bowiem okazało się to możliwe, przestało mieć — przynajmniej na razie — jakkolwiek wartość poznawczą. Wziął pastylkę orzeźwiającą i znowu zagłębił się w fotelu umieszczonym w takim miejscu, które gwarantowało najlepsze efekty polifoniczne. Przymknął oczy, jakby pragnął odebrać wszystkie sekwencje dźwięków, wydobywających się z głośników. Ira lubił nerwową muzykę rozrywkową, bowiem pobudzała do myślenia, pozwalała oderwać się od nieistotnych szczegółów codziennego życia. Lubił zresztą nie tylko muzykę, lecz także poezję. Na tym, jeśli dobrze pamiętał, schodziła mu większość samotnie spędzanego wolnego czasu.

Poczuł działanie pastylki; kontury myśli wyostrzyły się. Jestem w swoim mieszkaniu, a czuję się obco — myślał. — Czuję się jak w hotelu. To jej obecność tak na mnie działa. Ona jest obca tutaj. Zawsze przecież mieszkałem sam... Czy naprawdę zawsze? Wiem, że zawsze mieszkałem sam, a jednak czuję, jakbym sam siebie okłamywał. Co za dziwne uczucie... —znów zarejestrował lekkie ukłucie bólu z tyłu czaszki. Dotknął tego miejsca, jakby pragnął zetrzeć ból razem z warstwą owych niepokojów. Na próżno. Ponownie ogarnął go niepokój, którego przyczyny nie był w stanie zgłębić. A to jedynie potęgowało ów nieznośny nastrój. —Jak to się dzieje —myślał dalej —że gdy piję koktajl Ann, to czuję się znakomicie? Natomiast zażycie

pastylki orzeźwiającej wprowadza mnie w stany lękowe? Przecież normalnie jest właśnie na odwrót. Po to bierze się pastylki, aby wytłumić irracjonalne niepokoje, aby widzieć sprawy takimi, jakimi naprawdę są... Czyżby więc... Nie, to niemożliwe. Moje reakcje są wbrew naturze. I wbrew faktom. Przynajmniej tym faktom, które znam. Dlaczego ta dziewczyna jest taka obca dla mnie —spojrzał na Ann z niechęcią —a mimo to pragnę jej? Dlaczego ciągle wydaje mi się, że coś tu się nie zgadza? Zaraz, zaraz... —zmusił się do opanowania.

Utwór muzyczny zmierzał już do jęklivego finału, rozedrganego wznoszącą się falą dźwięków. —Co tutaj się nie zgadza? Co? Zamki? Rzeczywiście mogli wymienić. Zresztą nie mieli innego wyjścia, skoro tylko ja znałem sposób użycia kluczy. Brak rejestracji mojego wypadku? Tak, to już jest coś. No i kapitan. Ale to przecież o niczym nie świadczy. Nie tu tkwi sedno sprawy. To tylko powierzchnia rzeczywistości. Mój niepokój tkwi głębiej. Ale gdzie? — rozejrzał się po pokoju, jakby to miało mu przynieść odpowiedź.

— Annie.

— Słucham, kochanie.

— Wyjdźmy stąd.

— Jednak? — w jej głosie zabrzmiały ledwie dostrzegalne nuty zadowolenia, że kobiety wiedzą lepiej, czego chcą mężczyźni

— Tak, jednak —potwierdził. — Zamknięci jesteśmy jak... Zresztą, wszystko jedno... Chciałbym zaczerpnąć świeżego powietrza.

— Ślady klaustrofobii — rzekła Ann. —To normalne. Minie bardzo szybko.

— Chodźmy! — zerwał się z fotela i zaczął się ubierać.

— Dobrze, kochanie —przytaknęła — ale pierwszy spacer nie może cię zbyt wyczerpać. Pochodzimy sobie po okolicy, dobrze? Mieszkasz w pięknej dzielnicy.

— Wszystkie dzielnice Apostezjonu są piękne —mruknął bez przekonania.

Ira nie mieszkał wysoko, toteż niewiele czasu zajęło im przebycie wewnętrznego układu komunikacyjnego w bloku mieszkalnym. Gdy wychodzili na zalane słońcem podwórze, Ann ujęła go pod rękę. Jakby się bała, że ucieknę — pomyślał. — A może po prostu odezwało się w niej jakieś uczucie? Zdarza się czasami, że kobiety nie kontrolują swoich reakcji po kontakcie z mężczyzną. Ira skierował się odruchowo w stronę swojego ekwipartu, ale Ann naprowadziła go łagodnie na ścieżkę spacerową,

ocienioną rozłożystymi konarami kwitnących o tej porze roku lip. Rozluźnił się. Zmiana otoczenia podziałała nań kojąco. Czuł obok ciepło kobiecego ciała, nad sobą słyszał brzęczenie pszczoł z zapalem zbierających nektar z nabrzmiiałych lipowych kwiatów. Zamknął oczy i poczuł się tak jak podczas pierwszej wizyty w skansenie rolniczym. Wtedy też było ciepło. I nie był sam. Zaraz, zaraz... Wówczas też był z jakąś kobietą. Szedł z nią wśród wysokich łodyg jakiegoś zboża. Zapamiętał śmieszne kiście owoców podobnych do miotełek, którymi w snobistycznych domach zmiata się okruszyny ze stołu. Zboże stało równo jak żołnierze na uroczystym apelu. A on szedł z kobietą piaszczystym traktem z wyraźnie wyżłobionymi śladami konnego zaprzęgu. Tak, to były koleiny chłopskiego wozu, rekwizytu muzealnego, który na życzenie zwiedzających przemierzał tę drogę kilka razy dziennie. Gdy szli traktem, mieli okazję widzieć taki wóz, ciągniony przez prawdziwego, spracowanego konia. Pojazd spłoszył stado wron, które z wrzaskiem obsiadły przydrożne drzewo. Kobieta przytuliła się do niego, jakby przestraszył ją widok przeszłości. Kim była ta kobieta? Usiłował skoncentrować się, ale zarys jej twarzy był nieuchwytny, jakby spowity obłokiem kurzu, a może mgły. Ira uświadomił sobie, że znów nawiedziła go dziewczyna ze snu. Zbyt natarczywa była ta wizja, aby mógł dłużej w niej tkwić. Otworzył oczy i dostrzegł uważny wzrok Ann.

— Kochanie, czy dobrze się czujesz?

— Nic mi nie jest — odparł opryskliwie. Zapanowało milczenie. Po chwili odezwał się: — Posłuchaj lepiej brzęczenia pszczoł. Zbierają miód tak samo jak sto i dwieście lat temu. Czy przed powstaniem Apostezjonu pszczoły były tak samo pracowite? .

Ann wzruszyła ramionami, zaś Ira ciągnął dalej:

— Też zbierały miód. Zupełnie nie zauważyły naszej Wielkiej Zmiany. A jednak teraz jakoś lepiej pasują do krajobrazu. Nie sądzisz?.

— Przedtem też były kwiaty — rzekła niepewnie.

— Były, oczywiście, ale w przeważającej części

bezużytecznie wędły. Bezużytecznie — smakował to słowo. — Nie były włączone do programu optymalizacji wykorzystania zasobów naturalnych. Popatrz, jakie to śmieszne. Jedynie pszczoły wiedziały wówczas, że kwiaty nadają się do praktycznego wykorzystania. Pokazały nam, że wszystko można wykorzystać. Trzeba tylko znaleźć tę jedną, choćby na pozór nieważną i głęboko ukrytą funkcję użytkową. I już

znajduje się racja bytu dla rzeczy pozornie bezużytecznej... Słuchaj, czyja...—
zawahał się —czyja mogę być niebezpieczny dla otoczenia?

Spojrzała na niego zaskoczona.

— Głupstwa opowiadasz. Co też ci do głowy przyszło?

— A ten kapitan?

— Jaki kapitan? —w głosie Ann zabrzmiały nuty zawodowej czujności.

— Ten, z którym rozmawiałś przez telefon.

— Słyszałeś?

— A nie powinienem?

— Wszystko wyjaśni ci profesor.

— Dlaczego nie mówicie mi całej prawdy? Ty też okłamujesz mnie, prawda?

— Nikt cię nie okłamuje, głuptasku. Po prostu przechodzisz proces rehabilitacji
pourazowej. Stąd te wszystkie kłopoty. Ale to wszystko minie... — próbowała
bagatelizować.

— Coś się ze mną stało. Mam jakieś luki w pamięci. Gdy chcę przywołać
wspomnienia... Widzę, a raczej pamiętam tylko kontury zdarzeń. Ich ostrość rozwie-
wa się, gdy tylko pragnę bliżej im się przyjrzeć. Moja przeszłość jest utkana z mgły.
Czy to też normalne?

— Profesor ci wyjaśni — powtórzyła z uporem. —Ja jestem tylko pielęgniarką.

— A ten kapitan? —nie ustępował.

— Cóż z tego, że kapitan. Nie znasz procedury powypadkowej? —Ann zdawała
sobie jednak sprawę, że jej słowa nie brzmią przekonująco.

— Powiedz mi, czy to naprawdę był wypadek?

Ann znowu wzruszyła ramionami.

— To dla mnie bardzo ważne. Przecież wiesz równie dobrze jak ja, że procedury
powypadkowe załatwiają automaty. Czy ja... —mówił z trudem —czyja... zabiłem
kogoś?

Ann spojrzała na niego badawczo.

— Zobacz, kochanie, jak daleko odeszliśmy od twojego domu.

— Nie odpowiedziałś mi...

— Jeśli zaprzeczę, to i tak mi nie uwierzysz, prawda?

Zapanowało milczenie. Ira uświadomił sobie, że Ann ma rację, ale zarazem trawił

go niepokój, którego przyczyny były równie ulotne jak wspomnienia z przeszłości. To było nieznośne. Ira lubił świat uporządkowany, bowiem tylko porządek daje poczucie bezpieczeństwa. A to było to, czego w tej chwili pragnął najbardziej. Toteż każda rysa na uporządkowanej rzeczywistości powodowała falę niepokoju, z którym nie mógł sobie poradzić.

W tym momencie odezwał się brzęczyk krótkofalówki, którą Ann przypięła jak broszkę na kombinezonie. Z miniaturowego głośnika odezwał się zniekształcony nieco męski głos informujący, że czeka na nich Marten i że powinni natychmiast wracać.

— Słyszałeś? —upewniła się.

Ira skinął głową.

— To już koniec pierwszego spaceru. Wracamy. Profesor wyjaśni twoje niepokoje. I będzie ci dobrze. Odpoczniesz.

Ira odniósł wrażenie, że gdzieś już słyszał te słowa. Trąciły w nim jakąś strunę ni to tęsknoty, ni to żalu¹. Rozklejani się zupełnie — pomyślał. — Rzeczywiście, czas już wracać.

I znów szli zacienioną aleją lipową, pełną zapachu lata i brzęku pracowitych owadów. Aleja nie była jednak pusta. W jej perspektywie dostrzegł dwóch oddalonych od siebie mężczyzn. Jeden z nich, znajdujący się bliżej, zawrócił nagle, widocznie zaskoczony ich powrotem. Ira czuł kurczowy uścisk Ann, gdy tymczasem mężczyźni zbliżyli się do siebie i — niby w stylizowanym na antyk telespektaklu — wzięli się za bary w tanecznym rytmie zapasów.

— To Swen! — krzyknęła. — Ten facet zaatakował Swena!

— Kto to jest Swen?

— Nasza obstawa! — zerwała się do biegu, trzymając go dalej kurczowo za rękę.

— Swen zawsze chodzi bez broni. Szybciej! — rzekła spieszenie, wyszarpując z kieszeni... tak, Ira widział wyraźnie w jej dłoni obezwładniacz gazowy, który mogli nosić tylko członkowie Służb Specjalnych.

— Ann! —przestraszył się. — Skąd to masz?

— Zamknij się wreszcie! — krzyknęła, a w jej głosie nie odnalazł ani śladu dawnej miękkości. — Nie widzisz, idioto, że Swen jest w niebezpieczeństwie? Biegnij szybciej, bo cię uśpię! — pogroziła mu obezwładniaczem.— Dość już kłopotów

narobiliście. I ty, i ten twój Marten... Szybciej, do ciężkiej cholery!

—przynagliła go widząc, że Swen traci siły.

Stało się to, zanim zdążył pomyśleć. Wyrwał jej obezwładniacz, odrzucił go daleko i zaczął uciekać w przeciwnym kierunku. Gdyby obejrzał się, zobaczyłby, że Ann wykonała kilka bezsensownych kroków najpierw w jedną, później w drugą stronę, a następnie stanęła i włączyła krótkofalówkę. Tymczasem nieznamy mężczyzna również zaczął uciekać, pozostawiając na środku alei leżącego w bezruchu Swena. Ale Ira gnany strachem nie widział tego wszystkiego. Nie zwalniał biegu, choć czuł, że gorące powietrze rozsadza mu płuca. Biegł, aby być poza zasięgiem tego, czego nie rozumiał. Brzęczenie niestrudzonych pszczoł było coraz słabiej słyszalne,, aż wreszcie roztopiło się zupełnie w szumie wielkiego miasta.

— Tak... — rzekł w zamyśleniu Szef, wysłuchawszy meldunku Vittoliniego. — A więc sytuacja zaczyna się wyjaśniać.

Vittoloni był nieco zaskoczony. Spodziewał się uszczypliwych uwag, a tymczasem Szef przyjął meldunek z całkowitym spokojem. Widocznie oceniał, że sprawa jest poważniejsza, niż się na pozór wydawało.

— Mamy zatem —ciągnął dalej —do czynienia z dobrze zorganizowaną bandą. Żarty, kapitanie, już się skończyły. Odlóżcie wszystkie inne prace i zajmijcie swoich podwładnych tą jedną sprawą. Chcę, abyście ją jak najszybciej zakończyli. A teraz słuchajcie uważnie.

Vittolini wyprężył się w postawie zasadniczej.

— Trzeba najpierw rozszyfrować ich system komunikacyjny. To zaprowadzi nas do prowodyra, którego trzeba natychmiast izolować. A potem wyłapiemy resztę.

— Czy wzmocnić ochronę pacjenta i Martena?

— Nie wydaje mi się to konieczne. Oni mają na razie nad nami przewagę. Wicie dlaczego?

Vittolini służyście milczał.

— Otóż dlatego, że oni atakują, a my się bronimy.

Nieudolnie zresztą. Pamiętajcie, że atakujący ma zawsze przewagę, bo wie, czego chce.

Wywód Szefa przerwał sekretarz, który bezgłośnie ukazał się w drzwiach

gabinetu i swym jak zwykle zbolalym głosem zameldował:

— Porucznik Duray chce pilnie rozmawiać z kapitanem, generale.

— Przełączcie ją tutaj.

— Tak jest! — sekretarz równie bezszelestnie zniknął i po chwili na biurku Szefa odezwał się sygnał radiotelefonu. Szef skinął na Vittoliniego, który sprężystym krokiem podszedł do biurka i włączył odbiór.

— Vittolini, słucham.

— Melduje się porucznik Duray — w ciszy gabinetu rozległ się głos Ann. — Kapitanie! Stało się coś, czemu nie byłam w stanie zapobiec.

— Jaśniej! — Vittolini spojrzał niespokojnie na Szefa, ale jego twarz była tak samo nieprzenikniona jak przed chwilą.

— Po otrzymaniu waszego polecenia wracałam już z pacjentem do domu. Wówczas Swen został zaatakowany przez jakiegoś nie znanego mi osobnika. Podać rysopis?

— Później! — przerwał jej niecierpliwie. — Co dalej?

— Swen, jak zawsze, był bez broni. Leży teraz, a tamten uciekł. Pacjent też.

— Po kolei! — krzyknął. — Mów składniej! Kiedy to się stało?

— Kilka sekund temu. Jeszcze widzę uciekających.

— Dlaczego ich nie obezwładniłaś?

— Pacjent wyrwał mi obezwładniacz, gdy biegłam na pomoc Swenowi.

— Żyje?

— Nie wiem, chyba tak...

— Razem uciekli?

— Nie, w przeciwnych kierunkach.

— Podaj je.

— Nieznajomy mężczyzna pobiegł w kierunku kwadratu B-Jeden-Osiemnaście, zaś pacjent w kierunku kwadratu B-Jeden-Dwadzieścia.

— Jesteś cała?

— Nic mi nie jest.

— Rysopis.

— Wzrost wysoki, włosy blond, ubranie niebieskie z pomarańczowymi wypustkami na ramionach i w pasie. Obuwie, jeśli dobrze dostrzegłam, standardowe.

— Wiek?

— Z tej odległości... Nie więcej niż czterdzieści lat.

— Zajmij się Swenem. Zaraz będą tam posiłki. Koniec nadawania —wyłączył radiotelefon i spojrzał wyczekująco na Szefa.

— Atakujący mają przewagę, kapitanie — rzekł z wolna Szef. — Wiecie, co macie zrobić? Od was zależy dobre imię Służb Specjalnych.

— Tak jest.

— Życzę powodzenia.

— Tak jest! —Vittolini wyprężył się i wybiegł z gabinetu.

Gdy tylko dopadł swego biurka, zaalarmował podwładnych z Grupy Operacyjnej. Nie minęła minuta, gdy wszyscy, prócz Swena, znaleźli się w pokoju odpraw.

Vittolini, przechadzając się nerwowo, zaczął bez chwili zwłoki:

— Grupa Operacyjna dzieli się na trzy podgrupy. Pierwszą podgrupą dowodzi Cown. Słuchaj uważnie, Cown. Masz szansę odegrać się. Weźmiesz natychmiast ludzi i obsadzicie kwadrat B-Jeden-Osiemnaście. Znajduje się tam mężczyzna w średnim wieku, wysoki, włosy blond, ubranie niebieskie z pomarańczowymi wypustkami. Bliższych danych brak. Tego mężczyznę należy za wszelką cenę ująć. Pamiętaj, Cown, to szansa dla ciebie...

— Rozumiem, kapitanie.

— Są jakieś pytania?

— Gdzie dostarczyć?

— Tutaj. Do mnie. Odmaszerować.

Cown skinął na kilku ludzi, którzy wraz z nim wyszli.

— Teraz mam dla ciebie robotę, Pino.

— Tak jest!

— Weźmiesz dziesięciu ludzi, a także lokalne posterunki, sformujesz patrole i poszukasz w kwadracie B-Jeden-Dwadzieścia tego faceta —Vittolini podał mu fotografie. —Weźmiesz ze sobą lekarza dyżurnego i zostawisz go przy Swenie. Czy wszystko jest jasne?

— Tak jest!

— Odmaszerować! —rozkazał Vittolini i skinął' na Dregera.

— Będziesz moim łącznikiem aż do skończenia akcji. Poproś tu Sartora z jego

najlepszym ekspertem od telekomunikacji. Gdyby narzekał, powiedz, że mam pełnomocnictwo od Szefa.

— Rozkaz!

— Jesteśmy na miejscu —mruknął Cox.—Zaprowadź ją, a ja poczekam.

— W porządku — Webb ciężko gramolił się z wozu, popychając przed sobą Matildę.

— Pamiętaj, gdzie masz ją zamknąć?

Webb spojrział na niego przeciągle.

— Dobrze, dobrze, tak tylko pytam, na wszelki wypadek. Pospiesz się, bo straciliśmy już dużo czasu.

Po chwili Matilda eskortowana przez Webba, zniknęła w małych, bocznych drzwiach studwudziesto-piętrowego wieżowca mieszkalnego. Cox spojrział na zegar. Od zakończenia akcji minęło zaledwie dwadzieścia minut, a wydawało się, że upłynęły wieki całe. Strach zatrzymuje subiektywny bieg czasu, a euforia przyspiesza — przypomniał mu się, nie wiedzieć czemu, urywek wykładu z psychologii. —A więc bałem się — skonstatował — choć wszystko idzie w zasadzie według planu. Skąd zatem ten strach? Może to po prostu zwykłe podniecenie, jakie zazwyczaj odczuwa się nawet przy lekkiej domieszce ryzyka?

Włączył radiotelefon i wywołał Długiego. Połączenie uzyskał niemal natychmiast.

— Tu Cox. Odtransportowaliśmy ją na miejsce.

— Dobrze. Teraz słuchaj uważnie. Odwieziesz Webba do Banku. Tam go zostawisz. Niech bierze swój wóz i niech dołączy jak najszybciej do Kardena. Karden siedzi w kwadracie B-Jeden-Osiemnaście. Z ostatniego jego meldunku wynika, że Wardenson wyszedł z pielęgniarką. Byli bez obstawy, ale to może się w każdej chwili zmienić, zwłaszcza po waszej akcji. Niech więc Webb stąpa na paluszkach. Czy na razie wszystko jest jasne?

— Tak — rzekł Cox. — Kwadrat B-Jeden-Osiemnaście. Kawał drogi.

— Spieszcie się. Dochodzi czternasta. Jak tak dalej pójdzie, to za dwie godziny uwiniemy się ze wszystkim.

— Łączność z Kardenem bez zmian?

— Tak, ale Webb może łączyć się z nim dopiero po przybyciu na miejsce. Bez

zbędnej gadaniny, bo teraz już mogą nas namierzyć. Karden meldował, że wchodzi do jakiejś długiej alei lipowej. Niech Webb szuka ich w okolicy tej alei.

— A ja?

— Ty wracasz do mnie. Może do tego czasu będę już wiedział, gdzie jest Marten. Masz jakieś pytania?

— Wszystko jasne.

— Koniec połączenia.

Długi nacisnął wyłącznik i w pokoju zapanowała cisza. Wszystko, jak do tej pory, szło dobrze. Gotów byłby stwierdzić, że o tych specach krążą mity, które on, Długi, w tak prosty sposób rozwiął, gdyby... No właśnie! Gdyby nie ta zadra, to coś, co mąciło jego radosny nastrój. Wiedział, kto stoi po przeciwnej stronie. Znał tego człowieka niemal równie dobrze jak siebie. Wiedział, do czego tamten jest zdolny. Zdawał sobie sprawę, że ma szanse tylko wówczas, gdy zdoła załatwić swoje sprawy, nim tamten otrząśnie się z zaskoczenia. Tamten, tamten... Nie mógł nazywać go inaczej, nie mógł myśleć o nim jak o swoim bracie. Zresztą, więzy krwi nic nie znaczą, bowiem wszyscy mieszkańcy Apostezjonu są braćmi i siostrami, a jedynym odstępstwem od tej reguły są —zazwyczaj krótkotrwałe —pary małżeńskie łączące się w celu spłodzenia potomstwa. Ich jednak spłodzili ci sami rodzice, a więc byli niejako braćmi pełnej krwi, co początkowo bardzo ich do siebie zbliżało.

Odbiornik nastawiony na zidentyfikowaną częstotliwość Służb Specjalnych milczał, jeśli nie liczyć bezładnych szumów. Machinalnie sprawdzał pozostałe wypisane przez Kardena częstotliwości w kolejności malejącego prawdopodobieństwa ich użycia.

Brat był lepiej przystosowany, a mimo to trzymali się razem. Ściślej biorąc, to on, Długi, trzymał się swojego brata, bowiem czuł się przy nim bezpieczny. Tak więc przeszli razem Ośrodek Wstępnego Wychowania i Szkołę Podstawową. A później... Na samo wspomnienie owych odległych już wydarzeń Długi poczuł dreszcz. Brat poszedł na ochotnika na szkolenie specjalne. Był dumny, że przyjęto jego zgłoszenie. Długi podzielał tę dumę. Do czasu powrotu brata... Nie, nie brata. Jego brat już nie wrócił. W tym osobniku nie było najmniejszego śladu jego brata. To był zupełnie inny człowiek, który o mało co nie wpakował go do Ośrodka Resocjalizacyjnego. I za co? Długi poczuł gorącą falę, przelatującą mu przez twarz. Jakże mógł być aż tak

naiwny, aby zwierzać się człowiekowi po przeszkoleniu w Ośrodku Specjalnym? Musiał uciekać, bo nie mógł znieść myśli, że mógłby stać się takim samym jak on, pragmatycznie zaprogramowanym robotem, który redukuje dramaty życiowe do skutku i przyczyny. Znienawidził go. Znienawidził przede wszystkim dlatego, że tamten zabrał mu jedyne brata.

W miarę upływu czasu nienawiść ustąpiła pragnieniu zemsty. I teraz nadszedł czas. Długi czuł, że ma szansę ukarać tamtego. Zamówienie Sponsora spadło jakby z nieba. Długi wszystko pieczołowicie przygotował. Można było na szczęście znaleźć na Apostezjonie ludzi, którzy myśleli podobnie jak on, a przynajmniej— nie myśleli podobnie jak tamten. Zresztą istnieniu tych ludzi zawdzięczał tamten swoją rację bytu.

Z zamyślenia wyrwał go brzęczyk radiotelefonu. Włączył odbiór i z głośnika dobył się nieco zachrypnięty i jakby zdyszany głos Kardena:

— Nie jest dobrze, Długi.

— Co się stało?

— Nakryli mnie, ale udało mi się uciec. Wardenson miał podwójną obstawę.

— Spokojnie! Gdzie jesteś?

— Ciągle w tym samym kwadracie.

— Co z Wardensonem?

— Nie mam pojęcia...

— Uspokój się wreszcie! — syknął Długi. — Gdzie jest Wardenson? Wyparował?

— Naprawdę nie wiem. Widziałem tylko, że spec z obstawy leżał tak, jak go zostawiłem.

— Co z nim zrobiłeś?

i — Chyba nic wielkiego. Zresztą nie wiem. Uderzyłem go w gardło. Nie miałem wyjścia, Długi.

— A pielęgniarka?

— Stała, jakby ją замуrowało. Byłem już daleko, a ona ciągle stała. Sama. Wardenson gdzieś zniknął. Chyba uciekł. Tam są żywoploty i niewiele widać.

— Jeżeli uciekł, to niedaleko — mruknął Długi. — A ona wiedziała, co robi. Na pewno alarmowała swoich. Zaszuj się gdzieś tam i poczekaj na Webba. Już do ciebie jedzie. Będzie za jakieś dwadzieścia minut. Jasne?

— Jasne.

— Uprzedzę Webba. Musi wiedzieć, czego się trzymać. Nawiążę z tobą kontakt o godzinie czternastej dwadzieścia sześć.

— Rozumiem.

— Aha, jeszcze jedno! Jak najmniej gadania przez, radio, bo was spece namierzają. Koniec nadawania —wyłączył odbiór i ponownie wrócił do nasłuchu.

Marten był przybity tym, co się stało. Nie dlatego j iżby podzielał obawy Służb Specjalnych o bezpieczeństwo Zespołu, ale dlatego, że ucieczka Wardensona narażała na poważne ryzyko sens eksperymentu j naukowego. Pacjent pozostawiony bez opieki znalazł j się nagle pod wpływem nazbyt wielu niekontrolowanych czynników, a to — rzecz jasna — uniemożliwiało : metodologicznie poprawną ocenę rezultatów tego doniosłego przedsięwzięcia badawczego. Dopiero później zrodziła się w umyśle Martena gorzka refleksja, że nieprzewidziany obrót zdarzeń zagraża nie tylko jego badaniu, ale również jemu samemu. Nikomu z Zespołu— o ile pamiętał — nie zdarzyło się coś równie nieprzyjemnego. No tak, ale nikt, poza nim samym, nie zajmował się indywidualnymi przypadkami. Łatwiej jest modelować ludzkie zbiorowości niż jednostki.

Sięgnął po kolejną szklanekę napoju orzeźwiającego, którą podsunął mu usłużny automat. Nie miał już najmniejszych wątpliwości, że była to robota kogoś z Zespołu. Możliwość akcji tamtych zza morza odrzucił jako niedorzeczną. Wiedział przecież doskonale, że jego dziedzina wiedzy była tam znacznie bardziej rozwinięta. Sam korzystał z ich doświadczeń przy konstruowaniu zarysu ogólnej teorii psychosyntezy. To nie mogli być oni. Wszak wycofali się z tej drogi z górą dziesięć lat temu. A więc wróg, jego osobisty wróg, krył się w Zespole. Teoretycznie jest to możliwe, choć mało prawdopodobne — starał się sam siebie uspokoić. Gdzie kryje się ta jedyna sprężyna, która sama niewidoczna, wprawia nas w zaprogramowany ruch?

Dlaczego nie ma jeszcze Vittoliniego? Marten spojrzął na zegarek. Była godzina czternasta dwadzieścia jeden. Już ponad kwadrans pacjent jest poza wszelką kontrolą. Nastrój Martena psuł się z każdą upływającą minutą. Zdawał sobie bowiem sprawę, że taki stan rzeczy może spowodować konieczność zabiegu korekcyjnego, aby wyeliminować zakłócające działanie nieprzewidzianych przypadków. Jedyłą

pocieszającą okolicznością było to, że pacjent w swoim poprzednim życiu nie był w tej części Apostezjonu. Więc przypadkowe spotkanie kogoś, kto znał go w poprzednim wcieleniu, było niemal wykluczone. Chyba że... Na myśl o tym krople potu wystąpiły mu na czoło. Znowu spojrzał niecierpliwie na zegarek. Czas jakby stanął w miejscu. Jeśli wszystko zostało zaaranżowane przez kogoś ze Służb Specjalnych, to w takim razie mają pacjenta cały czas pod kontrolą, ale Zespół dowie się o Dogowie dopiero wtedy, gdy on, sławny na całym Apostezjonie Marten, przejdzie reedukację w którymś z Ośrodków Resocjalizacyjnych, których działalność sam programował. Misterna jest ta intryga. Na pewno reżyserował ją fachowiec.

Gdy sięgał po kolejną szklankę napoju, w drzwiach stanął Vittolini, któremu towarzyszyła regulaminowa eskorta, składająca się z dwóch uzbrojonych wywiadowców. Kapitan skinieniem ręki odprawił ich na progu, po czym zamknął drzwi i zbliżył się do Martena.

— Tak, profesorze, sprawa coraz bardziej się komplikuje.

— Czy już coś wiadomo?

Vittolini spojrzał na niego i rzekł:

— Niewiele. Właściwie tyle, co nic. Ciągłe jeszcze rozwój wydarzeń jest poza naszą kontrolą. Pan oczywiście zdaje sobie sprawę, co to znaczy?

— Tak, wiem — Marten nerwowo obracał szklankę w rękę. — Napije się pan czegoś, kapitanie?

— Dziękuję, nie. Czy pacjent może przypomnieć sobie, kim był przedtem?

— Nie! — zaprzeczył żywo Marten. — To niemożliwe. Widzi pan, kapitanie, w czasie zabiegu na miejsce dawnych napięć międzyneuronowych wprowadziliśmy nowe. Te nowe napięcia są nośnikami zupełnie zmodyfikowanych scenariuszy pamięci, które... Nie chciałbym wchodzić w szczegóły, bo może...

— Proszę — rzekł uprzejmie — niech pan mówi dalej. To bardzo interesujące.

— No więc z psychologicznego punktu widzenia Wardensona po prostu nie ma. Jego osobowość została zintegrowana wokół innych przeżyć, innych doświadczeń, innych wreszcie wartości.

— Czy zmiana była całkowita?

— No, nie... Niezupełnie. To byłoby zbyt ryzykowne. Nie chcieliśmy przecież wyprodukować szaleńca!

— To znaczy?

— Musiałem zostawić starą konstrukcję, szkielet jego osobowości. Przede wszystkim nie można było zmienić wszystkich jego cech warunkowanych genetycznie. W tego typu zabiegach można modelować wyłącznie te cechy osobowości, które są determinowane środowiskiem społecznym. I te właśnie cechy okazały się najniebezpieczniejsze dla spójności Zespołu. Zna pan przecież okoliczności...

— Profesorze — rzekł wolno Vittolini. — Z tego, co pan mówi, należałoby wyciągnąć wniosek, że pobyt w Zespole sprowadził go na manowce. Czy tak?

— To może być wniosek zbyt pochopny — odpowiedział spieszenie Marten. — Przecież pacjent większą część życia spędził poza Zespołem. Zasadnicze cechy osobowości kształtują się we wczesnym dzieciństwie. Pobyt w Zespole mógł jedynie uaktywnić pewne dyspozycje psychiczne, już tkwiące w jego osobowości.

— Mówił pan o jakichś cechach zasadniczych. Czy to jest to samo, co wcześniej nazwał pan starą konstrukcją osobowości?

— Tak — Martenowi zrobiło się gorąco. Rozmowa męczyła go okropnie. — Chodzi tu mniej więcej o te same rzeczy. Nie rozumiem jednak, do czego pan zmierza?

— Wybacz pan, profesorze — rzekł uprzejmie.

— Po prostu staram się możliwie dobrze wypełniać swoje obowiązki zawodowe. Chyba mogę liczyć na pańską pomoc, prawda?

— Naturalnie, ale...

— Czy on był kiedyś po tamtej stronie?

— To wy powinniście wiedzieć.

— Pan też — powiedział z naciskiem. — Przecież analizował pan jego pamięć. Więc pan również wie, że był tam dwa razy. Służbowo.

— Kapitanie — Marten wstał z fotela i zaczął wycierać czoło, choć pokój był idealnie klimatyzowany — jeśli to ma być przesłuchanie...

— Proszę się uspokoić, profesorze — rzekł Vittolini pojednawczo. — Nikt nie ma zamiaru pana przesłuchiwać. Chcę tylko z upoważnienia Komendanta Służb Specjalnych przeprowadzić tę akcję tak szybko, jak to będzie możliwe. Do tego potrzebne mi są fakty

i... pańska wiedza.

— Rozumiem... — Marten ponownie zapadł w fotel. — Jestem do pańskiej

dyspozycji. Chcę tylko powiedzieć, że im dłużej pacjent przebywa poza naszą kontrolą, tym większe jest prawdopodobieństwo, że proces adaptacji zostanie poważnie zakłócony. Według programu powinienem go właśnie teraz wprowadzić w pewne szczegóły dotyczące zabiegu.

— Nie rozumiem —Vittolini był zaskoczony.

— Źle się wyraziłem — poprawił się Marten. —Nie chodzi oczywiście o wtajemniczenie go we wszystko, ale o zneutralizowanie wpływu ewentualnych przypadkowych spotkań z kimś, kto znał go wcześniej. Nieprzygotowanie do takich spotkań, to znaczy brak racjonalnego, powiedzmy, ich wytłumaczenia mógłby naruszyć spójność jego nowej osobowości. Zwłaszcza gdy zważy się, iż umysł jego był niepośledniego gatunku.

— I obawia się pan...

— Właśnie! Jeżeli spotkałby teraz kogoś takiego, to stanąłby przed niewytłumaczalnym dla siebie zjawiskiem. Jak pan myśli, czym by się wówczas zajął?

— Szukaniem wytłumaczenia.

— Otóż to! Szukaniem wytłumaczenia na własną rękę. A jaką możemy mieć gwarancję, że znalazłby takie wyjaśnienie, które moglibyśmy zaakceptować?

— Praktycznie żadnej. Teraz rozumiem, profesorze— podjął Vittolini. Ale Marten mu przerwał:

— Podświadomość zaczęłaby działać... Pan oczywiście zna kopie materiałów i wie pan, że drugą sferą, której nie mogłem naruszyć, była jego podświadomość— Marten spojrzał na niego badawczo.

— Tak, oczywiście wiem.

— A więc wytłumienie podświadomości byłoby słabsze. Ciągłe miałby wrażenie, że coś się nie zgadza. Prześladowałyby go wspomnienia jakichś snów, których treści nie mógłby sobie przypomnieć. Niewykluczone także, iż miałby autentyczne sny, których nie byłby w stanie zrozumieć. Wszyscy ludzie, pan też, kapitanie, mają tendencję do porządkowania świata. I wówczas, gdy pojawiają się rysy na tym uporządkowanym obrazie... Nie nudzę pana?

— Nie. Proszę mówić dalej.

— Mógłbym długo wyjaśniać, bo sam problem jest zawikłany i intrygujący. Ale czy to nie opóźni poszukiwań pacjenta?

— Proszę nie obawiać się, drogi profesorze. Poszukiwania są w pełnym toku.

— No więc — ciągnął Marten — jeśli ten spójny obraz świata nagle zaczyna się chwiać, to naturalną reakcją jest lęk, a później...

— Czy naprawdę jedno lub nawet kilka spotkań z kimś, kto znał go poprzednio, może mieć aż takie znaczenie? Każdemu przecież się zdarza, że biorą go za kogoś innego.

— Kapitanie — przerwał Marten niecierpliwie — to jest specyficzna sytuacja. Jedyna w swoim rodzaju.

Jeśli na podświadomość nałoży się świadome zwątpienie... Tożsamość, poczucie tożsamości jest fundamentem naszego jednostkowego widzenia świata. A gdy ten fundament okazuje się niestabilny, to cała konstrukcja wichruje się, chybocze, aż wreszcie ulega ruinie. Pan wie, co mam na myśli?

— Obłąd?

— Tak. Tak to właśnie można nazwać.

— Profesorze — rzekł z wolna Vittolini — jeśli istotnie sprawy tak się mają, to... No, krótko mówiąc, nie byłoby źle, gdyby...

— Kapitanie, do czego pan zmierza? — Marten znów poczuł niemiłą falę gorąca. Tak, to jest najprostsza droga do kompromitacji. Produkcja szaleńców. Nieźle. Całkiem nieźle pomyślane. Tylko dlaczego on mi to podsuwa?

— Będę z panem szczery — ciągnął Vittolini. — Z mojego punktu widzenia pacjent jest groźny, dopóki jest normalny.

— Słucham?

— Jeśli nastąpiłaby dewiacja psychiczna, to stałby się on zupełnie nieszkodliwy. Ale nie mamy żadnej gwarancji, że tak się stanie, prawda?

— Kapitanie! Tak nie można! — krzyknął Marten. — Przecież on nie jest automatem, który można rozmontować...

— Czyżby?

— Nie jest! I niedopuszczalne jest takie stawianie sprawy! Cały czas walczymy o to, aby człowiek stał się wartością najwyższą, a zaspokojenie jego wszechstronnych potrzeb nadrzędnym celem naszych zespołowych wysiłków.

— Drogi profesorze, czy również wtedy, kiedy ten człowiek godzi w nasze cele, a więc w innych ludzi, a także niejako sam w siebie? Pan jest od wielkich słów, a ja...

Cóż ja? Ja jestem od tego, aby pan mógł bezpiecznie te słowa głosić. Chyba rozumiemy się?

— Pan ma swój punkt widzenia, a ja swój. A poza wszystkim brak kontroli nad zachowaniem pacjenta wykracza przeciw założeniom eksperymentu. Jeżeli, rzecz jasna, ten eksperyment ma mieć jakiegokolwiek znaczenie praktyczne.

— Tak czy owak — podsumował Vittolini — musimy odnaleźć go możliwie szybko. A także tych, którzy tak bardzo się tym eksperymentem interesują. Jest to ważne z pańskiego i z mojego punktu widzenia, prawda? — dodał zgryźliwie. — A w ogóle...

Nie dokończył jednak, bowiem. w tym momencie zabrzmiał melodyjny sygnał jego krótkofalówki.

— Przepraszam, profesorze — rzucił zdawkowo. — Mam meldunek.

Mimo narastającego zmęczenia Ira biegł jeszcze jakiś czas. W końcu płuca nie przyzwyczajone do takiego wysiłku osiągnęły swoją granicę wydolności. Zatrzymał się i dysząc ciężko, oparł się o drzewo. Był sam. Rozejrzył się jeszcze raz. Tak, nie było wątpliwości, że wyrwał się z tej niesamowitej sytuacji. Nogi mu drżały, w kącikach ust gromadziły się słone krople potu. Starł je wierzchem dłoni i oparł czoło o chropowatą korę drzewa. Oddech uspokajał się z wolna, ale nadal ręce nieznośnie mu ciążyły. Miał ochotę osunąć się na trawę. A jednak stał dalej; wewnątrz spięty, ale już bezsilny, niby bokser przyjmujący walkę po konck-downie.

Uświadomił sobie, że oto po raz pierwszy od wypadku jest sam, że uciekał nie wiadomo dlaczego i że nie wie, co powinien dalej robić. Ta ucieczka była bez sensu. Nie chciał uciekać, ale nogi niosły go, jakby należały do kogoś innego. Uzmysłowił sobie też, że nie chce wracać.

Machinalnie sięgnął po fiolkę z pastylkami orzeźwiającymi. Była pusta. W pobliżu nie było pojemnika na śmieci, więc rzucił fiolkę w trawę i powłókł się w kierunku zabudowań bielejących za ścianą drzew.

Dlaczego pilnowały mnie Specsłużby? — myślał.

— Czyżbym w czasie wypadku potrafił kogoś? Nie! To niemożliwe. Hipoteza taka nie pasuje po prostu do tych wszystkich ostrożności i niedorzecznych kłamstw. Coś się przede mną ukrywa. Ale co? Ann też jest ze Służb Specjalnych. Była przecież uzbrojona, a nikt poza nimi nie dysponuje bronią. Przynajmniej legalnie. Jeżeli ona

była ze Służb Specjalnych, to kim byli ci dwaj bijący się mężczyźni? Tak, prawda — przypomniał sobie —jeden z nich nazywał się Swen. Pewnie też był funkcjonariuszem. A ten drugi? I dlaczego bili się? Niepojęte!

Szedł przez trawnik. Okolica była mu znana, ale miał niejasne wrażenie, że coś jest nie w porządku. Tak jakby po raz pierwszy wszedł w trójwymiarową rzeczywistość oglądaną wielokrotnie na taśmie filmowej. Zbyt jednak był zaprzątnięty ostatnimi wydarzeniami, aby zwracać uwagę na owe nękające ukłucia niepokoju. A nade wszystko odczuwał brak pastylek, które pomogłyby mu w odzyskaniu równowagi.

Zbliżył się do wąskiej uliczki, wijącej się pomiędzy czteropiętrowymi blokami, oślepiająco białymi w blasku słońca. Ruch zamarł niemal zupełnie, jak zwykle o tej porze w dzielnicach peryferyjnych. Zlustrował uważnie oba chodniki, ale nie dostrzegł niczego podejrzanego. Nie było też w pobliżu żadnego automatu farmaceutycznego.

Szedł powoli, jakby obawiał się, że przyspieszony krok może zwrócić na niego uwagę. Zdawał sobie sprawę, że zachowuje się jak człowiek ścigany, choć właściwie nie było żadnego powodu. A jednak nie mógł opanować tego wewnętrznego napięcia, które przy lada bodźcu zamienia się w paniczną ucieczkę.

Przechodnie snuli się z rzadka, zaabsorbowani swoimi codziennymi sprawami. Ira, wypatrując automatu, minął pierwszą przecznicę, w chwilę potem następną. Wreszcie dostrzegł jego obły kształt. Przy automacie stała niewielka grupka ludzi. Trzy, może cztery osoby. Tak, jednak cztery —stwierdził, gdy zbliżył się nieco. Była tam kobieta i trzech mężczyzn. Dziwnie ubrani jak na współczesną modę. Mężczyźni nosili długie spodnie z szarego, tkanego materiału, takie same marynarki, zaś pod śmiesznymi kołnierzykami koszul mieli kolorowe pasma materii, zawiązane w dziwny, trójkątny węzeł. Przypomniał sobie, że wiedział podobne stroje na fotografiach z ubiegłego stulecia.

Natomiast kobieta skrywała swe ciało pod szatą do złudzenia przypominającą suknie ze starych rycin. Szata tak szczelnie opinała ciało kobiety, że trudno było nawet określić kształt jej piersi, nie wspominając już o nogach. Dziwaczny ten strój wyraźnie kontrastował ze swobodnymi, kolorowymi ubiorami przeciętnych przechodniów. Oczywiście, każdy może ubierać się, jak mu się podoba — pomyślał

— ale żeby aż tak dziwacznie, prawie nieprzyzwoicie... To temporyści. Nikt inny tak by się nie ubrał. Tak, to oni okupują automat. Słyszałem, że ubierają się tak jak kiedyś przed Exodusem, a nawet przed nastaniem Wielkiej Zmiany ubierali się nasi przodkowie. Czyż normalny, rozsądny człowiek nosiłby stroje z tak zamierzchłej przeszłości? I to jeszcze sprzed Wielkiej Zmiany?

Przecież minęło od tego czasu co najmniej osiemdziesiąt lat, a może sto. Nie żyje już chyba nikt, kto by pamiętał czasy Exodusu!

Chciał wyminąć rozmawiającą półgłosem grupkę, ale chęć zażycia pastylki przemogła w nim obawy. Podszedł do automatu i po wpuszczeniu monety otrzymał upragnioną fiolkę.

— Hej, pokorny! — usłyszał nagle głos jednego z mężczyzn.

To chyba do mnie — pomyślał. — Przecież... przecież tak temporyści nazywają normalnych ludzi.

— Pokorny! — odezwał się drugi mężczyzna. W jego głosie można było wyczuć leniwą pogardę. Tak przynajmniej odebrał to Ira. — Nie mógłbyś nam rozmienić pieniędzy?

Ira chciał odejść, ale poczuł, że kobieta chwyciła go za rękę. Szarpnął się w nagłym odruchu paniki. Wszyscy normalni ludzie wiedzieli, że zadawanie się z temporystami jest niebezpieczne. Telewizja wprawdzie przedstawiała ich jako drobną garstkę zbłąkanych, odbiegających od normy społecznej neurotyków, których należy raczej leczyć, niż karać, ale było wiadome, że są to bajki dla grzecznych dzieci. Chodziły słuchy, że temporyści spotykają się potajemnie, porywają dzieci, żebrzą, a nawet kradną. Była to chyba prawda, bo skąd mieliby pieniądze na te wymyślne stroje, których już dziś nikt nie produkuje? Skąd mieliby pieniądze na życie, skoro większość z nich nie pracuje, chyba że dorywczo? Jak mogliby odnawiać się z pokolenia na pokolenie, jeśli bez stałej pracy nie uzyska się licencji na dziecko? Zresztą sama telewizja przestrzegała ludność przed niebezpiecznymi konsekwencjami kontaktów z temporystami.

Miał więc powody, aby odejść jak najszybciej. Ale nie mógł. Nie potrafił wyrwać się kobiecie. Uścisk jej dłoni, cieplej i suchej, jakby nieco zelżał. Teraz można by uciekać — pomyślał — uliczka prawie pusta. Nie dogonią mnie — stał jednak w miejscu, bez ruchu...

Otoczyli go ciaśniejszym kręgiem. Kobieta zajrzała mu w oczy.

— Pokorny —rzekła leniwie — ty się boisz.

— Nie boję się — usłyszał swój własny głos. —Czego miałbym się bać?

— Nie wiem —odparła tym samym ciepłym, leniwym głosem —ale widzę, że boisz się. Nas się boisz? — puściła jego rękę.

Ira spojrzał na nią przytomniej. Miała długie, jasne włosy, ładną twarz i sylwetkę... cóż, o sylwetce nie można było nic pewnego powiedzieć, tak szczelnie przesłaniała ją szata.

Kobieta w kokonie —pomyślał —śniła mi się. Nie, nie śniła się. Widziałem ją przecież niemal na jawie— rozejrzał się odruchowo. Konia nie było. Ani doliny. Tylko trzech mężczyzn przyglądało mu się z widocznym zainteresowaniem. Skojarzenie przysnęło i znów stał na zalanej słońcem uliczce w otoczeniu temporystów.

— Nie bój się nas — odezwała się ponownie kobieta.— Chcemy tylko rozmienić pieniądze. Wy przecież zawsze macie przy sobie monety, prawda? W telewizji przypominają, żeby je mieć.

Trzeba z tym skończyć —pomyślał Ira. —Jeśli dłużej tu postoiimy, zacznie się zbiegowisko —sięgnął do kieszeni po monety i w tym momencie usłyszał cichy, ale wyraźny szum wirolotu. Aparat wyskoczył znad dachów, zawisł przez moment nad wylotem uliczki i zaczął wolno przesuwac się w ich kierunku.

— Patrolują ulice —odezwał się trzeci mężczyzna. —O tej porze? Dziwne to trochę, nie sądzicie?

— rzucił półgębkiem w stronę swoich przyjaciół.

— Pewnie im ktoś nawiał — rzekł kwaśno drugi mężczyzna. —Almo, usuńmy się w cień, bo jeśli go nie złapią, to znów zaczną odgrywać się na nas.

Ira poruszył się niespokojnie. Kobieta nazwana Almą spojrzała na niego badawczo i niespiesznym krokiem schroniła się pod rozłożystym klonem, stojącym nie opodal. Mężczyźni podążali za nią, a w ich ruchach również nie było śladów pośpiechu. Ira stał na chodniku sam naprzeciw zbliżającej się z wolna maszyny. I wówczas instynktownie rzucił się w stronę drzewa i przywarł do pnia, jakby chciał stopić się z nim w jedno.

Poczuł na swoim ramieniu dłoń, ale jej dotknięcie było teraz jakieś inne, kojące...

— Nie bój się, człowieku —usłyszał głos Almy. CZŁOWIEKU. Powiedziała:

CZŁOWIEKU. —Chodź z nami. Odpoczniesz.

Odpoczniesz. Odpoczniesz. Odpoczniesz. To banalne słowo, jakby zwielokrotnione echem, kołatało w jego umyśle niby dziki ptak, uwięziony w pułapce. Odpoczniesz. Odłączony od wozu... Odpoczniesz. Co za bzdury! — otrząsnął się i spojrzął na Almę. Stała przed nim i uśmiechała się opiekuńczo. Tak, właśnie opiekuńczo. Był tego pewien, czuł to tak wyraźnie, jak strużki potu, które znowu sączyły mu się po skroni.

Czuł, że może jej zaufać, że musi... Ona była żywa, bardziej żywa niż ta zjawa bez twarzy, opatulona w kokon światła. Może to właśnie twarzy Almy brakowało w jego majakach? Alma była blisko, niemal równie blisko jak wirolot, który —widocznie zainteresowany jego nagłym schronieniem się w cieniu drzewa —zatonął łuk i ponownie zbliżał się, ale tym razem na niższym pułapie.

— Nie masz wyboru, człowieku — odezwał się któryś z mężczyzn, spoglądając znacząco w górę.

— Musisz uwierzyć, że chcemy ci pomóc.

— Chodź — rzekła jeszcze raz Alma — ale najpierw zrzuć z siebie tę jaskrawą koszulę. Patt, daj mu marynarkę.

Ira mechanicznie zrzucił z siebie koszulę i bezwolnie włożył niewygodne i mało przewiewne odzienie Patta.

Ruszyli powoli, jakby na spacer, wąską ścieżką, przemykając między pękatymi krzakami, obsypanymi blad różowym kwieciem. Wirolot przeleciał nad nimi i wkrótce znikł nad dachami. Wówczas Patt zatrzymał Iry.

— A teraz szybko! — rzekła Alma i pobiegła w kierunku, z którego właśnie przybyli. Leniwość jej ruchów zniknęła. Przebiegli obok automatu farmaceutycznego i wpadli pomiędzy drzewa rosnące po przeciwnej stronie uliczki. Pod klonem leżała koszula Iry, podobna z daleka do kępki trawy, przetykanej czerwonymi kwiatami.

— Karden, daj namiar — wołał Webb do mikrofonu. Z głośnika dobywały się jednak ledwie słyszalne szумы. Spojrzął na zegarek. Dochodziła 14.30. Już niemal cztery minuty wywoływał bezskutecznie Kardena. Po raz któryś sprawdził częstotliwość. Wszystko zgadzało się. Powinien zgłosić się natychmiast po pierwszym wezwaniu. Ale Karden nie odzywał się. Webb manipulował nadajnikiem ostrożnie,

jakby to był zapalnik pocisku. Wszak Długi zalecił maksymalną oszczędność w komunikacji radiowej i wiedział, dlaczego to robi. Spece byli dobrymi fachowcami od telekomunikacji. Grube krople potu wystąpiły na jego rozlanej twarzy. Dlaczego ten mądrała milczy? Jeszcze trochę, a namierzą mnie, zaś potem wybiorą nas wszystkich jak ryby z saka.

Jeszcze raz włączył mikrofon i rzekł ściszym głosem, jakby to mogło pomóc w czymkolwiek:

— Karden, idioto, odezwij się!

— Przestań pyskować — ożywił się milczący do tej pory głośnik. —Jadę za tobą.

— To był bez wątpienia głos Karden. Webb wyłączył czym prędzej mikrofon i zatrzymał ekwipart. Odetchnął głęboko i zażył pastylkę uspokajającą. Po chwili do jego pojazdu wsiadł Karden. Rękaw koszuli miał naderwany, a na prawym policzku zasychały grudki ziemi. Webb spojrzął na niego spod oka i wymamrotał pod nosem jakieś przekleństwo. Krótkie milczenie przerwał Karden.

— Jesteś czysty. Nikt cię nie śledzi. Musiałem to sprawdzić. Dostałem nauczkę.

— Kto cię tak urządził?

— Kto... — Karden wzruszył ramionami. —Wiadomo kto.

— Na pewno urwałeś się? —jeszcze wątpił Webb.

— Na pewno, na pewno... — Karden zdecydowanie nie był w dobrym humorze.

— Na pewno to wiadomo, że zgubiliśmy ślad tego faceta...

— Dogowa?

— Cholera wie, jak go właściwie nazywać. Zresztą, to nie ma znaczenia. Gdybym przewidział...

— Pewnie zapatrzyłeś się w tyłek tej pielęgniarki? Co?

— Przestań się wygłupiać! Facet nie uciekł daleko. Zaszył się gdzieś w tym kwadracie. Długi był wściekły? — spytał.

— Szczęśliwy pewnie nie był. Gdybyśmy go zwinęli, pozostałby tylko profesorek i po robocie. A tak...

— Czy Długi dał ci jakieś instrukcje?

— Nie. Ślęczy przy aparacie i czeka na nowiny od speców. Powiedział tylko, że mam cię odnaleźć, a potem mamy zdjąć faceta.

— Tyle to i ja wiem. Połącz mnie z Długim.

— Sam się połącz.

Karden włączył nadajnik. Z głośnika natychmiast odezwał się głos Długiego:

— Co jest, Webb?

— Tu Karden. Siedzę u Webba. Wszystko w porządku, tylko ten facet nawiał. Co robić?

— Szukać.

— Jak?

— Karden, płacę ci także za ruszanie głową. Skontaktuję się z wami, jak tylko złapię nasłuch. Twoje wyliczenia... mniejsza z tym. Będę jeszcze trochę czekał. Śpieszcie się, bo jesteście w kotle. Koniec rozmowy —głośnik trzasnął i zamilkł.

Webb spojrział na Kardenę i bez słowa wyciągnął w jego stronę rękę z fiolką pastylek uspokajających. Karden wziął jedną machinalnie i połknął.

— Ładny klops — rzekł bez przekonania Webb i przeciągnął się, aż mu kości zatrzeszczały. —Nie będziemy tu przecież siedzieć, kotku. Wątpię, aby Dogow przypadkiem na nas trafił...

— Czy możesz zamknąć się? Chociażby na chwilę.

— Okay — w jego głosie zabrzmiała uraza. —Tylko weź pod uwagę, że mogą nas spotkać spece i zapytać grzecznie, co tu robimy i dlaczego masz porwaną koszulę.

— Racja — westchnął Karden. Zdjął koszulę, wyciągnął ze skrytki nową i włożył.

— Nawet pasuje, choć wydawało mi się, że jestem cięższy —Webb dyskretnie zaakcentował fakt, iż znajdują się w jego ekwiparcie, a zatem i koszula jest jego.

— Oddam ci nową po akcji.

— W porządku, nie unos się honorem — rzekł pojednawczo.

Karden zamilkł. Obaj jednocześnie usłyszeli szum. Tak, nie ulegało wątpliwości, że to wirolot. Webb spojrział porozumiewawczo.

— Spiesz się, kotku, jakby im ktoś na ogon nadepnął. Jak myślisz, kogo oni szukają: ciebie czy tego faceta?

— Zaraz, zaraz... Zdaje się, że podsunąłeś mi rozwiązanie.

— Tak? —ucieszył się nieszczerze. — Może mi jeszcze powiesz, jakie to rozwiązanie?

— Poczekaj, zbiorę myśli...

— Weź jeszcze jedną pastylkę — zaproponował ochoczo.

— Nie, wystarczy. Po zbyt dużej dawce boli mnie głowa — Karden nerwowym ruchem potarł skronie, jakby w ten sposób chciał zmusić mózg do większego wysiłku. — Widzisz, oni mają przed sobą właściwie trzy możliwości. Mogą najpierw próbować złapać Dogowa, mogą też rozpocząć od poszukiwania mnie albo...

— Rączo szukać i jego, i ciebie w tym samym czasie. Specsłużby mają dużo chłopców gotowych na wszystko. Wiem coś o tym, kotku.

— Załóżmy więc, że będą jednocześnie szukać jego i mnie. Co byś zrobił na ich miejscu?

— Ja — Webb stropił się nieco. — No cóż... Zablokowałbym kwadrat B-Jeden-Osiemnaście.

— Dobrze...

— I na wszelki wypadek w sąsiednich kwadratach kazałbym pilnie kontrolować ruch...

— Przesadziłeś, Webb. Do tego trzeba by pułku speców. Jak myślisz, ile czasu potrzeba, aby na piechotę opuścić kwadrat B-Jeden-Osiemnaście?

— Z jakiego miejsca, kotku?

— A gdzie my tkwimy?

— Mniej więcej w środku.

— No więc, powiedzmy, ze środka.

— Około pół godziny...

— Właśnie. Od mojego starcia ze specem minęło dwadzieścia minut. Pięć minut biegłem na północ, cztery minuty cię szukałem, dalsze cztery jechałem za tobą i siedem minut sobie gwarzymy — Karden wyciągnął mapę kwadratu B-Jeden-Osiemnaście. — Rozstałem się z nimi w tym miejscu — wskazał punkt na mapie. — Dogow prawdopodobnie pobiegł w kierunku wschodnim. Do granicy kwadratu miał około

— pochylił się nad mapą — czterech kilometrów. Jeśli, rzecz jasna, nie zmienił kierunku. Na pewno nie miał żadnego pojazdu. A więc biegł. Jeżeli biegł na oślep, to granicę kwadratu mógł osiągnąć po około półgodzinie. W ile minut można zablokować dowolny kwadrat Apostezjonu?

— Piętnaście — odparł bez wahania Webb. — A więc on już siedzi w ich łapach, a teraz zabiorą się za nas...

— Nie gorączkuj się... Zablokowanie kwadratu wymaga ściągnięcia posiłków z innych dzielnic.

— Kto się gorączkuje? —przerwał urażony. — Po prostu głośno myślę.

— Pewnie na razie chodzą tylko patrole. Jeśli natknął się na któryś z nich, to już go mają i całą zabawę trzeba zaczynać od nowa. Ale jeżeli nie biegł przez cały czas, tylko się gdzieś zaszły?

— Myślisz, że on nie wie, że go szukają?

— Tego nie powiedziałem. Nikt nie zdaje sobie dokładnie sprawy, co on wie, a czego tylko domyśla się. Chyba jedynie Marten... Przeanalizujmy jednak ten drugi wariant. Załóżmy, że gdzieś się zaszły, przycupnął i siedzi cichutko jak mysz. Co byś wtedy zrobił, aby go odnaleźć?

— Hm...—Webb stanowczo nie lubił zbyt skomplikowanych zagadek — a co to jest mysz?

— To taki gryzoń. Webb, nie gub się w szczegółach! Trzymaj się sedna sprawy.

— Okay — mruknął bez przekonania. — Będą przeczesywać teren, a jeżeli jeszcze trochę tutaj postoiemy, to na pewno nas nakryją i będą wypytywać o różne głupstwa. Gadamy, gadamy, a nic nie robimy... Ten wirolot zawraca. Pewnie chce się nam bliżej przyjrzeć.

— Spokojnie, rozejrzyj się trochę, a zobaczysz, że nie my jedyni zaparkowaliśmy tu swe pojazdy.

— Ale tylko my siedzimy w wozie. Nie znam się na tych analizach i komputerach, ale czuję, że jeżeli nie zaczniemy działać, to za chwilę będzie gorąco. Bardzo gorąco.

— Mój plan jest w gruncie rzeczy bardzo prosty. Posłuchaj...

Długi ponuro wpatrywał się w lampkę kontrolną aparatu nasłuchowego. Był zły na siebie. Nagrał wprawdzie rozmowę Martena z Vittolinim, ale nie włączył przyrządów namiarowych. Toteż wiedział tyle, co przedtem, a kwadrat B-Jeden-Osiemnaście mieścił wiele domów z wieloma apartamentami w każdym. Miał zatem powody do niezadowolenia, tym bardziej że rozmowa była na tyle długa, że z pewnością udałoby się zidentyfikować przynajmniej budynek. A teraz musiał czekać, aż ktoś znowu zechce użyć radiotelefonu w apartamencie Służb Specjalnych. Na wszelki wypadek, spoglądając ukradkiem na Coxa, włączył zawczasu przyrządy

namiarowe, aby znów czegoś nie przegapić. Bardzo nie lubił bezczynności, a głos Vittoliniego, jak zwykle pewny siebie, niemal arogancki, sprawił, że czekanie było jeszcze trudniejsze. Chciał to już mieć za sobą. Chciał włączyć się do akcji, poczuć smak niebezpieczeństwa, które pozwala pełniej przeżywać sukces.

Sięgnął po butelkę naturalnego, własnoręcznie wyciśniętego soku pomarańczowego i napełnił nim szklankę. Spojrzał na zegar ścienny. Dochodziła 15.00. Już tak późno — pomyślała tak niewiele zrobiliśmy. Mamy dopiero tę dziewczynę, pacjent uciekł, a Marten jest ciągle poza naszym zasięgiem. Niewiele, doprawdy niewiele... Przecież spece nie próżnują. Ale siedzą cicho — spojrzął z wyrzutem na milczący aparat — jakby wiedzieli, że czekam na jedno choćby zdanie, które pozwoliłoby trafić do tego zadufanego profesorka. Siedzę tu bezczynnie, a tam Karden i Webb krążą pewnie jak idioci, oczekując ode mnie danych. Trzeba ich czymś zająć, bo gotowi się rozkleić — podjął nagłe postanowienie.

Włączył aparat nadawczy i po kilku sekundach z głośnika odezwał się opryskliwy głos Kardena:

— Słucham.

— Ciągłe nie mam namiaru. Wy coś macie?

— Nie. Do tej pory nic.

— Niech Webb jeszcze raz pojedzie na miejsce, gdzie cię nakryli. Może tam trafi na ślad tego faceta. Jasne?

— Jasne.

— Ty go ubezpieczaj. I daj natychmiast znać, gdybyście coś znaleźli.

— W porządku.

— Podsyłam wam Coxa. Jeśli do piętnastej trzydzieści nie znajdzie was, dajcie sygnał namiarowy. Koniec.

— Koniec — burknął Karden i głośnik zamilkł.

Długi spojrzął na Coxa, a ten bez słowa wstał i wyszedł.

Vittolini rozłączył się i znów zwrócił się do spoconego Martena.

— Widzi pan, profesorze, jednak coś się dzieje. Moi ludzie znaleźli koszulę Wardensona.

— Koszulę?

— Tak. Leżała pod drzewem, koło którego obserwator zauważył grupkę ludzi.

Najprawdopodobniej temporystów.

— Myśli pan...

— Tak, profesorze, możemy przypuszczać, że trafił do którejś z okolicznych melin tych nieszczęśników.

— To w zasadzie jest mało prawdopodobne.

— Dlaczego?

— Przecież on miał wpisaną obawę przed temporystami. Jak każdy normalny człowiek. Powinien przed nimi uciekać...

— Zapomniał pan — przerwał mu Yittolini — że on ich spotkał już w czasie ucieczki.

— To prawda — przyznał. — Stan lękowy, w jakim się znajdował, mógł wytłumić obawę przed temporystami. Jeśli oni go przyjęli i pomogli ukryć się...

— Pomagają właściwie wszystkim, którzy uciekają — wtrącił Vittolini. — Ale nie umkną daleko. Znamy ich meliny. Przeczesanie ich jest tylko kwestią godzin. Moi ludzie już się tym zajęli.

— Zróbcie to szybko! — rzekł błagalnie Marten.

— To bardzo ważne. Zależy od tego sens całego eksperymentu.

Vittolini spojrział na niego przelotnie i rzekł:

— Wiem o tym. Ale dobro tego szczególnego eksperymentu, wybaczy pan, profesorze, nie jest najważniejsze.

— Jak to? Cóż może być ważniejsze?

— Bezpieczeństwo. Bezpieczeństwo pana, całego Zespołu czy wreszcie Apostezjonu. Ktoś przecież to wszystko zorganizował. Ktoś skopiował materiały, ktoś przejął Matildę Lorret, ktoś śledził Wardensona. Kto? I po co?

— Sam zadawałem sobie te pytania.

— A ja muszę na nie odpowiedzieć. Rozumie pan? Muszę! I odpowiem. To jest próba. Dla całej mojej ekipy. Próba trudna, bo przeciwnik jest przebiegły, dobrze wyposażony i... dużo wie — kapitan spojrział uważnie w oczy Martena. — Czy wie pan, że wtórna analiza socjogramów wykazała, iż był pan jednym z pięciu członków Zespołu, którzy darzyli Wardensona najwyższą sympatią? I że w pana przypadku nie była to sympatia odwzajemniona?

Marten poczuł nieprzyjemne mrowienie karku.

— To przecież niczego nie dowodzi...

— Oczywiście, drogi profesorze, oczywiście. Podobnie jak fakt, że mój szef darzył Wardensona zdecydowaną antypatią. Zresztą odwzajemnioną.

— Pan również ma dossier generała?

— Nadmiar informacji znacznie rzadziej mi dokucza niż ich brak.

— Ale — Marten ciągle nie mógł ochłonąć — ale co to ma do rzeczy?

— Może ma, a może nie ma... Któż to może wiedzieć.

— Pan już coś wie?

— Niewiele. Po prostu kojarzę fakty. Niech pan spojrzy na dość logiczny rozwój wypadków. Po pierwsze: przeciek informacji o pańskim zabiegu, informacji, którą znali tylko niektórzy członkowie Zespołu, a mianowicie szef departamentu personalnego, doktor Cryps oraz szef departamentu koordynacji, czyli profesor Nordmann. Nawiasem mówiąc, jego socjogram wykazuje zastanawiający związek z socjogramem Wardensona. Kto jeszcze? Oczywiście pan, profesorze. Trudno mi przypuszczać, aby ktokolwiek z członków Zespołu, najwybitniejszych obywateli Apostezjonu, pozwolił sobie na ... zdradę tajemnicy stanu — spojrzął przenikliwie na Martena.

— Tego nie można brać w rachubę — potwierdził skwapliwie Marten. — Ale przecież były inne osoby, które o tym wiedziały. Na przykład Ann.

— Tak, istotnie — przyznał Vittolini. — Ann, choć ona dowiedziała się ostatnia, i ściśle kierownictwo Służb Specjalnych, które znało sprawę od momentu złożenia przez pana propozycji zabiegu. Zatem krąg wtajemniczonych był bardzo wąski.

— Rzeczywiście.

— To jest właśnie ten pierwszy fakt — ciągnął dalej Vittolini. — Po drugie: brak śladów włamania w pańskim szpitalu. Wynika z tego, że robota była dziełem zawodowców albo... Zresztą na wnioski przyjdzie jeszcze czas. Po trzecie: tak dobrze zorganizowana akcja wymagała co najmniej kilkudniowych przygotowań. Dalej, wytropienie w ciągu kilku godzin apartamentu, gdzie w najściślejszej tajemnicy umieściliśmy Wardensona. Kolejny fakt do mozaiki to porwanie Matildy Lorret po odebraniu jakiejś przesyłki w Banku. Nie przed, lecz po odebraniu przesyłki. Zastanawiające, prawda?

— Istotnie — zgodził się z ociąganiem Marten.

— Porwano ją mimo obstawy złożonej z naprawdę dobrze wyszkolonych ludzi. Trudno to przypisać ich przypadkowemu zagapieniu się, a więc i ten fakt biorę pod uwagę. I wreszcie informacje uzyskane przez analizę socjogramów. Czy zestawienie tych faktów nic panu nie mówi?

Marten wytarł chustką spocone czoło. Rozmowa zdecydowanie przybierała nieprzyjemny dla niego obrót. Znowu poczuł się osaczony przez podejrzenia, których nie był w stanie odeprzeć żadnym argumentem.

— Kapitanie, widzę, że ponownie zmierza pan w niewłaściwym kierunku.

— Czyżby?

— Zapewniam pana, choć moje zapewnienie nie ma żadnej wartości dowodowej, że nie mam z tym nic wspólnego.

— Przecież ja tego nie twierdzę. Ciągłe poruszam się wśród hipotez, choć muszę wyznaczyć, że jest ich coraz mniej. To wielka próba dla mojej ekipy. Ja o tym wiem i ... Szef także.

Profesor spojrział uważnie na kapitana. To jest naprawdę rozbawiony chłopak, ale i niebezpieczny. Może domyślamy się tego samego, ale jeżeli te przypuszczenia okażą się nieprawdziwe... Dlatego on sugeruje rozwiązanie, na które sam wpadłem wcześniej? Przecież ludzie ze Służb Specjalnych mówią innym tylko to, co chcą powiedzieć... — rozmyślanie przerwało dyskretne pukanie do drzwi.

— Wejść! — krzyknął Vittolini.

W progu stanął jeden z eskortujących go wywiadowców.

— Kapitanie — zameldował prężąc się — major Sartor jest na linii. Koniecznie chce się skontaktować.

— Przełącz go tutaj. Nie mamy tajemnic przed profesorem.

— Tak jest! — jeszcze bardziej wyprężył się wywiadowca, choć wydawało się to już niemożliwe, i bezszelestnie zniknął za drzwiami. Po sekundzie odezwał się brzęczyk telefonu przewodowego. Vittolini włączył odbiór i z głośnika wydobył się dostojny głos Sartora.

— Sartor mówi do Vittoliniego.

— Słucham, Vittolini.

— Nareszcie! — Sartor sapnął z ulgą. — Przypomnij swoim chłopcom, żeby uprzejmiej odnosili się do starego Sartora.

— Czy to chciałeś mi powiedzieć? — przerwał.

— Nie tylko — odrzekł. — Mam dla ciebie miłą informacyjkę. Posłuchaj — w głośniku rozległ się cichy trzask i po chwili dały się słyszeć zniekształcone głosy:

— Słucham.

— Ciągłe nie ma zamiaru. Wy coś macie?

Vittolini drgnął. Ten głos... Nie, to chyba niemożliwe.

— Nie. Do tej pory nic.

— Niech Webb jeszcze raz pojedzie na miejsce, gdzie cię nakryli. Może tam trafi na ślad tego faceta?

— Jasne.

— Ty go ubezpieczaj. I daj natychmiast znać, gdybyście coś znaleźli.

— W porządku.

— Podsyłam wam Coxa. Jeżeli do piętnastej trzydzieści...

Vittolini spojrzął odruchowo na zegarek, było dziesięć minut po godzinie piętnastej.

— ...nie znajdzie was, dajcie sygnał namiarowy. Koniec.

— Koniec.

Znów lekki trzask i głos Sartora:

— I co ty na to?

— Namierzyliscie?

— Oczywiście. Podaję współrzędne: kwadrat C-Czternaście-Dwa, segment Trzynasty, najprawdopodobniej trzeci budynek, licząc od wschodniej granicy segmentu. Zanotowałeś?

— Takie rzeczy zapamiętuję, Sartor. Trzymaj nasłuch. Ja pojedę odwiedzić naszego rozmownego przyjaciela— zawahał się przez moment, po czym dodał:

— Dziękuję. Koniec.

— Koniec — odpowiedział jak echo Sartor i głośnik zamilkł.

— Konkret, profesorze, nareszcie konkret! — Vittolini nie mógł opanować tej dziwnej ekscytacji, która nawiedzała go niemal zawsze, gdy udało mu się zdobyć rzecz, której bardzo pożądał. — Jak pan widzi, posuwamy się naprzód.

Marten również poruszony wiadomością od Sartora zdobył się tylko na westchnienie. Tymczasem Vittolini podszedł do telefonu i szybko nacisnął klawisze.

- Pino, Dreger i porucznik Duray do mnie!
- Tak jest! — odparł ochoczy głos. Nie upłynęły dwie minuty, gdy do pokoju weszli wezwani wywiadowcy, a za nimi cicho wśliznęła się Ann.
- Dreger. Polecisz ze mną. Weź jeszcze dwóch ludzi i maski przeciw obezwładniaczom. Przygotuj wirolot. Zaraz tam będę.
- Tak jest! — wyprężył się Dreger i był gotów wyjść z pokoju, gdy kapitan zapytał go:
- Kto przeczesuje meliny?
- Musieliśmy skorzystać z pomocy wywiadowców z Wydziału Dochodzeniowego i sił lokalnych.
- To sprawni chłopcy?
- Tak jest.
- Ile jest w tym rejonie melin?
- Oni wiedzą dokładnie. Mają rejestr. Myślę, że nie więcej niż dwadzieścia.
- To wszystko?
- Tak jest! — Dreger wyprężył się i wybiegł.
- Co ze Swenem? — zwrócił się do Ann.
- Dochodzi do siebie — odparła.
- Zaprowadzisz Pino w to miejsce, gdzie uciekł ci Wardenson.
- Tak jest.
- Ty — zwrócił się do Pino — weźmiesz czwórkę ludzi i macie tam tkwić tak długo, aż znajdziesz dwóch facetów, którzy właśnie zmierzają w tym kierunku. Penetrujcie rejon z powietrza i z lądu.
- Tak jest.
- Pamiętaj, że jeden ubezpiecza drugiego i że nie wybraliście się na przejażdżkę spacerową.
- Tak jest.
- Masz okazję pokazać, co potrafisz. Dzisiaj rano nie popisałeś się.
- Pamiętam — odparł ponuro.
- Są pytania?
- Tak — rzekł Pino. — Co mamy zrobić z tymi facetami?
- Zidentyfikować ich i poczekać, aż nadjedzie trzeci. Już jest w drodze. A potem

całą trójkę odstawić do Kwatery Głównej. I czekać do mojego powrotu.

— Czy znane są jakieś znaki szczególne?

— Nie. Tylko, że jadą ekwipartami i że jeden z tej dwójki, Webb, będzie ubezpieczony przez drugiego, tego, który napadł Swena, a trzeci nazywa się Cox. To, oczywiście, mogą być pseudonimy. Niech Swen sprawdzi u informatyków, czy mamy takie nazwiska w rejestrze. Jeszcze coś?

— Ale w jaki sposób ich odróżnić... ruch jest duży...

— Ja mam cię uczyć, Pino? Czasami pytasz jak dziecko. Z jakimi ja ludźmi pracuję? Rusz głową... A oprócz tego pomoże ci porucznik Duray, prawda, Ann? Chyba poznasz tego, który napadł Swena? Aha! Jeszcze jedno: od tej chwili obowiązuje absolutna cisza radiowa. Aż do odwołania — dodał z naciskiem.

— Tak jest.

— Wykonać!

Pino wyprężył się i wyszedł z pokoju. Za nim podążyła Ann.

— Pan, profesorze, ze względu na osobiste bezpieczeństwo nie powinien ruszać się z tego pokoju. Na wszelki wypadek jeden z moich chłopców będzie pilnował drzwi. Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko temu?

— Ależ skąd! — zaprzeczył żywo Marten. — I tak cały rozkład dnia mam zrujnowany. Nie muszę się już nigdzie spieszyć.

— Doskonale. Do widzenia panu —podszedł do drzwi i dodał: — Być może cała sprawa wyjaśni się wcześniej, niż Szeff przypuszcza —po czym skłonił się lekko i opuścił pokój.

— To tutaj — rzekła Alma, wskazując niewielki budynek, do którego prowadziła żwirowa alejka. Upał jakby zelżał. Na niebie tu i ówdzie pojawiły się cumulusy, podobne do ogromnych czap bitej śmietany, ulubionego przysmaku Iry, gdy chodził jeszcze do szkoły. Całą drogę, niezbyt zresztą długą, przebyli w milczeniu. Tylko Patt zamykający pochód rzucał od czasu do czasu jakieś niezrozumiałe słowa. Najwyraźniej kluczyli, bowiem Ira odniósł wrażenie, że zmieniali kierunek zbyt wiele razy jak na taki krótki dystans.

Alma zatrzymała się przed drzwiami wejściowymi, a za nią reszta. Zbliżyła się do Iry i patrząc mu w oczy, rzekła ciepłym, miękkim głosem:

— Przygotuj się na kilka pytań. To jest, niestety, konieczne.

— Rozumiem — odparł Ira, choć nic z tego nie rozumiał.

— Mamy przykre doświadczenia — ciągnęła Alma. — Tyle razy podsyłano nam różnych ludzi, że teraz musimy być ostrożni. Dobrze ci z oczu patrzy, człowieku, ale to za mało. Chodź.

Weszli do mrocznego korytarza. Alma otworzyła jakieś drzwi i popchnęła go lekko do środka. Ira znalazł się w małym, skromnie umeblowanym pokoiku.

— Posiedź tu chwilę — powiedziała. — Zaraz przyjdzie nasz brat i porozmawia z tobą.

Został sam, ale nie mogło to trwać zbyt długo, bo nim zdążył zebrać myśli, drzwi się ponownie otworzyły i do pokoju wszedł mężczyzna ubrany podobnie jak reszta temporystów. Spojrzał badawczo na Irę, usiadł naprzeciwko i przedstawił się:

— Nazywają mnie Colin. Kim jesteś, chłopcze, i co cię do nas sprowadza?

— Jestem Ira. Ira Dogow.

— Co cię do nas sprowadza? — powtórzył.

— Nic. Przyprowadziła mnie Alma.

— Uciekałeś, prawda?

— Chyba tak... — odparł z wahaniem.

— Nie masz pewności?

— Uciekałem — rzekł Ira z determinacją. — Na pewno uciekałem.

— Przed czym?

— Nie wiem... Właściwie wiem, ale to nie był zasadniczy powód.

Colin zbliżył się do niego razem z krzeselkiem. W jego dłoni Ira dostrzegł fiolkę.

— Chcesz pastylkę?

— Tak, z przyjemnością — sięgnął do fiolki.

— Nie wiesz, dlaczego uciekałeś. Ciekawe.

— Ależ wiem! — zaprzeczył żywo. — Tylko niełatwo to wytłumaczyć.

— Dlaczego?

Spojrzał na Colina. Z jego jowialną, nieco nalaną twarzą kontrastowały siwe, nieruchome oczy, które — zdawało się — widzą sprawy, których Ira nie był w stanie dostrzec. Zaczął tłumaczyć się, choć czuł, że to właściwie nie ma sensu. Nie mógł

jednak znieść myśli, że ten człowiek podejrzewa go o coś, cokolwiek by to było. Dlaczego uciekałem? —myślał. — Sam chciałbym to wiedzieć.

— No więc? Dlaczego? — nie ustępował Colin.

— Dzieją się ostatnio ze mną jakieś dziwne rzeczy

— rzekł z wysiłkiem.

— Tak?

— Miałem wypadek. Drogowy. Nie pamiętam tego, ale powiedział mi to Marten.

— Marten? Ten znany psychosyntetyk?

— Tak. Ten sam. Zdaje się, robił mi jakiś zabieg. To mnie uratowało. Byłem już jedną nogą w niebycie.

— Sam Marten robił ci zabieg? To musiało być coś bardzo skomplikowanego.

— Nie wiem. Zupełnie nie wiem, co się ze mną działo. Zajął się mną Marten, ale i tak coś mi się tutaj nie zgadza.

— Co mianowicie?

— Jeżeli to był wypadek, to bardzo szczególnego rodzaju.

— Dlaczego?

— Obudziłem się rano. Czułem się zupełnie dobrze. W mieszkaniu nie było widać śladów obecności obcych. Nie tknięta była nawet nie dopita szklanka napoju, którą jak mi się zdawało, zostawiłem poprzedniego wieczoru na stole. W ogóle nie wiedziałbym, że cokolwiek się stało, gdyby nie...

— Mów, chłopcze, mów — rzekł uspokajająco Colin. — To bardzo interesujące.

— Otóż pilnowała mnie pielęgniarka...

— Opiekowała się tobą — poprawił Colin.

— Też, oczywiście, ale przede wszystkim pilnowała mnie. Była funkcjonariuszem Służb Specjalnych.

— A ty jej uciekłeś, czy tak?

— Nie tylko jej...

— To znaczy? —Colin łyknął drugą pastylkę.

— Okazało się, że mam podwójną obstawę i na dodatek jeszcze kogoś, kto bił się z człowiekiem z obstawy. Powiedz, czy to mógł być normalny wypadek drogowy?

— To na ciebie jest ta obława?

— Jaka obława?

— Przeczesują okolicę — rzekł niedbale. — Nigdy ich jeszcze tylu nie było. Prawdopodobnie będą tu za niecałą godzinę, chyba żeby wcześniej znaleźli to, czego szukają.

Ira poruszył się niespokojnie.

— A więc uciekłeś, kiedy twoja obstawa zaczęła się bić? —ciągnął dalej Colin. — Chyba przyznasz, że to niezbyt logiczne, prawda?

— Nie, nie rozumiesz — zaprotestował. —To nie obstawa się biła, ale ktoś trzeci napadł na funkcjonariusza.

— A ty skorzystałeś z okazji i uciekłeś?

— Nie zastanawiałem się nad tym. To był odruch.

— Załóżmy —mruknął. —Jeśli cię znajdą, to co z tobą zrobią?

— Nie wiem — odparł z rezygnacją. — Naprawdę nie wiem.

— Kim ty właściwie jesteś?

— Kurierem. W Centrum Kalkulacyjnym Apostezjonu.

— Tam, gdzie wszyscy jesteśmy odnotowani...

— Tak. Tam również są centralne rejestry demograficzne.

— Ładnie to nazwałeś.

Ira nie mógł zorientować się, czy było to powiedziane serio czy z ironią. Ale przecież tak te rejestry się nazywają. Był tego absolutnie pewien, tak pewien, jak wczorajszego dnia... Wczorajszego dnia? Coś jakby ukłucie przeszło mu grzbiet. Czyżby... Nie, to niemożliwe. Był tego pewien... Poczuł w głowie chaos.

— Co ci jest?

— Nic — otrząsnął się. — Nic, już dobrze.

— Napijesz się czegoś?

— Z przyjemnością.

Colin podszedł do dość prymitywnego automatu, który — na oko — mógł serwować nie więcej niż trzy rodzaje napojów, i po chwili wrócił na miejsce. Podał Irze szklankę i spytał:

— Byłeś kiedyś tam, za morzem?

— Nigdy.

— Wiesz, co się tam dzieje?

— Jak można nie wiedzieć? Nasza telewizja jest pełna doniesień o życiu po

tamtej stronie.

— Mówisz, że jesteś kurierem... Jak często widzisz się z kolegami z pracy?

— Właściwie nie znam ich. Przydział pracy wyznacza nam komputer.

— Tak na zdrowy rozum, to ty nie jesteś kurierem.

— Nie rozumiem?

— Wyobraź sobie, chłopcze, że ty, zwyczajny kurier, jakich setki przemierza nasz Apostezjon, zajmujesz czas samemu Martenowi. Ze Służb Specjalnych interesują się tobą tak bardzo, iż dają ci podwójną obstawę, i że wreszcie po twoim zniknięciu urządzają obławę, jakiej jeszcze tutaj nie mieliśmy. Sam widzisz, że to się kupy nie trzyma. Ty jesteś kimś ważnym, chłopcze. Albo o tym nie wiesz, albo... nie chcesz mi powiedzieć.

— Nieprawda! Wszystko ci powiedziałem.

— Nieważne. Myślę, że naprawdę cię szukają. Nie urządzaliby takiego teatru, aby wprowadzić do nas, małej grupki, swojego człowieka. Zresztą ich człowiek wymyśliłby coś lepszego. Pomożemy ci, kimkolwiek jesteś. Almo! — rzekł głośniej w stronę drzwi, w których niemal natychmiast pojawiła się Alma. — Zaprowadź tego człowieka do jadalni i daj mu coś jeść.

— Dobrze, Colin. Wszystko w porządku, prawda?

— Myślę, że tak.

— Ja to czułam. Chodź, człowieku — zwróciła się do Iry. — Damy ci schronienie.

— Czego chciał Długi? — zapytał Webb, sadowiąc się tym razem na przednim siedzeniu wozu Kardena.

— Mamy jeszcze raz pojechać w tamto miejsce. To znaczy, ty masz pojechać, a ja mam cię ubezpieczać. Za chwilę dołączy do nas Cox.

— To wszystko?

— Wszystko.

— Co z nasłuchem?

— Nic. I to zaczyna mnie niepokoić. Bo jeśli ogłosili ciszę radiową, to wiedzą, że mamy ich na nasłuchu. A jeśli wiedzą już to...

— Winszuję, kotku. Ładny pasztet. Myślisz, że spece coś podsłuchali?

Karden spojrzał na niego ponuro.

— Czy ja jestem jasnowidzem? Może nic nie podsłuchali, tylko na wszelki wypadek są ostrożni; może podsłuchali pierwszą albo ostatnią rozmowę. Skąd ja to mogę wiedzieć?

— Spokojnie koteczku. Weź sobie pastylkę. Dobrze ci zrobi.

— Powiedziałem już, że mam dość tego świństwa. Głowa od tego mi puchnie.

— Powiedziałeś Długiemu, co chcemy zrobić?

— Nie. Tego tylko brakowało! — obruszył się Karden.

— Zatem bez jego zgody będziemy musieli wprowadzić pewne, hm... modyfikacje do jego ostatniego polecenia.

— Biorę to na siebie.

— Nie wiem, czy to wszystko dobrze obmyśliłeś — wahał się dalej Webb. — Może jednak powinieneś go spytać o pozwolenie?

— Długi dał mi wolną rękę — odparł z determinacją. — Już zdecydowałem. Chyba że masz lepszy pomysł.

— A jeżeli to nie oni go ukryli? Może gdzieś zaszył się i próbuje połapać się w tym wszystkim?

— Czy potrafisz sobie wyobrazić człowieka przestraszonego, który przez pół godziny beczynnie czeka pod krzaczkiem, aż coś się stanie?

— Nie. Zresztą rób, jak uważasz, kotku. Będę cię ubezpieczał. Cox też.

— Nie mamy dużo czasu. Ta cisza radiowa... Trzeba szybko działać. Pamiętaj więc — Karden nieco ściszył głos — pojedziemy jeszcze raz w to miejsce. Potem zacznę uciekać. Tylko trzymaj się w przyzwoitej odległości. Najdalej za godzinę dam ci jakoś znać, co się dzieje.

— Czy naprawdę nie możesz ze sobą zabrać radia?

— Zdecydowanie nie. Już ci tłumaczyłem, że oni są ostrożni.

— Jak chcesz... — westchnął Webb.

— Jeżeli za godzinę nie dostaniecie ode mnie znaku życia, działajcie dalej na własną rękę.

— Może moja koszula przyniesie ci szczęście — Webb stanowczo nie lubił działań, których ryzyka nie był w stanie ocenić.

— Idź teraz do swojego wozu. Cox powinien tu być lada moment. Jak tylko nas znajdzie, ruszamy. Zachowujemy odległość stumetrową.

Webb westchnął po raz drugi.

— Coś jeszcze? — spytał szorstko Karden.

— Nie — odparł. — Trzymaj się, kotku.

Z wątego ruchu ulicznego odłączył się jeden ekwipart i zatrzymał w pobliżu pojazdu Webba.

— Jest Cox — stwierdził z ulgą Karden. — Powiedz mu, co ustaliliśmy i ruszamy.

Webb wysiadł i zatrzasnął za sobą drzwi. Karden odzyskał ową jasność umysłu, którą miewał zawsze w chwilach niebezpieczeństw. Widział wówczas bieg wydarzeń jak na zwolnionym filmie, co pozwalało mu reagować zawsze w porę. Toteż mimo swych czterdziestu sześciu lat oraz ponad dwudziestoletniej praktyki balansowania na krawędzi legalności ani razu nie dał się nakryć Specsłużbom. Nie znali go, choć on znał ich całkiem nieźle. W światku zawodowych wykonawców zleceń niezupełnie legalnych krążyły różne wieści o specach.

Ekwipart Webba błysnął światłami. Na ten znak Karden ruszył, a za nim, w ustalonej odległości pozostałe pojazdy.

Służby Specjalne potrzebowały ich, zawodowców od nielegalnej roboty. Podobnie jak oni potrzebowali speców, aby znalazł się popyt na ich usługi i aby ceny tych usług były godziwe. Byli dla Specsłużb niezbędni, bo jak spece mogliby uzasadnić swoje istnienie, gdyby nagle wszyscy zawodowcy znaleźli się w ośrodkach resocjalizacyjnych? Mitycznym zagrożeniem zza morza? To wystarczyłoby co najwyżej do uzasadnienia dziesiątej części funduszy i etatów, jakimi dysponował aparat Służb Specjalnych. Toteż wytworzyła się osobliwa symbioza tych dwóch światów, nie naruszana przez żadną ze stron. Karden wiedział jednak doskonale, że respektowanie wzajemnego istnienia nie dotyczy konkretnych jednostek. Pomiędzy żywymi ludźmi trwała nieubłagana, zacięta walka. Jeśli spece wpadli na trop zawodowca, to ścigali go z uporem godnym dochodów i przywilejów, jakie im przysługiwały. Ale też i zawodowcy nie brali pieniędzy za darmo. Wykonywali swe usługi starannie, kalkulując w cenie wszelkie dające się przewidzieć ryzyko, z resocjalizacją włącznie.

Obecne zalecenie było o tyle nietypowe, że mieli do czynienia z ludźmi, a nie — jak zwykle — z przekazywaniem zakazanych środków farmakologicznych, używanych przez owych nieszczęśników, którzy nie mogli przestawić się na środki dozwolone.

Umówiona cena czyniła wprawdzie to przedsięwzięcie opłacalnym, ale w żadnym stopniu nie obniżała ryzyka niepowodzenia.

Mijali coraz ruchliwsze uliczki, aż wreszcie zbliżyli się do alei lipowej, gdzie Karden po raz ostatni widział Wardensona. Upewnił się jeszcze, czy tamci jadą za nim, po czym zatrzymał ekwipart i rozejrzył się uważnie. W zasadzie było pusto, jeśli nie liczyć pary starszych ludzi i jakiejś kobiety z dzieckiem, spacerujących aleją.

To było tu — stwierdził. — Uciekałem w tę stronę. W jakim kierunku mógł pójść Wardenson? Teoretycznie — w każdym, z wyjątkiem tego, który ja sam obrałem. A praktycznie? — zamyślił się głęboko. — Jeśli moja hipoteza jest prawdziwa, to uciekał aleją, bo powinienem go dostrzec, gdyby biegł na przełaj. Zresztą — uspokoił się — nie muszę biec tą samą drogą. Ważne, bym trafił na ślad właściwych ludzi.

Jeszcze raz zlustrował najbliższą okolicę. Nie zauważył nic niepokojącego. Wyszedł więc z wozu i zaczął iść w głąb alei. Pojazd Webba ruszył w tym samym kierunku, a w ślad za nim — elektrowóz Coxa.

Karden przyspieszył kroku i po chwili zaczął biec. Minął starszą parę, później kobietę z dzieckiem, która obejrzała się za nim. Wtedy usłyszał szum wirolotu, przemykającego nad koronami drzew. Zaczął biec szybciej. Teraz już naprawdę uciekał.

Wirolot obniżył pułap. Przelatywali teraz wąskim wąwozem ulicy, tuż nad spieszącymi gdzieś, uporządkowanymi tabunami elektrowozów. Tylko wiroloty Służb Specjalnych miały prawo poruszać się tak nisko.

Vittolini śledził lot na mapie świetlnej. Ich pozycję wyznaczał czerwony punkt, przesuwany się wolno pomiędzy kwadratami, na które podzielona była mapa.

— Zbliżamy się — mruknął, po czym zwrócił się nieco głośniejszym głosem do pilota: — Ląduj na najbliższym dostępnym miejscu.

Niebawem też koła wirolotu dotknęły miękko gruntu. Vittolini odbezpieczył obezwładniacz i rzekł:

— Jesteśmy na skraju Trzynastego segmentu. Według Sartora to powinien być trzeci w kolejności budynek. A więc najprawdopodobniej ten niski domek. Widzicie go?

Członkowie ekipy pościgowej w milczeniu skinęli głowami.

— W porządku. Akcja według procedury numer trzy. Tylko nie zapomnijcie o maskach. Wysiadamy.

Wysypali się na trawę. Szli w milczeniu, niespiesznie, jak wszyscy ludzie przystępujący do pracy, którą znają i lubią. Otoczyli domek i jak na rozkaz włożyli maski przeciw obezwładniaczom. Vittolini podszedł do drzwi frontowych. Dreger ubezpieczał go, pilnując zarazem wschodniego szczytu domku. Widział, jak kapitan nacisnął lekko klamkę, uchylił bezgłośnie drzwi i zniknął we wnętrzu. Dał znak pozostałym członkom ekipy, aby byli w pełnym pogotowiu.

Tymczasem Vittolini stanął w przedpokoju i przez chwilę nasłuchiwał. W domu panowała cisza, ale jego wyczulony słuch uchwycił szmery w jednym z pokoi. Stał jeszcze przez moment w bezruchu i teraz już nabrał pewności. W tym pokoju ktoś był. Zbliżył się miękko do drzwi i delikatnie nacisnął klamkę. Drzwi ustąpiły. Wówczas pchnął je gwałtownie i z obezwładniaczem gotowym do strzału wskoczył do pokoju.

Za stołem siedział mężczyzna, który na jego widok zerwał się i rzucił w stronę okna. Vittolini nie miał już wątpliwości. To był on. Zdjął maskę z twarzy i rzekł:

— Znowu się spotykamy.

Mężczyzna zawahał się przez moment i otworzył okno. Vittolini szybko rzucił:

— To nie ma sensu. Dom obstawiony. Wiesz przecież, że rzadko chodzę sam.

Mężczyzna podszedł do stołu, ale kapitan był szybszy. Przeciął mu drogę i powiedział niemal szeptem:

— Nie spiesz się. Najpierw pogadamy. A te zabawki na stole — spojrzał na włączoną aparaturę — zostawmy lepiej do zbadania ekspertom. Przecież ty się na tym nie znasz, prawda? Usiądź sobie wygodnie. Dawno nie mieliśmy okazji do rozmowy.

Mężczyzna osunął się na fotel i rzekł jakby z odcieniem ulgi:

— To koniec. Jeszcze raz udało ci się. Jeżeli masz mnie obezwładnić, to rób to od razu. Pewnie twoi mocodawcy niecierpliwą się.

— Powiedziałem ci, że nie ma pośpiechu. Jak ty się teraz nazywasz?

Mężczyzna spojrzał na niego z nienawiścią i rzeki.

— Po co ten cyrk? Wiem, już mnie z łap nie wypuścicie. Powiedz, po co urządzasz ten cyrk? Nie wystarczy ci, że znowu jesteś górą?

— Nazywają cię teraz Długi, prawda?

Długi milczał.

— To dobrze, że nie szargasz naszego nazwiska —ciągnął Vittolini. — Długi. Nawet do ciebie pasuje. To ty byłeś szefem tego całego interesu? — kapitan przysiadł na rogu stołu i zaczął od niechcienia przeglądać wydruki z komputera. — Chyba się nie mylę, prawda?

— O co ci chodzi?

— O to —wskazał na stół —a także o twoich kompanów.

— Nie wiem, o czym mówisz. Ja...

— Słuchaj —przerwał mu —naprawdę nie ma sensu udawać. Wiem już prawie wszystko... I wiedziałem, że się spotkamy. Ostrzegałem cię, pamiętasz?

— Czy to przesłuchanie, czy kazanie?

— Nazywaj to, jak chcesz, ale tak naprawdę...

Drzwi uchyliły się i na progu stanął Dreger.

— W porządku, Dreger — rzekł Vittolini. — Pilnujcie dalej domu. Ja tu jeszcze chwilę porozmawiam.

— Tak jest! —wywiadowca wyprężył się i zniknął.

— No więc, Długi — kapitan wstał i zbliżył się do fotela —powiedz mi, co wiesz, a oszczędzisz sobie upokorzenia. I mnie też —dodał po chwili.

— Nic nie wiem.

— Wiesz, wiesz. Kto cię wynajął, z kim pracujesz i po co to wszystko robicie?

— Przecież ty już wszystko wiesz.

— Posłuchaj mnie teraz uważnie —Vittolini pochylił się nad Długim i mówił niemal szeptem: —Nie mam zbyt dużo czasu na przekomarzania. Tam czekają moi ludzie. Wystarczy, że ich zawołam, a odtransportują cię do Sekcji Przesłuchań. Chyba wiesz, co to znaczy?

Długi nie odzywał się. Tymczasem Vittolini ciągnął dalej:

— Masz jeszcze szansę. Ale to już ostatni raz. Jeżeli z niej nie skorzystasz...

— Wiesz, gdzie mam taką szansę? Powiedzieć ci? —w jego głosie zabrzmiała zapiekła nienawiść.

— Dobrze —kapitan wyprostował się i zaczął chodzić po pokoju. — Zawsze byłeś uparty. Myślałem, że już z tego wyrosłeś. Ale ty ciągle jeszcze masz mleko pod nosem —wyjął fiolkę z pastylkami.—Chcesz?

— Nie używam tego świństwa — obruszył się.

— Nie, to nie — Vittolini zażył jedną pastylkę i schował fiolkę. — Ci twoi wspólnicy wkrótce będą w naszych rękach. Wtedy będzie za późno na okazanie dobrej woli. Nawet ja nie będę mógł nic zrobić. Jak już wejdiesz w procedurę przesłuchań i korekty społecznej, to się nie wywiniesz. Może to zresztą jest ci potrzebne?

— Ty oczywiście lepiej wiesz, co mi jest potrzebne. Tak jak lepiej wiedziałeś, co było potrzebne naszemu ojcu.

— Naczytałeś się, Długi, tych głupich, starych ksiązek. Dawno już mówiłem, że należałoby zabronić trzymania ich w domu. Tylko niepotrzebnie mącą ludziom w głowach. Ty żyjesz w urojonym świecie.

— A ty żyjesz w świecie, który niestety przestał być urojony. I ojca do tego świata siłą wciągnąłeś.

— Co ma do tego ojciec? I co to w ogóle jest ojciec? Gdyby nasza matka była bardziej samodzielna, moglibyśmy nie mieć ojca i wszystko potoczyłoby się normalnie. A matce zachciało się nas wychowywać. I to razem z ojcem. Przecież nie mieli do tego żadnych kwalifikacji fachowych, tylko instynkt. No i są tego skutki. Unieszczęśliwili ciebie. Gdyby nie moja pomoc, pewnie jeszcze byłiby razem i może znowu splodziliby jakiegoś nieszczęśnika. Udało mi się jednak ojca...

— Przestań! — krzyknął Długi. — Rób, co masz robić, ale oszczędź mi przynajmniej tych wspomnień.

— Wiesz, co powinienem teraz zrobić? — rzekł niecierpliwie Vittolini. — Nie wiesz, to ci powiem. Powinienem cię teraz przepisowo obezwładnić, odstawić do Sekcji Przesłuchań, a później do Ośrodka Resocjalizacyjnego. Wiesz, że mam nie tylko prawo, ale i obowiązek skierować cię do Sekcji Przesłuchań. Chyba że...

— Wsypię swoich przyjaciół, a sam gdzieś przycupnę?

— Ich znajdziemy i tak. To tylko kwestia czasu. Ty mógłbyś tylko przyspieszyć to, co i tak się stanie. Ale już tego nie zmienisz. Zresztą nie w tym rzecz.

— A w czym?

— Liczę, że będziesz rozsądniejszy niż ten człowiek, który nas splodził.

— Znowu zaczynasz? Chyba nie chcesz zrobić ze mną tego samego?

— Jeśli mnie do tego zmusisz, to zrobię. Dla twojego dobra. Tak, w twoim

najlepiej pojętym interesie.

— Ty i tobie podobni macie monopol na najlepiej pojęte interesy. Wszystko robicie dla mojego dobra. Wszystko. Tylko to wasze dobro jest wstrętne! — Długi przerwał i spojrzał na kapitana. — Nienawidzę cię.

— Po co te wielkie słowa? Tylko nadwerężasz sobie układ krążenia. Dziś mnie nienawidzisz, jutro będziesz kochać. Jakie to ma znaczenie? Wiesz, rozmawiałem z ojcem. Pół roku temu.

— Gdzie on jest?

— Jak będziesz rozsądny, to może ci powiem.

A jeżeli dalej będziesz trwał w swoim uporze, to... sam się dowiesz. Ojciec ma się dobrze. Jest zadowolony z życia. Możesz mi nie wierzyć, ale dziękował mi za to, że wzięłam jego los w swoje ręce. Żyje mu się spokojnie. Ma pracę, którą lubi. Jest w otoczeniu ludzi myślących podobnie i czujących podobnie. Czyż można chcieć więcej? Aha, jedna tylko rzecz go niepokoi: czy ty ciągle wierzysz w te bzdury, które wpajał ci, jak ja byłem na przeszkoleniu — Vittolini spojrzał dyskretnie na zegarek. — Niepokoi go, że posiał w tobie zwątpienie i nie dał nic w zamian. Że zmniejszył twoje szanse na spokojne, uczciwe życie. Bał się, że stoczysz się na margines. Jak widać, jego obawy były uzasadnione.

— Jednak kazanie —jęknął Długi.

— Więc słuchaj. Na przesłuchaniu wycisną z ciebie wszystko. Dosłownie wszystko. Czy będziesz tego chciał, czy nie. Odpowiesz im na każde pytanie i jeszcze będziesz żałował, że tak mało wiesz. Opowiesz im całe swoje życie, łącznie z tymi głupstwami, o których rozmawialiśmy w szkole.

— Więc o to ci chodzi. Już wiem. Ty po prostu boisz się, że za dużo dowiedzą się o tobie. A ja myślałam, że takich jak ty znają na wylot.

— Znają, znają — odparł. — Ale przecież nie mogą w najdrobniejszych szczegółach analizować każdej biografii. Wystarczy, że kluczowe zmienne życiorysu odpowiadają normie dla oficerów Służb Specjalnych. Ty ciągle nie rozumiesz, o co chodzi.

— Nie musisz się bać. Nie wsypię cię. Tyle lat minęło od tamtych czasów. Naprawdę nie pamiętam, oczym wtedy mówiliśmy.

— Przypomnisz sobie dokładnie każde słowo. Nawet porę dnia. Jak cię zapytają, to przypomnisz sobie wszystko, co dotarło wtedy do twojej świadomości. Wystarczy, że dadzą ci średnią dawkę.

— Czego?

— Dowiesz się, jak będziesz musiał to zażyć i jak poczujesz działanie. Nawet nazwa tego preparatu trzymana jest w tajemnicy. Wyobraź sobie, co by się stało, gdyby preparat dostał się w niepowołane ręce.

— A wasze ręce są do tego powołane?

— Nie mam ochoty na dyskusję — przeciął Vittolini. — A prócz tego zrobiło się piekielnie późno. Decyduj się. Mówisz, czy mam przekazać cię do Sekcji Przesłuchań. Już mi wszystko jedno...

— A jeżeli powiem?

— Jeżeli pomożesz mi rozwikłać tę zagadkę, to na pewno zostaniesz zwolniony z przesłuchań.

— A potem?

— Od Sekcji Korekcyjnej nie wywiniesz się. To zresztą na pewno ci się przyda. Przecież ty nie jesteś przystosowany do rzeczywistości, w której żyjesz. Sam przyznasz, że to defekt, który tylko utrudnia ci godziwe bytowanie. Zresztą fachowcy z Korekty lepiej ci to wytłumaczą. No jak, zdecydowałeś się?

— Nie licz na to, że wsypię swoich — zastrzegął się jeszcze Długi, ale Vittolini już czuł, że udało mu się przełamać najsilniejszy opór. Rzekł więc:

— Nie interesują mnie twoje skrupuły. Sam sobie jakoś z tym poradzisz. Interesują mnie wyłącznie pewne informacje, których brakuje mi do pełnego obrazu.

— Jakie informacje?

— Gdzie jest Wardenson?

— Sam chciałbym wiedzieć.

— Jednak nie chcesz mówić? — w głosie Vittoliniego zadrgała ledwie hamowana groźba.

— Naprawdę nie wiem. Tutaj jesteśmy na remis. Uciekł wam, a my straciliśmy go z oczu.

— My, to znaczy kto?

Długi spojrzał na niego przeciągle i powiedział:

- Przecież mówiłeś, że jesteś na ich tropie i że to tylko kwestia czasu...
- W porządku. Poczekaj chwilę — podszedł do drzwi, otworzył je i zawołał Dregera: — Możecie zwijać się. Przyślijcie tutaj kogoś od Sartora razem z podręcznym laboratorium. Ty, Dreger, zostaniesz ze mną. Będziesz nagrywał rozmowę i trzymał łączność. Zrozumiano?
- Tak jest! —krzyknął stereotypowo wywiadowca.
- Więc, Długi — rzekł Vittolini, wracając od drzwi —zacznijmy od początku. Gdzie jest Wardenson?
- To wy go pilnowaliście.
- Zostawmy na razie tę kwestię. Kto cię wynajął?
- Nie wiem.
- Długi... — kapitan przerwał mu ostrzegawczo.
- Naprawdę nie wiem. Trzy tygodnie temu otrzymałem list.
- List?
- Tak, list. Poczta. Na mój stały adres.
- Ten sam, który jest w naszych kartotekach?
- Chyba tak, jeśli ty go tam wprowadziłeś.
- Nieważne —przerwał. — Gdzie masz ten list?
- Zniszczyłem.
- Nie wyprowadzaj mnie z równowagi —rzekł prędko kapitan. — Zaczyna mi się spieszyć.
- Zniszczyłem ten list, bo tak chciał jego nadawca.
- Treści oczywiście nie pamiętasz?
- Pamiętam.
- To już coś. No więc?
- Było to mniej więcej tak: „Wiem, że brak ci pieniędzy. Możesz sporo zarobić. Za nic właściwie”. A potem jakoś tak: „Robota jest na kilka osób. Każdy zarobi tyle, że przez kilka lat będzie miał spokój. A ty przy okazji będziesz miał możliwość odegrać się na kapitanie Vittolinim”.
- Chwileczkę! — przerwał kapitan. —Ten ktoś pisał, że będziesz mógł się na mnie odegrać?
- Może nie dosłownie „odegrać”, ale sens był na pewno właśnie taki.

- Co dalej? — kapitan zaczął nerwowo chodzić po pokoju.
- Dalej wymieniona była suma i dyspozycje na pierwszy etap.
- Me?
- Dwadzieścia tysięcy, łącznie z zaliczkowym przekazem, załączonym do listu.
- Sporo. Kto był nadawcą?
- Niejaki Mateo Alaluff. Nawet adres pamiętam: Akacyjowa sto trzydzieści osiem, a mieszkania chyba tysiąc dwieście czterdzieści sześć.
- Dreger, przekaz...
- To niepotrzebne — przerwał mu Długi. —To była też pierwsza rzecz, jaką zrobiłem. Sprawdziłem adres.
- No?
- Na Akacyjowej numery nie przekraczają stu. Zresztą sprawdź sam.
- Oczywiście sprawdzę. Jakie były dyspozycje?
- Mielśmy obserwować rozkład zajęć trzech osób: Wardensona, Matildy Lorret i tego profesora.
- Martena?
- Właśnie.
- Co dalej?
- Więcej dyspozycji nie było. Jeszcze tylko dopisek, że podjęcie pięciu tysięcy nadanych przekazem na okaziciela zostanie uznane za zgodę na robotę. Aha! Po podjęciu pieniędzy miały przyjść następne dyspozycje.
- Przyszły?
- Tak.
- Poczta?
- Poczta —potwierdził Długi.
- Kiedy?
- Mniej więcej tydzień temu.
- Tego listu też nie masz?
- Niestety.
- Ile czasu upłynęło między pierwszym a drugim listem?
- Dwa tygodnie.
- Co było w liście?

- No, wiesz... — Długi zawahał się.
- Nie wiem. Dlatego pytam —przeciął kapitan.
- Następne dyspozycje.
- Jakie?
- Dość dziwne.
- Słucham, słucham!— w głosie Vittoliniego brzmiała słabo maskowana niecierpliwość.
- Mieliśmy skopiować pewne dokumenty, a ściślej, nie dokumenty, tylko taśmę magnetowidu. Stanowiła ona protokół z pewnego zabiegu.
- Wykonanego w szpitalu Martena?
- Tak.
- Chodziło o zabieg na Wardensonie?
- Tak.

W tym momencie rozległ się brzęczyk aparatu radiowego. Długi drgnął i spojrzął na zegar. Było punktualnie wpół do czwartej. Vittollini spojrzął na niego bystro i powiedział:

- Odbierz tak, jakby się nic nie stało — widząc brak reakcji Długoego dodał szybko: —To może być ci poczytane za okoliczność łagodzącą.

Długi nie ruszał się jednak z fotela.

- Odbierz! Rozkazuję ci natychmiast odebrać i zlokalizować ich —kapitan zniżył głos. —Jeśli tego nie zrobisz, nie zawaham się...

Długi rzekł spokojnie, niemal beznamiętnie:

- Nie boję się twoich gróźb.

Tymczasem brzęczyk zamilkł.

- Dreger!

- Tak jest! — nieruchoma postać wywiadowcy wyprostowała się.

— Dowiedz się, co z tymi technikami od Sartora. I nie przychodź, dopóki cię nie zwołam. Magnetofon niech pracuje dalej.

— Tak jest! — Dreger sprężystym krokiem opuścił pokój. Zaledwie zamknęły się za nim drzwi, kapitan powiedział nerwowo:

- Musisz zdecydować się: albo jesteś ze mną, albo przeciwko mnie.

- Nie jestem z tobą. I nigdy nie będę.

— Nigdy. Zawsze. Przecież to dotyczy tylko Apostezjonu. Ludzie się zmieniają albo można ich zmienić. Tylko Apostezjon będzie istniał zawsze i nigdy nie będzie taki, jak kraje za morzem. Czy to tak trudno zrozumieć? —spojrzał na milczącego Długiego i ciągnął dalej: —Widocznie trudno, przynajmniej takim jak ty. Gdyby było inaczej, widziałbyś cały bezsens swojej postawy. Pomyśl, Apostezjon przeżyje nas wszystkich! Czy jest sens marnować swoje życie, jedno, niepowtarzalne życie, na jakieś bałamuctwa? Przecież to czystej wody nieprzystosowanie.

— Nie mógłbyś sobie tego oszczędzić? —w głosie Długiego czuło się znużenie. — I tak powiem ci tylko to, co będę chciał. Nie zmusisz mnie do niczego więcej. Twoja kariera nie wytrzymałaby mojego pobytu w Sekcji Przesłuchań.

— Dosyć! —przerwał mu kapitan. — Te dyskusje do niczego nie prowadzą.

— Cieszę się, że choć raz jesteśmy zgodni.

— Skończyliśmy na tym, że otrzymałeś dyspozycje, aby skopiować taśmy z operacji.

— Tak.

— Czy jeszcze wtedy działałeś sam?

— Pomagało mi kilku kolegów —odparł niedbale.

— W jaki sposób udało się wam skopiować taśmy? Przecież szpital jest dobrze strzeżony, a zamki w Archiwum w zasadzie nie do otworzenia.

— Do listu załączony był plan szpitala, informacja, kiedy i jak należy tam pójść, szyfr otwierający zamek. Słowem, wszystko, co potrzeba.

— Tak —rzekł przeciągle kapitan — moja hipoteza jest coraz bardziej prawdopodobna.

— Jaka hipoteza?

— Nieważne. Mieliście więc pełne informacje?

— W zasadzie tak.

— Dlatego robota była tak czysta.

— Dziękuję — rzekł skromnie Długi.

— Ty chyba nie zdajesz sobie sprawy ze swojego położenia —w głosie kapitana po raz pierwszy zabrzmiało znużenie. —Jeśli to wszystko jest dziełem osoby, którą mam na myśli, to w niczym nie będę mógł ci pomóc.

— Nie oczekuję pomocy.

- Ty naprawdę nic nie rozumiesz! — krzyknął.
 - Dałeś się wciągnąć w niebezpieczną zabawę. Jesteś pionkiem.
 - A ty nie?
 - Dość tego! Zagrajmy więc w otwarte karty. Twój zleceniodawca przekazał ci informacje znane tylko najściślejszej wtajemniczonej grupie obywateli Apostezjonu.
 - To znaczy wyższym oficerom SpecSłużb?
 - Nie tylko, ale nie w tym rzecz. Ktoś przy waszej nieświadomej pomocy usiłuje sprawdzić sprawność naszych grup operacyjnych. I chyba wiem, kto to jest. Jeśli więc będziesz utrudniał mi robotę, to będziesz postępował tak, jak chce tego twój zleceniodawca. A więc, patrząc obiektywnie, będziesz z nami współpracował.
 - Ładnie to wywiodłeś. Ale nie zamierzam mieszać się do waszych wewnętrznych rozgrywek. Chyba nie chcesz mi wmówić, że bez mojej pomocy jesteś bezradny, co?
 - Jednak odkryliśmy, że taśmy zostały skopiowane.
 - Za coś wam przecież płacą.
 - Po co wam potrzebne były te kopie?
 - Aby upewnić się, że Wardenson był operowany.
 - Tylko po to?
 - Innych przyczyn nie znam.
 - Wystarczyło przecież przejrzeć dokumentację. Była razem z taśmami.
 - Dokumenty łatwo sfałszować. A my musieliśmy mieć całkowitą pewność.
- Zresztą —dodał po chwili — takie były warunki umowy.
- I tak pilnie ich przestrzegasz?
 - Każdy powinien wykonywać swą pracę jak najlepiej. Czyż nie do tego nawołujecie od lat?
- Vittolini nie podjął tematu. W pokoju zapanowało milczenie.

Alma schodziła pierwsza, za nią podążał Ira. Minęli już dwie kondygnacje i zbliżali się do trzeciej. Ira począł zastanawiać się, ile pięter tego niepozornego budynku ukrytych jest w ziemi, gdy Alma uchyliła jakieś drzwi i skinęła na niego. Wszedł za nią do przestronnego pokoju, zalanego bladopomarańczowym światłem, emitowanym przez staroświeckie lampy. Musimy być przynajmniej pięć metrów

poniżej poziomu ulicy —pomyślał, rozglądając się ciekawie. Ściany pokoju były wyłożone jasnobrązową tkaniną, co w połączeniu z kolorem światła stwarzało przytulną atmosferę. Pod przeciwległą ścianą lśnił rząd automatów spożywczych, jakie spotyka się w każdej podrzędnej restauracji. Obok stały regały, wypełnione... tak, Ira nie mylił się: to były książki. Relikty przeszłości. Nad nimi wisiał transparent ułożony z liter, nie używanych od chwili wprowadzenia alfabetu komputerowego, który z równym powodzeniem mogli czytać zarówno ludzie, jak i maszyny. Toteż chwila minęła, zanim Ira odcyfrował jego treść: „Non omnis moriar”. Nie bardzo rozumiał, o co chodzi, a ponieważ nie był pewny, czy odczytał owe zawile litery prawidłowo, nie pytał Almy o sens hasła.

— Dochodzi piętnasta — rzekła Alma. — Chyba jesteś głodny, prawda?

Ira istotnie poczuł głód. Skinął tylko głową, zaś Alma ciągnęła dalej:

— Jesteś w naszej jadalni. Co chciałbyś zjeść?

Zawahał się przez moment, po czym powiedział:

— Nie wiem. Wydaje mi się, że powinienem zjeść obiad numer cztery.

Alma roześmiała się.

— Te automaty są nietypowe. Podają wyłącznie jedzenie naturalne. Chodź, pokażę ci.

Podeszli do pierwszego automatu.

— Zobacz, tutaj jest spis potraw, które my tradycyjnie nazywamy przystawkami.

— Przystawki? A cóż to takiego?

— Przekąski, które zjada się dla zaostrenia apetytu.

— Po co?

— Jak to po co? Żeby w ciągu posiłku zażyć możliwie dużo ulubionych smaków.

— Czy to jest potrzebne organizmowi?

— A czy potrzebne są organizmowi doznania estetyczne?

— Oczywiście. Bez tej potrzeby kultura nasza byłaby bardzo uboga.

— No właśnie! A dlaczego tylko wzrok i słuch ma nam dostarczać wzruszeń estetycznych? Dlaczego nie może tego uczynić smak? Lub dotyk? Albo węch? Jedzenie to też rodzaj sztuki. Jest to sztuka szczególnie wyrafinowana, bo działa niemal na wszystkie nasze zmysły.

— Nie znam się wobec tego na tej waszej sztuce. I naprawdę nie wiem, na co

się zdecydować. Co to jest na przykład „kawior”?

— To są surowe jajeczka pewnego gatunku ryby.

— Prawdziwe?

— Najprawdziwsze.

— Przecież to obrzydliwe. Wy coś takiego jecie?

— Jemy —potwierdziła.

— A to? —pochylił się nad automatem, aby odcyfrować napis:— „Ostrygi w kokilkach po kreolsku”.

— To przystawka na gorąco. Pyszne.

— Ale co to jest?

— Ostrygi przyrządzone w bardzo wymyślny sposób, z pietruszką, szczypiorkiem, pomidorami i jeszcze jakimiś dodatkami.

— Ostrygi, ostrygi... Czy to są żywe stworzenia?

— Oczywiście. Takie morskie ślimaki —dodała.

— To wy je zabijacie?

— Cóż w tym złego? Przecież to naturalne.

— A czy —rzekł niepewnie —czy wśród przystawek jest coś, co...

Alma znów roześmiała się.

— Oczywiście. Są też dania jarskie.

— Jarskie?

— No tak; są to przekąski wyłącznie roślinne, jeśli oto ci chodzi.

— Tak, tak —przytaknął żywo —właśnie o to chodzi.

— Polecam ci zatem sałatkę „a la Sfax” —dotknęła jednego z przycisków. Automat rozpoczął pracę i po niespełna minucie wysunął się z otworu talerzyk, na którym między skrawkami cebuli, jabłek i ogórków czerwieniały kostki pomidorów i papryki. Ira powąchał podejrzliwie sałatkę, nad którą unosił się zapach mięty, doprawiony aromatami warzyw i owoców.

— Spróbuj —zachęcała go Alma. —To jest inne niż wasze syntetyczne posiłki. Wszystkie zapachy są prawdziwe. Smak też.

Ira skosztował. A że głód doskwierał mu coraz wyraźniej, począł —ku wyraźnemu zadowoleniu Almy —jeść, chociaż owe zapachy i smaki były dla niego zbyt

intensywne. Syntetyczne jedzenie było bardziej higieniczne, a przy tym zawierało wszystkie składniki odżywcze, jakich potrzebował ludzki organizm. Ira skończył jeść, ale ciągle czuł głód. Wówczas Alma powiedziała:

— A teraz spróbuj naszych zup. Masz tutaj do wyboru zupę a la Bordelaise, zupę książęcą, zupę wytrawną...

— Wiesz, Almo —przerwał jej —chciałbym jednak jeść coś takiego, jak to nazwałaś, „jarskiego”.

— Dobrze. Weź zatem zupę migdałową. Są w niej tylko rośliny.

Po zjedzeniu tej zupy Ira zaspokoił głód i zrezygnował z następnych dań, mimo że Alma twierdziła, iż nie należy przerywać obiadu w połowie.

Gdy wyszli z jadalni, Ira znów poczuł lekki dreszcz niepokoju.

— Czy wiesz, Almo, co się ze mną dzieje?

— Nie wiem, Ira. Naprawdę nie wiem — rzekła miękko. — Ale tu możesz czuć się bezpieczny. Nic ci nie grozi.

— Co się ze mną stanie?

— Tego też nie wiem. Może wejdiesz do naszej rodziny i będziesz żył tak jak my. Może zechcesz uciekać dalej? Któż to może wiedzieć? W każdym bądź razie tu masz pewne i bezpieczne schronienie.

Nie wiedziała jednak, że już w następnej godzinie jej słowa okażą się nieprawdziwe.

Dotarcie do temporystów zajęło Kardenowi więcej czasu, niż się spodziewał. Zazwyczaj w tej okolicy, dość odległej od centrum, często wałęsali się po ulicach. Teraz jednak, po uaktywnieniu się speców, jakby zapadli się pod ziemię. Po chodnikach przemykali z rzadka standardowi obywatele Wyspy, bo i pora była zbyt wczesna na przedwieczorne spacerowanie. Wszak w telewizji zalecano rozpoczynanie przechadzek dopiero po szesnastej, kiedy pierwsze podmuchy orzeźwiającej bryzy znad kontynentu rozganiają parne i gorące powietrze Wyspy, źle wpływające na krążenie krwi. A do tej godziny zostało jeszcze ponad czterdzieści minut.

Karden wyciągnął z kieszeni gąbkę i odświeżył sobie twarz, zroszoną kroplami potu, które niby mrówki wgryzały się w skórę. Rozejrzał się, ale i tym razem nie dostrzegł nikogo, kto przypominałby temporystę. W rzędzie zaparkowanych elektrowozów dostrzegł pojazd Coxa i poczuł się rażniej. Gdzieś niedaleko powinien

być także Webb. Czuwali nad jego losem; nie był więc sam. Co z tego jednak, skoro ciągle nie udawało mu się nawiązać kontaktu. Przez ostatnie pół godziny nie posunęli się naprzód. A pół godziny to dużo, zwłaszcza że specje deptali im po piętach. Karden wiedział, że czas działa na korzyść przeciwnika. Jeszcze trochę, a minie moment zaskoczenia. Wywiadowcy złapią jego ślad, którego na pewno nie puszcza aż do końca. Musiał zatem bardzo się spieszyć, jeśli jego ryzykowny pomysł miał się zakończyć sukcesem. Jak już oni połapią się w tym wszystkim, to zacisną oka sieci tak, że nawet wąż nie będzie mógł się prześliznąć. Przez chwilę odniósł wrażenie, że jest już śledzony przez speców, którzy tylko czekają, kiedy on dotrze do Wardensona, aby razem ich zwinąć. Ale zaraz potem odrzucił tę niedorzeczną myśl. Przecież dla nich Wardenson był daleko ważniejszy niż jakiś Karden, obywatel o czystym w końcu koncie. Specje na pewno też poszukują Wardensona, który prawdopodobnie jest, a właściwie był jakąś ważną figurą. W innym przecież przypadku nie robiliby tego całego cyrku. Nikt standardowy nie mógł liczyć na protektorów, którzy gotowi byliby zdrzeć ze Służbami Specjalnymi. Nikt taki nie mógł liczyć na przyjaciół, którzy byliby w stanie wyłożyć tyle pieniędzy na tę imprezę i którzy dysponowaliby takim sprzętem i tak dokładnymi informacjami. Było więc jasne, że Wardenson znalazł potężnego protektora, który nie bał się speców.

Karden zażył pastylkę orzeźwiającą, bo intensywny bieg nieco naruszył jego zwykłą sprawność fizyczną i umysłową. Ta ostatnia zwłaszcza była konieczna, bowiem wiedział, że temporyści są bardzo podejrzliwi. Poznał tę podejrzliwość, kiedy trudnił się dostarczaniem im leków nielegalnie produkowanych według jakichś starych receptur, które odrzuciła współczesna medycyna. I jeśli dobrze miał zagrać rolę ściganego, nie mógł sobie pozwolić na popełnienie najmniejszego błędu. Od tego zależało powodzenie planu, który wspólnie z Webbem ułożyli. Karden od początku wiedział, że sprawa jest nietypowa. Stawka była duża, a gra na tyle pociągająca, że oddał się jej na te kilka dni bez reszty. Każdy człowiek ma chwile, kiedy chciałby wiedzieć, ile jest wart naprawdę. Właśnie teraz Karden mógł się o tym przekonać.

Mijając automat farmaceutyczny, uzupełnił zapas tabletek orzeźwiających. Dzień był wyczerpujący. Większą jego część miał już wprowadzić za sobą, ale ciągle jeszcze najtrudniejsze zadanie stało przed nim. Poczł się głodny. Wszedł do

monofunkcyjnego baru, gdzie zaczynało być już tłoczno. Zamówił obiad nr 7, a więc lekki. Na ekranie automatu ukazała się informacja, że zestaw nr 7 został już wyczerpany, ale dostępne są najbliższe kalorycznie obiady o numerach: 8, 115, 142. Po chwili namysłu zdecydował się na zestaw nr 8. Nigdy nie pamiętał, co zawierają zestawy o numeracji wyższej niż 30, chociaż każde dziecko potrafiłoby wyrecytować składniki wszystkich stu pięćdziesięciu standardowych obiadów. Ale Karden nie był dzieckiem i formułki ze szkoły dość dawno wywietrzały mu z głowy, zaś znajomość trzydziestu standardowych zestawów wystarczała w zupełności.

Automat potwierdził przyjęcie zamówienia i poinformował go, że przydzielone mu zostało stoisko spożywcze nr 48. Rozejrzał się po sali i udał się w kierunku wyznaczonego miejsca. Zanim tam dotarł, obiad już czekał na niego. Właśnie zabierał się do jedzenia, gdy spostrzegł na chodniku trzech leniwie kroczących mężczyzn. Poznał ich natychmiast. Tak! Nie miał najmniejszej wątpliwości, że to byli oni. Położył łyżkę i wsunął nietknięty posiłek do zsypu. Stojący obok mężczyzna popatrzył na niego z lekkim zdziwieniem, ale nie rzekł ani słowa. Karden wybiegł z baru. Zlustrował odruchowo ulicę i spostrzegł, że elektrowozy Webba i Coxa stoją nie opodal. Widzieli go. Musieli go widzieć, stali przecież w odległości nit większej niż pięćdziesiąt metrów. To mu dodawało otuchy. Spiesznym krokiem podążył w kierunku temporystów.

— Pomóżcie, bracia!

Jak było umówione, Webb miał baczenie nie tylko na Kardena, który przemykał chodnikiem, ale także i na Coxa sunącego elektrowozem. Cox mógł czuć się bezpiecznie, bo wiedział, że z tyłu za nim jest ktoś, kto ma oczy otwarte i nie dopuści do żadnych sztuczek speców. Ale on, Webb, nie miał za sobą nikogo. Toteż od czasu do czasu oglądał się, choć wiedział, że w razie czego nie na wiele się to przyda.

Ciągle dreptali w miejscu, a czas płynął. Nie tylko nie natrafili na ślad Wardensona, ale nawet nie udało im się do tej pory spotkać ani jednego temporysty. A przecież Karden pętał się po uliczkach wystarczająco długo, aby nasunąć bystremu obserwatorowi podejrzenie, że facet ten równie uporczywie co daremnie kogoś szuka. Jedyne, co Webba pocieszało, to fakt, że taki bystry obserwator musiałby od samego początku mieć Kardena na oku, by dojść do takiego wniosku. A to z

pewnością nie uszłoby jego, Webba, uwagi.

W pewnym momencie Webb stracił z oczu jaskrawą koszulę Kardena, a ściślej — swoją własną, którą jemu pożyczył. Przyspieszył nieco jazdę, ale zaraz potem musiał hamować, bowiem spostrzegł ekwipart Coxa zaparkowany w pobliżu jakiegoś lokalnego baru. Takie śledzenie otępia —pomyślał. —Cały czas na niego patrzyłem i nie zauważyłem, kiedy wchodził do baru —zaparkował w umówionej odległości i sięgnął po pastylkę orzeźwiającą. Właśnie ją przełykał, kiedy w perspektywie uliczki dostrzegł trójkę mężczyzn. Serce zabiło mu żywiej. To byli ci, których szukał Karden. I akurat w tym momencie musiał wejść do baru! Jeżeli ich przegapi... Trzech dorosłych temporystów, obnoszących się z tym swoim nieprzystosowaniem jak ze sztandarem. Widać było, że to nie nowicjusze w tej branży. Ich leniwy krok, pewność siebie, którą mógł zmącić tylko nagły nalot speców, i owa typowa pogarda dla innych, widoczna w każdym ruchu i spojrzeniu; pogarda, którą mógł wykorzenić tylko dłuższy pobyt w Ośrodku Resocjalizacyjnym. Trzy dorosłe sztuki... Webb ze znanstwem ocenił zbliżającą się grupę. Co robić, jeśli Karden ich przegapi? Cox nie przejmie roli Kardena, bo zawsze trzyma się ściśle instrukcji. Więc kto? Ja? A może lepiej poczekać na następną okazję? Spojrzał na zegar; było dwadzieścia pięć minut po trzeciej. Późno. Piekielnie późno. Następną okazja może zdarzyć się za pół godziny, a i to nie jest pewne. Jeśli więcej chłopców ze Specsłużb zacznie tu węszyć, to temporyści nie wytkną nosa ze swoich melin do jutra.

Rozmyślenia przerwał mu widok Kardena wychodzącego z baru. Webb odetchnął z ulgą i obserwował dalej. Tymczasem Karden zbliżył się do mężczyzn i coś powiedział. Temporyści otoczyli go, a on, gwałtownie gestykulując, tłumaczył im coś. Jeden z temporystów odłączył od grupy i stanął nie opodal za murem. Aha! Obserwator — stwierdził Webb. — U nich też jednak jest jakaś specjalizacja — Karden cały czas coś mówił, a temporyści stali w milczeniu. W końcu jeden z nich klepnął Kardena w ramię i ruszyli tym swoim leniwym krokiem w kierunku, z którego przybyli. —Teraz już trzeba zawiadomić Długiego — pomyślał Webb z ulgą i włączył nadajnik z sygnałem wywoławczym. Minęło pięć sekund, potem dalsze dziesięć, a Długi nie odzywał się. Webb sprawdził nerwowo włączniki. Wszystko się zgadzało. Długi powinien odezwać się natychmiast.

Odbiornik jednak milczał. Webb poczuł, że włos mu się jeży na głowie. Wyłączył

natychmiast falę Długiego i połączył się małym zasięgiem z Coxem.

— Złapał wreszcie kontakt — stwierdził Cox, jakby Webb tego nie widział.

— Zamknij się, kotku! — warknął. — Długi nie odzywa się.

Zapanowała chwila milczenia, a potem Cox odezwał się niepewnie:

— Sprawdziłeś nadajnik?

— Kotku...

— Może wyszedł?

— Nie oszukujmy się, Cox.

— Racja. Co robimy?

— Trzeba wyciągnąć Kardena z tego szaleństwa. Niech on decyduje.

— Za późno. Ruszam za nimi, bo ich zgubimy.

— Jadę za tobą, kotku. Wcale nie jest za późno. Damy im po nosie, gdyby się stawiali, a potem niech Karden decyduje.

— Za późno — powtórzył z uporem Cox. — Popsulibyśmy całe przedstawienie. Karden byłby spalony, my też. Chyba że widzisz inny sposób wydobycia od nich Wardensona.

— Długiego nakryli. Czy to jeszcze do ciebie nie dotarło, kotku? — Webb poczuł, że zaczyna się naprawdę denerwować, więc przełknął pastylkę uspokajającą.

— Trudno. Każdemu z nas mogło się to zdarzyć. A robota musi być zrobiona. Takie były warunki umowy.

— Długi jest w ich łapach! Czy ty wiesz, co to znaczy?

— Strach cię obleciał? Zobacz, skręcają w jakąś ścieżkę.

— Widzę przecież — warknął Webb. — Jeszcze jest czas, żeby zwinąć cały majdan i dać dyla.

— Pójdę za nimi — rzekł beznamiętnie Cox. — Zaparkuj tutaj i idź za mną. Będziemy w kontakcie radiowym na małym zasięgu. Jasne?

— W porządku, Cox — mruknął, zatrzymując pojazd. I krzyknął do mikrofonu, wyładowując swoją złość: — A potem całe życie będziemy bawić się ze specami w chowanego.

Ale Cox widocznie już tego nie słyszał, bo wysiadł z ekwipartu i podążył za niknącą między krzewami grupką mężczyzn.

Webb, klnąc pod nosem, wyjął ze skrytki środki obezwładniające, wygramolił się

z wozu i powlókł śladem Coxa. W monotonny szum miasta wcisnął się dźwięk nadlatującego wirolotu, który zawisł na moment nad uliczką i pomknął dalej.

Vittolini krążył jakiś czas po pokoju, po czym przysiadł na rogu stołu i wskazując na rozłożone tam urządzenia, zapytał:

— A to?

— Co?

— Skąd to masz?

— Możesz to kupić w każdym sklepie elektronicznym.

— Czyżby? —Vittolini wziął do ręki nadajnik i zaczął go uważnie oglądać. — Sartor sprawdzi to dokładnie, ale...—zawiesił głos.

— Ale co? —Długi z trudem się pohamował.

— Nie znam się na tym. Jednak na moje wyczucie jest to najnowsza generacja szyfrówek radiowych.

— Sklepy są pełne nowości —wtrącił Długi.

— Gdzie to rejestrowałeś?

— Nie zdążyłem...

— Tak... Ładne cacko. Automatycznie szyfruje każdy przekaz, a kod szyfru jest praktycznie nie do złamania. Chyba że... Dreger! — krzyknął w stronę drzwi.

Po kilku sekundach ukazała się w nich zwalista postać zwiadowcy.

— Daj mi nagranie rozmowy.

— Tak jest!

Po chwili Vittolini, patrząc uważnie na Długiego, włączył kieszonkowy radiomagnetofon. Z głośnika dobieły się lekko zniekształcone głosy, na dźwięk których Długi poczuł nieprzyjemne mrowienie między łopatkami.

— Słucham.

— Ciągłe nie mam namiaru. Wy coś macie?

— Nie. Do tej pory nic.

— Niech Webb jeszcze raz pojedzie na miejsce, gdzie cię nakryli. Może tam trafi na ślad tego faceta. Jasne?

— Jasne.

— Ty go ubezpieczaj. I daj natychmiast...

Vittolini wyłączył aparat.

— I co ty na to?

Długi nie odzywał się.

— Milczysz! —ciągnął Vittolini. — I wcale ci się nie dziwię. Każdy ma w życiu takie chwile, kiedy trudno się połapać. Ale pomogę ci. Jak widzisz, ja mówię prawdę. Powiedziałem, że znam twoich współników, i to była prawda. Powiedziałem, że włączyłeś się w grę, której nie rozumiesz i na której tylko ty stracisz. I to też jest prawda. Chciałbym, żebyś tak samo traktował to, co powiem za chwilę. Ja naprawdę wiem więcej, niż ci się wydaje. Chcę jednak, abyś wykazał choć odrobinę dobrej woli, abyś dostarczył mi argumentów na wydobycie cię z tej afery. Skąd masz to urządzenie?

— Dostałem.

— Od kogo?

— Nie wiem. Przyszło w paczce tuż po drugim liście. Razem z instrukcją obsługi.

— Kto był nadawcą?

— Nie pamiętam. Jakaś firma elektroniczna. Nie sprawdzałem, ale prawdopodobnie równie fikcyjna jak ten Alaluff.

— Rozumiem. Kiedy zaczęłeś korzystać z aparatów?

— Dzisiaj rano.

— I nie zdziwiło cię, że tak łatwo odszyfrowaliśmy wasze rozmowy?

— Nie znam się na tym. Widocznie macie fachowców.

— Sartor jest rzeczywiście dobry, ale i on nie dałby rady, gdyby... Zresztą, to nie ma nic do rzeczy.

— Dlaczego nie ma? Przecież powiedziałaś, że jest to kod praktycznie nie do złamania. Choć muszę przyznać, iż nie wiedziałem, że nasze rozmowy były automatycznie szyfrowane. Nie słyszałem o takiej możliwości.

— Więc ci powiem — rzekł z naciskiem kapitan.

—To są aparaty, które weszły do wyposażenia Służb Specjalnych i Zespołu nie dalej jak dwa miesiące temu. Teraz już rozumiesz?

— Coraz mniej.

— Więc słuchaj. Takie aparaty są niedostępne na rynku. Dostałeś je od kogoś z Zespołu lub Służb Specjalnych. Dlatego Sartor nie miał trudności z szyfrem. Maszyna

cyfrowa dała mu bez zwłoki klucz, bo klucz ten już znajdował się w jej programie. Czy teraz już wiesz, dokąd prowadzą ślady? Kto ci to dał?

— Nie wiem. Naprawdę nie wiem.

— W twoim interesie leży, aby...

— On się dobrze zakonspirował —przerwał mu Długi — naprawdę nie mam pojęcia, kto to jest. Zresztą nigdy mnie to nie interesowało.

— Mam nadzieję, że teraz już cię to interesuje co najmniej tak samo jak mnie. No więc jak, pomożemy sobie nawzajem rozwikłać tę zagadkę?

— Spróbujmy— odparł znużony —ale nie mieszajmy w to moich chłopców.

— Oni już są zamieszani. I tylko od ciebie zależy, czy uda się im wyjść cało. Jeśli natychmiast ich powstrzymasz, to może coś da się zrobić i dla nich. Zwołaj ich. Masz przecież z nimi kontakt, prawda?

— Mam.

— Ściągnij ich tutaj, na co czekasz?

Długi wstał ociężale z fotela i podszedł do stołu.

— Tylko nie mów im na razie, że ja tu jestem. Wiesz, ludzie w pierwszym odruchu robią różne głupstwa, a później, jak się zastanowią, żałują tego. Lepiej będzie, jak nie dasz im poznać, że coś się stało. Wymyśl jakiś zgrabny pretekst. Ty potrafisz, prawda?

Długi spojrzał na niego ponuro i włączył radionadajnik. Vittolini uważnie obserwował jego manipulacje. Głośnik jednak milczał.

Długi jeszcze raz spojrzał na kapitana, zupełnie zrezygnowany.

— Po co ten teatr? Przecież ich już macie.

— Nie próbuj żadnych sztuczek —ostrzegł kapitan.

— Nie odzywają się. Żaden z nich się nie odzywa. Co to znaczy?

— Ja mam wiedzieć?

— Wydawało mi się, że przestaliśmy się już oszukiwać —zaczął z wolna Długi. — Dlaczego nie powiedziałaś mi, że już ich macie?

Kapitan spojrzał na niego uważnie i powiedział:

— Poczekaj chwilę, ale nie próbuj uciekać; przecież wiesz, że to już nie ma żadnego sensu.

Wyszedł z pokoju, starannie zamykając za sobą drzwi. Na jego widok Dreger przyjął

postawę zasadniczą.

- Są jakieś nowe wiadomości?
- Nie, kapitanie.
- Od Swena też nie było żadnego meldunku?
- Natychmiast bym przekazał.
- Są ciągle tam, gdzie zniknął Wardenson?
- Nie było rozkazu odwołującego akcję.
- Tak, oczywiście — rzekł niedbale. — Chciałem się tylko upewnić, czy wszystko idzie zgodnie z planem. Co z technikami od Sartora?
- Są już w drodze. Sartor też.
- To dobrze. Jeśli będą meldunki, przekaz mi je natychmiast.
- Rozkaz, kapitanie. Jeśli wolno, chciałbym...
- Co takiego, Dreger?

Wywiadowca wyprężył się jeszcze bardziej.

- Miałem na linii samego Szefa.
- Dlaczego mnie nie połączyłeś? —w jego głosie zabrzmiał lekki niepokój.
- Powiedział, że nie należy kapitanowi przeszkadzać.
- O co pytał?
- Ogólnie.
- Dreger!
- Tak jest!
- Na pytania przełożonego należy odpowiadać precyzyjnie i jasno. Zrozumiano.?
- Tak jest!
- No więc?
- Generał pytał, czy już złapaliśmy kogoś. Odpowiedziałem, że mamy już jednego ptaszka i kapitan uczy go śpiewu.
 - Daruj sobie te porównania.
 - Tak jest!
 - Co dalej?
 - Generał powiedział, żeby nie przeszkadzać, bo wie, że lekcje śpiewu wymagają ciszy i skupienia.
 - To wszystko?

— Tak jest!

Vittolini wrócił do pokoju i już od drzwi zaczął w tonie niemal przyjacielskim:

— Pomińmy na razie tych twoich kompanów. Wrócimy do tego w stosowniejszej porze.

— Stało się —rzekł głucho Długi.

— Tak. Zdarzyło się w międzyczasie kilka spraw. Ale wróćmy do naszej interesującej pogawędki. Matilda Lorret zniknęła. Jak myślisz, kto to zrobił?

— Przestań robić ze mnie durnia! —w jego głosie więcej było już próśby niż irytacji.

— No więc dobrze! —głos Vittoliniego nabrał ostrości. —Gdzie ją ukryliście? Tam gdzie Wardensona?

— Nie wiem, gdzie jest Wardenson. Gdybym wiedział...

— Przecież zarządzasz tym całym interesem, prawda? Co z ciebie za szef, skoro nic nie wiesz? Słuchaj, powiedziałem ci już, że mnie interesują wyłącznie fakty. I jeśli mi ładnie wszystkiego nie wyłożysz, to sam tych faktów poszukam. Choćby w tym pokoju.

— Nie masz prawa mnie rewidować.

— O, doprawdy, nie bądź aż takim formalistą. Wystarczy, że wypełnię druczek, których kilka zawsze przy sobie noszę, i już jest podkładka. Jeśli tylko o to ci chodzi, to mogę to uczynić natychmiast— rzekł, sięgając do kieszeni kombinezonu. —Zdajesz sobie jednak sprawę, że oznacza to formalne rozpoczęcie śledztwa...

— I Sekcję Przesłuchań, tak?

— No właśnie. Zatem?

— Dobrze. My ją zwinęliśmy. To znaczy, moi chłopcy.

— Gdzie ona jest?

— Webb ją gdzieś zamelinował. Miał ją trzymać w ukryciu, dopóki nie zwiniemy Wardensona i Martena.

— Martena też? A jednak.

— Tak, Martena też. Po co wam ta dziewczyna?

— A wam po co?

— Nie wiem. Nie interesowało mnie to.

— I nagle zaczęło cię interesować? Gdzie jest ta przesyłka, którą podjęła w Banku?

— Razem z nią albo może u Webba. Sami go o to zapytajcie.

— Oczywiście, oczywiście. Już to robimy, możesz być spokojny.

— Coś niezbyt jest gadatliwy, jak sądzę.

— Zamknij się! Więc porwaliście ją razem z listem, tak?

— Tak.

— Wiesz, jakie są sankcje za porywanie spokojnych obywateli Apostezjonu?

— Mniej więcej. Czy was te sankcje nie dotyczą?

— My jesteśmy strażnikami prawa.

— To dlatego jesteście ponad nim.

— Nie rozumiem.

— Czy widziałeś strażnika, który słucha więźnia?

— Nie czepiaj się sformułowań! — przerwał porytowany, ale zaraz się opanował i ciągnął dalej: — Załóżmy przez chwilę, że udało się wam porwać Wardensona i Martena. Co mieliście z nimi zrobić?

— Odstawić w pewne miejsce.

— Adres.

— Nie...

— Adres —powtórzył z naciskiem.

— Nie pamiętam. Cox nosił przy sobie ten adres. Możecie przecież zapytać.

— Dzielnicę chyba pamiętasz?

— Tak. Chyba wschodnia.

— I co potem mieliście zrobić?

— Już nic.

— Jak to?

— Na tym kończyło się nasze zadanie. Mieliśmy całą trójkę zgromadzić po prostu w jednym miejscu.

— Tylko tyle?

— Tak.

— Muszę koniecznie znać adres.

— Tylko Cox może ci w tym pomóc, jeśli oczywiście namówisz go do tego.

- Nie wątpię. Co było w liście?
- W instrukcji od Sponsora nie było mowy o zagłądaniu do listu.
- Nie było mowy... I wy oczywiście nie zajrzeliście tam. Po prostu nie byliście ciekawi, po co z powodu jednego głupiego listu macie siłą porywać człowieka z ulicy.
- Z Banku.
- Wszystko jedno.
- Więc to z powodu tego listu?
- Nieważne. Coś mi się jednak tutaj nie zgadza. Mieliście całą trójkę zgromadzić w jednym miejscu
- I co? Skłonić się grzecznie i odejść?
- Niezupełnie...
- No, no... —ponaglał kapitan.
- Potem mieliśmy podjąć resztę umówionego wynagrodzenia.
- Aha! —Vittolini nie mógł pohamować rozczarowania.— Mieliście dostać resztę forsy...

W drzwiach ukazał się wywiadowca.

- Co jest, Dreger? —zapytał opryskliwie kapitan.
- Pino jest na linii, ma jakąś ważną wiadomość.
- Przełącz go na mój radiotelefon.
- Tak jest! —wywiadowca zamknął drzwi i niemal w tej samej chwili rozległ się brzęczyk radiotelefonu, który Vittolini nosił przy sobie.
- Słucham, co tam masz?
- Pino do kapitana Vittoliniego.
- Wiem, streszczaj się.
- Przybył do nas obywatel Ivo Caramajo. Złożył meldunek.
- Jaki?
- Czytam: „Dzisiaj o godzinie jedenastej trzydzieści przybyła do znanej mi od tygodnia kobiety o nazwisku Alice Takuna jej przyjaciółka. Nazwiska nie udało mi się ustalić, słyszałem tylko jej imię: Matilda. Wyżej wymieniona Matilda namawiała Alice do udziału w jakiejś podejrzanej sprawie. Dokładnie nie wiem, o co chodzi, bo Takuna Alice, czyli moja znajoma, mi nie powiedziała, chociaż, jak nadmieniłem, znamy się od tygodnia. Usłyszałem tylko, że ona, to znaczy przyjaciółka Takuny

Alice, mówiła coś o zabójstwie i że ma odebrać list z okupem czy coś takiego. Zachowywała się zupełnie jak typowa anarchistka, co słyszałem, bo drzwi do przedpokoju były otwarte. Mój obywatelski obowiązek dyktuje mi te słowa, żeby potem nie wyszło, że ja mam coś z tym wspólnego.

Ivo Caramajo

Starszy Inspektor III odcinka

Autostrady Północ-Południe”

— To wszystko?—zapytał kapitan.

— Tak jest! Sprawdziliśmy faceta. Jego informacje pokrywają się z naszymi wcześniejszymi ustaleniami.

— Wezwijcie tę Alice Takuna do mojego biura na godzinę...—spojrzał na zegarek —na godzinę osiemnastą. Sam ją przesłucham.

— Tak jest! A co z nim? Wypuścić?

— Tak. Daj mu list dziękczynny. Formularze są w moim sekretariacie. Aha! 1 wciągnij go do kartoteki informatorów.

— Rozkaz!

Karden wszedł do małego pokoiku. Temporyści przyprowadzili go aż tutaj, ale żaden z nich nie wszedł za nim do środka. Poczuł się trochę nieswojo. Gdyby chcieli, mogliby mnie wykończyć bez krzyku —pomyślał —nikt by nie wiedział, jak zniknąłem. Webb i Cox chyba nie stracili mnie z oczu. W razie czego więc będą wiedzieli, gdzie mnie szukać —z roztargnieniem lustrował pomieszczenie. Jedynym jego umeblowaniem był stół i dwa krzesła. Po chwili wahania usiadł na jednym z nich i sięgnął po pastylkę orzeźwiającą.— Zastanawiające, jak małomówni są ci temporyści. Jedyna pocięcha, że skoro o nic nie pytali, to może oznaczać, iż nie interesują ich zbytnio ci, którzy do nich przystępują. Może tak powinno być? W końcu sam nie wiedziałbym, jak rozmawiać z takim facetem jak ja. Widać, że klepią biedę. Ten stół chyba znaleźli gdzieś na śmietniku. Ciekawe, po co mnie tu wsadzili? Czy to ma być to schronienie? A jeśli oni trzymają osobno nowicjuszy? Ciekawe, czy uwierzyli w te bajki, które opowiadałem im po drodze? Nie dali poznać, czy Wardenson dotarł do nich. Może jednak zaszył się gdzieś i...—nie dokończył jednak

tej myśli, bowiem do pokoju wszedł starszy człowiek, ubrany podobnie jak inni temporyści, a więc dziwacznie. Karden wstał, zaś na nalanej twarzy przybysza wykwitł jowialny, uśmiech.

— Witam. Nazywają mnie Colin. Kim jesteś, chłopcze, i co cię do nas sprowadza?

— Nazywam się Karden. Poszukują mnie i mojego przyjaciela.

— Kto cię poszukuje?

— Jak to kto? Wiadomo, specje.

— Cóż się takiego stało, że naraziłeś się naszym strażnikom porządku i ładu?

— Mój przyjaciel lubi narzekać. I w miejscu publicznym powiedział, że nie podoba mu się życie na Apostezjonie.

— Cóż takiego mogło mu się nie podobać?

— Ach! — rzekł Karden — on jest trochę, jak by to powiedzieć...

— Słucham?

— Może nienormalny to za dużo powiedziane, ale na pewno niezrównoważony. I od czasu do czasu miewa takie napady, że zupełnie nie można dać sobie z nim rady. Wtedy plecie, co mu ślina na język przyniesie. No i w tym barze, bo stało się to w barze podczas lunchu, zaczął pleść różne takie głupstwa, że trudno je powtarzać. Ktoś nie wytrzymał nerwowo i zawiadomił speców. Nie minęło dziesięć minut, kiedy przyjechali. Było ich dwóch. Chcieli przyjaciela zabrać. Ja im tłumaczyłem, że jest trzaśnięty. Wtedy mną też się zajęli.

— Ciekawe — wtrącił Colin, zaś Karden ciągnął dalej:

— Zaczęliśmy bronić się. To znaczy głównie ja, bo mój przyjaciel w ogóle nie wiedział, co się dzieje. O, tu mam siniak — podwinął rękaw koszuli. — Oni nie patyczkowali się, ale na szczęście i ja nie jestem ułomek.

Uciekliśmy im. No i mam teraz kłopoty. Mnie też ścigają.

— A co się stało z twoim przyjacielem?

— Nie wiem, rozbiegliśmy się w różne strony.

— Tak, to bardzo ciekawe.

— Może i on trafił do was? — spytał Karden i zaraz potem zaniepokoił się, czy nie posunął się zbyt daleko. Jednak twarz Colina niezmiennie wyrażała dobrotliwą przyjacielskość.

— Do nas? To znaczy do kogo?

Karden zmieszał się trochę. Nie wiedział bowiem, czy temporyści lubią nazwę, jaką wymyśliła dla nich zdrowa część społeczeństwa.

- Do takich — powiedział ostrożnie — którzy pomagają ludziom w biedzie.
- Jak nazywa się twój przyjaciel?
- On cierpi na zanik pamięci. Czasami zapomina swego prawdziwego nazwiska.
- A jak brzmi to prawdziwe nazwisko?
- Dogow. Ira Dogow.
- Rozumiem. A twoje nazwisko? Przepraszam, że zapomniałem, chłopcze, ale lata robią swoje.
- Karden. Gdyby sobie mnie nie przypomniał, co może się zdarzyć, jeśli akurat cierpiałby na zanik pamięci, to skontaktujcie mnie. Gdy mnie zobaczy, od razu sobie wszystko przypomni, a ja mu w tym pomogę. On wymaga troskliwej opieki. Tylko ja wiem, jak należy z nim postępować.
- Nie wątpię — odrzekł flegmatycznie Colin.— Od kiedy go znasz?
- Od bardzo dawna.
- I dzisiaj przez cały czas byliście razem?
 - Tak. Od samego rana aż do południa. Bo to stało się w południe.
- Podczas lunchu?
 - Właśnie.
 - Gdzie pracujesz?
 - Różnie — odparł. — Jak to w życiu. Kiedyś byłem programistą. Ale przy dzisiejszych samoorganizujących się komputerach człowiek nudzi się jak mops. Rzuciłem tę pracę...
 - Rozumiem — Colin nadal uśmiechał się, choć jego oczy badawczo wpatrywały się w Kardena. — Napijesz się czegoś, chłopcze?
 - Z przyjemnością— Karden rozluźnił się. Uznał bowiem, że rozmowa przybiera korzystny dla niego obrót. Słyszał, że temporyści nie lubią zbytnio organizacji życia na Apostezjonie, co jednak nie przeszkadzało im wcale mieć własnej organizacji, która pozwalała przetrwać nawet najcięższe naloty speców. Byli przy tym łatwowierni, o czym miał okazję przekonać się, gdy dostarczał im różne mikstury, za które pobierał opłaty z nawiązką wynagradzającą ryzyko wpadki. Byli też zabawni, bo jakże inaczej wytłumaczyć te dziwne maskarady, staroświeckie ubiory, nazywanie

normalnych ludzi pokornymi, co może było jakąś tam demonstracją, ale jakże nieskuteczną i w gruncie rzeczy śmieszną. Miał więc wszelkie podstawy do tego, aby być dobrej myśli i ufać, że jego brawurowy plan zakończył się powodzeniem. Rzekł więc:

— Przyjmujecie mnie tak gościnnie, że doprawdy nie wiem, jak się odwdzięczyć. Kiedyś pracowałem dla was; dostarczałem wam takie różne surowce, które wam są zdaje się potrzebne do produkowania odurzającego napoju. Jeśli będziecie ich jeszcze potrzebowali kiedyś, możecie na mnie liczyć.

— Dlaczego używasz ciągle liczby mnogiej? — zapytał spokojnie Colin. — Czy oprócz mnie masz jeszcze kogoś na myśli?

— Tak —Karden znów zmieszał się. — Chociażby tych miłych chłopców, którzy mnie tutaj przyprowadzili.

— Ktoś cię tutaj przyprowadził? —Colin był najwyraźniej zdziwiony.

— Tak, doprowadzili mnie aż do samego domu. Ja nie mam zaniku pamięci.

— To jacyś twoi znajomi? —zapytał Colin, zbliżając się do automatu z napojami.

— Ależ skąd! — odparł niecierpliwie, zaś w duszy poczuł niepokój, tym bardziej przykry, że sądził już, iż zyskał niemal całkowite zaufanie tego jowialnego faceta.— Zresztą, nieważne, kto to był. Może jacyś przypadkowi przechodnie, jeśli ci tak na tym zależy. Nic a nic mnie to nie obchodzi. Chciałbym tylko odnaleźć mojego przyjaciela. Muszę go odnaleźć, choćbym miał go wydobyć spod ziemi. Nie mogę dopuścić, by wpadł w ręce Vittoliniego i jego łapaczy.

— Vittoliniego, powiadasz? A któż to taki?

— Nie bawmy się w chowanego, Colin. Przecież wiesz równie dobrze jak ja, że jest to szef wydziału operacyjnego Specśłużb.

— Nie znam tego człowieka. Nigdy o nim nie słyszałem. Nie widziałem także twojego przyjaciela. Mogę ci więc służyć tylko napojem — rzekł, sięgając po dwie szklanki musującego płynu.

Karden nie wypił jeszcze nawet ćwierci podanego mu napoju, gdy Colin przeprosił go i wyszedł. I wtedy dopiero dostrzegł, że pomieszczenie ma tylko jedne drzwi, które zatrzasnęły się za Colinem; drzwi bez klamki. Odstawił szklankę i podszedł do okna. Było zamknięte. Chwycił szklankę i rzucił ją w szybę. Szklanka rozprysnęła się na drobne kawałki, zaś resztki napoju ściekły po nietkniętej szybie. Rzucił się do

drzwi i zaczął w nie łomotać. Po chwili przestał i począł nasłuchiwać. Nie doszedł go jednak najłżejszy szmer.

Zeszli na niższą kondygnację i przed nimi otworzył się długi korytarz, rozjaśniony tu i ówdzie pomarańczowym światłem. To musi być jakiś bardzo stary budynek — pomyślał Ira, spoglądając na łuki sklepień, niepodobne do żadnej z dotychczas widzianych przezeń konstrukcji. — Ma chyba trzysta lat, a może nawet więcej. — Alma szła przed nim lekko rozkołysanym krokiem. Korytarz nie był wysoki, a jej sylwetka dość wyraźnie odcinała się od rozjaśnionej perspektywy. Wpatrywał się w jej ramiona, biodra i nogi, ledwie widoczne pod obfitą szatą. Zatrzymał wzrok na jej włosach, rozsypanych puszystą falą. Nie widział jej twarzy. Tak, to ona, dziewczyna bez twarzy. Wygląda tak samo, tak samo kołysze biodrami, idzie takim samym lekkim krokiem, jakby ledwie muskała ziemię. Chciał widzieć jej twarz; czuł, że w jej twarzy kryje się jakaś tajemnica, którą musi osiąść. Uświadomił sobie, że jest to jedyna możliwość uwolnienia się od koszmaru. Była tak bliska, a zarazem tak nieuchwytna jak wówczas w tej dolinie, gdy uleciała otulona kokonem światła. Półmrok korytarza zaczął się nagle rozjaśniać. Spostrzegł, że ściany rozmywają się, ulatują na boki, jakby utkane były z mgły. Chodnik zaczął falować, marszczyć się, aż wreszcie — tak, Ira nie miał najmniejszych wątpliwości — przeistoczył się w piaszczystą drogę, jaką szedł kiedyś w skansenie rolniczym. A może — opadły go wątpliwości — wydawało mu się, że ta droga była kiedyś korytarzem? Wtedy w skansenie nie był sam. Na pewno był ktoś jeszcze. Ten ktoś znów szedł przed nim. To była ona. To musiała być ona, bo któż by inny? A więc znów są w skansenie i — jak wówczas — pora jest przedwieczorna; w dolinach kładą się długie cienie. Znów jest z nią. Skończył się wreszcie ten koszmar jakichś ucieczek, nie znanych ludzi, nie znanych domów.

Nagle w ten rozfalowany, przyjazny świat wdziera się krzyk. Zbliża się, narasta. Pierzcha ulga, a na jej miejscu sadowi się strach. Skąd ten krzyk? Dlaczego go tyle?

Kobieta idzie przed nim, a jej długie włosy szarpane są podmuchami wiatru. Nie odwraca się, nie czeka na niego, a przecież jemu coraz trudniej iść. Piach jest sypki, obejmuje łagodnie stopy, płącze kroki.

Na karku czuje lepkie mrowienie; to panika. Tak, panika usiłuje wedrzeć się do

jego mózgu, opanować go i zmusić do ucieczki. Dlaczego kobieta nie poczeka? — myśli z rozpaczą. — Dlaczego idzie nieubłaganie przed siebie, w stronę tego okropnego krzyku? Czyżby nic nie słyszała? — i wtedy przenika go jej głos, tak, właśnie przenika: „To nic, to tylko wrony obsiadły dziką gruszę. Jeszcze masz czas”. I widzi to wielkie rozłożyste drzewo, stojące samotnie przy drodze. A wokół jego korony uwijają się czarne ptaki, wydające ów przejmujący, chrapliwy krzyk. „Nie idź tam, poczekaj...” — szepcze błagalnie. Ale ona podchodzi do drzewa. Najpierw głaszczce pieszczotliwie jego korę, a później obejmuje pień i przytula się do niego. „Odwróć się” —szepcze. — „Chcę zobaczyć twoją twarz. Muszę ją ujrzeć. Pomóż mi...” Daremnie. Kobieta jeszcze silniej przywiera do pnia, wtapia się weń i po chwili znika w lekko rozedrganej, chropowatej korze. Wtedy rzuca się w stronę drzewa, zaś z jego zaciśniętego gardła dobywa się krzyk rozpaczy: „Matildo!”

A jednak! Czuje jej dłoń w swojej dłoni i dobiegają go jej słowa: „Odpoczniesz. Teraz odpoczniesz.” Ale jej głos jest teraz nieco inny, niższy i wyraźnie słyszalny. Nie przenika go, tak jak wtedy, ale dobiega z jednego, wyraźnie jednego miejsca.

Powietrze znów zaczyna falować, cienie gęstnieją, otaczają go ze wszystkich stron, sklepiają się nad nim i pod nim. Drzewo także drga, kurczy się i przybiera kobiece kształty. Czyżby?— zrywa się w nim nadzieja.— Tak, to ona! Wraca, wraca do niego! Cienie zastygają w formie korytarza. To ona, Alma. Stoi przed nim, trzyma go za rękę wilgotną od potu i coś mówi. Na jej twarzy maluje się niepokój. Korytarz już nie drga; ustabilizował się i trwa, jakby był z kamienia. I wreszcie dociera do niego jej głos, słaby, przerywany, jakby przebijał się przez szum wiatru.

— ...wyglądasz... jestem z tobą. Nie... ty jesteś chory...

Ira wyjął gąbkę i otarł spocone czoło, a potem starł wilgoć z dłoni. Dyszał ciężko niby po forsownym biegu.

— Almo...—rzekł tylko. A w tym słowie zawarł i błaganie o pomoc, i ulgę, że znów jest przy niej.

— Chodź —powiedziała łagodnie. —Opowiedz mi wszystko. — I ponownie ujęła go za rękę. Chwytał kurczowo jej dłoń i szedł za nią jak dziecko prowadzone przez matkę.

Korytarz skończył się drzwiami, nad którymi wisiał napis: „BĄDŹ SOBĄ”. Ira

mechanicznie zarejestrował treść napisu, ale dotarła ona do jego świadomości dopiero wtedy, gdy Alma otworzyła drzwi i weszli do przestronnego pokoju, zastawionego gęsto stolikami. Zdumiał się bezsensownością hasła, które zobaczył; jakże można nie być sobą? Ale zarazem uświadomił sobie, że owo zdumienie było odruchowe i że w istocie nigdy nie zadawał sobie pytania, kim właściwie jest i

kiedy może uczciwie powiedzieć, że jest tym, za kogo się uważa. Nie zdołał jednak dokończyć tej myśli, bowiem Alma wskazała mu miejsce przy jednym ze stolików. Usiedli, a Ira ciekawie rozglądał się dookoła. Pokój był dość duży, a mimo to jego wnętrze było przytulne. Przy kilku sąsiednich stolikach siedzieli ludzie pozdrawiający Almę uśmiechami i dziwacznymi ruchami głowy. Alma odpowiadała im takimi samymi gestami.

— A teraz napijemy się kawy — rzekła do Iry. — To cię postawi na nogi.

— Kawy?

— Tak, kawy. To taki miły napój, który przynieśliśmy ze sobą ze starej ziemi.

— Ciągle go jeszcze macie?

— Człowieku! — zaśmiała się. — Oczywiście nie napój przywieźliśmy, ale obyczaj jego picia.

Z podręcznego automatu wysunęły się dwie filiżanki, do których po chwili spłynął ciemnobrązowy płyn

o intensywnym zapachu. Alma sięgnęła po filiżanki. Ira pilnie obserwujący jej ruchy dostrzegł, że wsypuje do filiżanek jakiś biały proszek, a później skrupulatnie miesza zawartość. Widocznie miał tak zaintrygowany wyraz twarzy, że Alma wyjaśniła mu, że ten proszek to po prostu naturalny cukier, który na szczęście — jak powiedziała — można jeszcze dostać, bo cukier syntetyczny nie wyparł całkowicie naturalnego.

— A teraz — rzekła, podsuwając mu filiżankę — opowiadaj. Wyrzuć z siebie wszystko, co cię dręczy.

— Almo — zaczął z trudem — tego nie da się opowiedzieć. Czy można opowiedzieć obraz?

— A więc masz jakieś halucynacje?

— Tak.

— Często ci się to zdarza?

— Nie! — zaprzeczył żywo. — Nigdy. Dopiero dzisiaj...

— To był pierwszy raz?

— Tam, w korytarzu? — upewnił się.

— Tak.

— Nie. To był drugi...—zawahał się, a potem dodał ciszej —to był drugi atak. Po raz pierwszy miałem coś takiego dzisiaj rano. Przedtem byłem spokojnym obywatelem naszej Wyspy. Byłem jak każdy inny, czyli szczęśliwy. A teraz... Teraz wszystko się popsuło.

— Co widziałeś?

— Nie wracajmy do tego. To nie ma sensu.

— Jak chcesz — rzekła Alma. — Choć wątpię, czy sam dasz sobie z tym radę.

— Nie wiem... — potarł czoło. — Ten wypadek... Ja zupełnie nic nie pamiętam. To znaczy, zupełnie nie pamiętam, aby cokolwiek mi się przydarzyło.

— A co pamiętasz?

— Wszystko oprócz tego wypadku.

— Żadnych dziwnych zdarzeń?

— Dzisiaj tak, ale przedtem? Nie, na pewno nie —rzekł z naciskiem. —Jestem tego tak pewien jak swojego nazwiska i tego, że siedzę tu z tobą i rozmawiam. Pojechałem do klubu, potem wróciłem do domu. Wypiłem jeszcze koktajl. Wiesz — rzekł z ożywieniem —rano stał w tym samym miejscu, w którym zostawiłem go poprzedniego wieczoru nie dopity. Pielęgniarka powiedziała, że to jej szklanka, ale ja jej nie wierzę. Dopiero dzisiaj zaczął się ten koszmar, którego nie jestem w stanie pojąć...

— Masz kobietę?

Przeleciała mu przez myśl twarz Ann, taka jaką widział wtedy na dywanie w swoim pokoju. I już w następnym momencie przypomniała mu się ta sama twarz, wykrzywiona złością, a może strachem, w lipowej alei, gdy ujrzał Ann z obezwładniaczem w ręku.

— Nie... — odparł z wahaniem i zaraz potem dodał: — Na pewno nie. Jestem zupełnie sam.

— Wtedy w korytarzu mówiłeś coś...

Spojrzał na nią badawczo, ale jej spojrzenie było pełne ciepła i troski.

— Co mówiłem?

— Nie wiem. Szeptales coś bardzo niewyraźnie. Myślałam, że mówisz coś do mnie, więc odwróciłam się. A ty stałeś z szeroko otwartymi oczyma. Widziałeś kogoś, choć w korytarzu poza nami nie było nikogo. Rozmawiałeś z kimś, kogo ja nie widziałam.

— Nie z tobą?

— Nie — odparła. — Nie nazywam się Matilda.

— Przecież wiem.

— Ale ty krzyknęłaś właśnie to imię. Podbiegłam wtedy do ciebie, bo bałam się, że runiesz na podłogę.

I wtedy zacząłeś wracać do rzeczywistości.

— Almo — powiedział cicho — ja naprawdę nie znam żadnej Matildy. Uwierz mi.

— Wierzę — rzekła z prostotą, a po chwili dodała:

— Ale to jednak dziwne, nie sądzisz?

— Wiem, że to okropne. Widziałem drzewo, które pochłonęło kobietę. Chyba ciebie... — dodał ciszej.

— Nie jesteś pewien?

— Nie. Nie widziałem jej twarzy. Wtedy, za pierwszym razem, też nie mogłem jej dostrzec.

— Rano nie wiedziałeś jeszcze o moim istnieniu.

— Racja — zgodził się bezradnie.

— Pij kawę, bo wystygnie.

Ira przełknął odrobinę płynu; smakował mu.

— To jest zupełnie niezłe — stwierdził. — Z czego to się robi?

— Na południu Wyspy wegetuje taka roślina. My skupujemy jej ziarna, przyrządzamy odpowiednio i to wszystko.

— Czy to jest legalne?

— Jeśli chciałeś zapytać, czy to jest powszechnie dostępne, to nie. Oficjalna medycyna stwierdziła, że częste picie tego napoju obniża wydolność serca. Dlatego w trosce o zdrowie mieszkańców Apostezjonu zakazano produkcji. Ale nie zakazano picia. Więc to, co w tej chwili robisz, nie jest nielegalne.

— Ale szkodliwe.

— Ja piję to bardzo często, a jednak nie narzekam na zdrowie. Jedna filiżanka na

pewno ci nie zaszkodzi.

— Czy po tym nie stracę przytomności?

— Dlaczego pytasz?

— Słyszałem — zaczął z wysiłkiem — że wy pijecie jakieś mikstury, po których człowiek traci panowanie nad sobą, a czasem nawet świadomość. Nie chciałbym...

— Na pewno nie po kawie — przerwała mu. — A te różne opowieści... No cóż, dużo w nich przesady...

— A jednak to prawda?

— Chodzi ci zapewne o alkohol — odparła — Istotnie, jeżeli się go przedawkuje, można stracić świadomość...

— To okropne.

— Ale w małych dawkach dodaje życiu urody. Zresztą niewielu jest wśród nas takich, którzy nadużywaliby tego środka.

— A są?

— Zdarzają się. Ale to zwykle źle się kończy dla nich. Zdradza ich nie tylko zachowanie, ale i zapach alkoholu. Wiesz przecież, że prawo zezwala władzom na umieszczanie takich ludzi w Ośrodkach Resocjalizacyjnych.

— Wiem.

— Oni już do nas nie wracają. A każdy powinien mieć prawo do życia w taki sposób, jaki uważa za najodpowiedniejszy.

— I dla was ten sposób, w jaki żyjecie, jest odpowiedni?

— Czy w przeciwnym razie żylibyśmy tak, jak żyjemy? Zresztą, nawet my nie żyjemy pełnią życia. Są to tylko resztki, które mimo wszystko przetrwały. Resztki starej kultury... I przetrwają — dodała z mocą.

— Po co?

— Nie rozumiesz tego?

— Nie.

— Widzisz... — zaczęła powoli, jakby starając się przywołać dawno nie używane słowa. — My jedyjni na Apostezjonie wiemy, skąd przyszliśmy, wiemy, jacy byli nasi przodkowie, jak żyli, czego chcieli... Znamy ich obyczaje, problemy, którymi żyli... To przetrwało w książkach. I w nas — dodała po chwili.

— To są słowa — przerwał jej niecierpliwie — tylko słowa, za którymi kryje się

życie na marginesie. Powiedz mi, Almo, jakież jest sens tego wszystkiego? Czyż siła gatunku ludzkiego nie polega na życiu zbiorowym? Nie, to co wy robicie, jest wyłącznie destrukcją, jałową negacją, której jedynym skutkiem jest ekscentryczne zachowanie. Pomyśl sobie, co by było, gdyby wszyscy nagle zapragnęli żyć tak jak wy. Przecież to odpychająca wizja.

— Dlaczego?

— Spróbuj to sobie wyobrazić; pielęgnowanie przeszłości to w istocie negowanie zmian, to bezruch, marazm, to wiara w zatrzymanie czasu. I od razu pojawia się pytanie, dlaczego żyć akurat tą przeszłością, a nie wcześniejszą? Czyżby była w czymkolwiek lepsza? Nie, Almo, wasza filozofia mi nie odpowiada. I was też prowadzi na manowce. Naszym wspólnym przeznaczeniem jest zmiana; to nas odróżnia od zwierząt. Czy tego chcemy, czy nie, musimy zmieniać siebie i świat nas otaczający. To nadaje naszemu istnieniu sens. A tradycja? Cóż... Powinna krzepić, powinna utwierdzać nas w przekonaniu, że obraliśmy słuszny kierunek zmiany. W każdym innym przypadku przeszłość jest tylko balastem. A wy staracie się tej oczywistej prawdzie zaprzeczyć.

I dlatego jesteście na marginesie... dlatego napadacie na spokojnych obywateli, dlatego nadużywacie niedozwolonych środków...

— Ależ, Ira! — zachnęła się. — My nie mamy nic wspólnego z tymi chorymi nieszczęśnikami, którzy rujną własne zdrowie, naruszają ład i porządek, aby tylko zaspokoić doraźne potrzeby kosztem innych... My tylko chcemy żyć inaczej niż reszta, to wszystko.

— A widzisz! — rzekł triumfalnie. — Ludzie sami odrzucili to, co okazało się niepotrzebne. A wy tego nie zrobiliście, więc kryjecie się w podziemiach. Krążą owas legendy, powtarzane to ze zgrozą, to z ciekawością. Zapatrzenie w przeszłość pozbawia was kontaktu z terażniejszością. Tak, to właśnie jest temporalizacja, życie czasem minionym — dodał z naciskiem.

— Czy uważasz, że należałoby nas wszystkich resocjalizować? — zapytała ze smutkiem.

— Nie, Almo, tego nie powiedziałem — zaprzeczył żywo. — Wy nie jesteście chorzy społecznie — spojrzał na nią. — W każdym razie na pewno nie ty ani Colin. Wy tylko wybraliście złą koncepcję życia. Taki styl życia może być dobry kilkaset lat

temu na starej ziemi, ale nie tutaj, na Apostezjonie. To jakiś okropny anachronizm, który zepchnął was na margines i nie pozwala żyć pełnią życia — poczuł się nazbyt podniecony, więc sięgnął po pastylkę tonizującą i zażył ją.

— Ira — rzekła spokojnie Alma, spoglądając na dno filiżanki, jakby tam szukała odpowiedzi na jego wątpliwości — wyglądasz na człowieka mądrego. To się czuje nawet przez pancerz twoich poglądów. Nie jesteś typowym pokornym, dlatego tutaj siedzimy

i rozmawiamy. Kilka godzin temu sprawiałeś wrażenie osaczonego. Uciekałeś przecież...

— Fakt.

— A teraz mówisz tak, jakby komputer wdrukował ci w świadomość jednowymiarowe widzenia świata .

— Nie rozumiem.

— Niełatwo mi to wyjaśnić. Nie jestem filozofem

— mówiła z trudem. — Jest w tobie jakieś pęknięcie. To się czuje. Ja to czuję — poprawiła się.

— Ciągłe nie rozumiem, o czym mówisz.

— Czy to takie ważne? Jesteś w potrzebie, choć doprawdy nie jestem w stanie pojąć, dlaczego. Wszystko jedno. Ja jestem akurat wolna i mogę ci pomóc. To jest ważne, prawda?

— Jak to wolna? Czyżbyś przedtem nie była wolna?

— Może źle się wyraziłam — uśmiechnęła się. — Nie mam teraz żadnego mężczyzny, rozumiesz?

— Ach tak — spojrzał na nią. — Gdy się nie ma partnera, to jest się wolnym. Rozumiem...—powiedział to tonem, który wskazywał, że nadal nic nie rozumie.

— Kawa już ci chyba wystygła — rzekła miękko, a potem dodała z wahaniem: — Czy ty... czy ty masz jakąś rodzinę?

— Colin pytał o to samo — odparł. — Nie, nie mam.

— Nikogo bliskiego?

— Myślisz o kobiecie?

Alma nie zdołała jednak odpowiedzieć, bowiem dostrzegła w drzwiach Colina, który dawał jej jakieś znaki.

— Poczekaj chwilę — rzekła prędko — zaraz wracam.

Wstała i podeszła do Colina. I wtedy uświadomiła, sobie, że niepokoi się, czy wszystko jest w porządku, poczuła, że zależy jej na tym człowieku i że bardzo by chciała, aby mógł wśród nich zostać. To było owo ulotne uczucie, które miewa się w początkach miłości, kiedy wszystko jeszcze może się zdarzyć, ale kiedy pragnie się już kontynuacji i rozkwitu.

Dlatego też zapytała niespokojnie:

— Czy coś się stało, Colin?

— Tak — odparł. — Jego — przeniósł wzrok na siedzącego Irę — jego naprawdę szukają. Potwierdziło się to wcześniej, niż przypuszczałem.

— Ale co się stało? Mów, na miłość boską!

— Widzę, Almo, że zainteresował cię los tego człowieka — spojrzał na nią przenikliwie.

Alma zmieszała się i przerwała mu:

— Mów wreszcie, co się stało.

— Mam w pokoju kogoś od nich. Usiłował dotrzeć do niego pod pretekstem, że jest jego przyjacielem. Rozmawiałem z nim i nie sędzę, aby to była prawda. Wyglądał mi raczej na takiego, który ściga, a nie ucieka. Zapytaj jednak twego nowego przyjaciela, czy zna niejakiego Kardena.

— Kardena?

— Tak, tak przynajmniej sam się nazwał. Jeśli okaże się, że go nie zna, trzeba tego nieszczęśnika ewakuować. Pomożesz mu...

Spojrzała na niego z wdzięcznością, a Colin ciągnął dalej:

— Przypuszczam, że widziano, jak wchodziliście tutaj. Toteż można się spodziewać rychłego nalotu speców. Na razie jesteście bezpieczni, bo ten Karden został zamknięty.

— Co z nim zrobisz, jak przyjdą spece?

— To moja sprawa.

— Rozumiem. Gdzie mamy pójść?

— W Dzielnicy Północnej, ulica Czterdziesta Druga, jest dom pod numerem sześćdziesiąt cztery. Mieszka tam mój przyjaciel, który udzieli wam schronienia na czas nieokreślony. Pospieszcie się.

— Dziękuję, Colin.

— Za co? Ach! Nie jedź swoim ekwipartem. Weź wóz publiczny. I wyjdźcie tylnymi drzwiami.

— Dobrze, Colin.

— Idź już, idź — pchnął ją lekko w stronę stolika. Alma podeszła do Iry i zapytała niedbale:

— Czy znasz Kardena?

— Kto to taki?

— Nie znasz go?

— Nie.

— Chodź, musimy opuścić to miejsce. Taki właśnie człowiek podaje się za twojego przyjaciela. Siedzi teraz na górze. Colin twierdzi, że to ktoś ze Służb Specjalnych.

— Ze Służb Specjalnych? — wstał.

— To tylko hipoteza — uspokoiła go — ale bardzo prawdopodobna. Jeśli specie niebawem się tu zjawią, to znaczy, że Colin miał rację.

— A jeśli nie?

— Colin coś wymyśli. Pewnie po prostu powie mu, aby szedł swoją drogą. Idziemy?

— Tak, idziemy.

Cox spojrzał nerwowo na zegarek. Minęło już pół godziny, od kiedy Karden zniknął we wnętrzu domku w towarzystwie tych dwóch facetów. Niecierpliwość jego potęgował fakt, iż domek z zewnątrz sprawiał wrażenie nie zamieszkanego. Przez cały ten czas nikt tam nie wychodził, nikt nie wchodził. Słowem, absolutny spokój, w jego środku — Karden. Spojrzał ukradkiem na Webba, który żuł pastylkę i patrzył beznamiętnie na ów bezruch.

— Przygotuj się — warknął. — W każdej chwili możemy mu być potrzebni.

— Jestem gotów, kotku — spojrzał na niego flegmatycznie. — Niech tylko wreszcie coś zacznie się dziać, bo mnie w środku już cholera trzęsie! — wypluł z odrazą pastylkę i machinalnie sięgnął po następną.

— Masz ten list?

- Nie. Zostawiłem go w apartamencie.
- A jeśli ona...
- Spokojna głowa. Jest przecież zamknięta, a list jest w holu. Zresztą instrukcja mówiła tylko, że mamy ją zwinąć z tym listem.
- Racja. Nie było ani słowa o tym, że ona nie może go przeczytać.
- Znów utkwiał wzrok w drzwiach domku. Po chwili milczenia Cox ponownie zaczął:
- Może jednak jest drugie wyjście?
- Nie ma. Przecież obszedłem dom dookoła.
- Wiem, wiem, ale coś tu za spokojnie. Gdyby Karden nie trafił na ślad, dałby już nam jakiś znak.
- Pewnie coś wywąchał i rznie ofiarę speców —wtrącił Webb. — Oni to lubią. Wiesz przecież, że z nimi trzeba jak z dziećmi. Nic mu nie będzie, kotku...
- A cholera cię w środku trzęsie?
- To z nieróbstwa.
- Na pewno nie ma innego wyjścia z domku?
- Chyba że pod ziemią — zażartował Webb.
- Właśnie! — Cox niemal krzyknął. — Nie pomyślałem o tym.
- O czym?
- O podziemnym przejściu.
- Aha... — Webb zaczynał rozumieć.
- Nie może być zbyt długie —ciągnął Cox.
- Prawdopodobnie do najbliższego domu. — Rozejrzał się, unosząc się lekko na łokciach. — Cholera!
- Co się dzieje, kotku?
- Nie widzisz, że najbliższy dom jest w odległości czterystu metrów?
- No to co?
- Nikt przecież nie buduje takich długich korytarzy podziemnych.
- Tym lepiej. To nam upraszcza robotę.
- Niezupełnie — rzekł stroskany. — A jeśli wyjście jest w jakichś krzakach?
- Coś ty! — obruszył się Webb. —Oni nie są głupcami. Nie ryzykowałiby tak mrówczej pracy po to, aby przypadkowo ktoś ją odkrył.
- Słuchaj, Webb...

— Nic innego nie robię, kotku.
— Jak obchodziłeś ten dom...
— Tak! — rzekł uradowany. — Pamiętam! Jest tam taka niepozorna budka na narzędzia ogrodnicze.

— Ruszaj! Łączność na minimalnym zasięgu.

— Rozumie się.

— Może jeszcze nie jest za późno — mruknął Cox, ale Webba już nie było. Tylko gałązki krzaków chwiały się jeszcze lekko.

Cox wrócił do obserwacji domku. Nie minęło pięć minut, gdy odezwał się brzęczyk jego kieszonkowego radiotelefonu.

— Słucham — powiedział półgłosem.

— Webb do Coxa.

— Słucham, słucham — rzekł niecierpliwie.

— Mam budkę na widoku. Wejść tam?

— Wykluczone! Mógłbyś ich spłoszyć, a wtedy cały plan Kardena...

— Rozumiem, kotku.

— Tylko obserwuj.

— Jasne — z miniaturowego głośnika dobyło się coś jakby westchnienie ulgi.

Słońce zniżyło się już ku zachodowi. Świeciło teraz nisko nad horyzontem, niemal prosto w oczy Coxa. Domek nadal sprawiał wrażenie nie zamieszkanego. Cox wiedział jednak, że w jego wnętrzu jest przynajmniej trzech ludzi: Karden i tych dwóch facetów, z którymi tu przyszedł.

Nagle ten cały plan wydał mu się dziecinną, naiwną zabawą, która nie przyniesie żadnego skutku poza przeciągnięciem czasu trwania akcji. Chciał to już mieć za sobą. A tymczasem ciągle jeszcze najtrudniejsza część roboty była przed nimi. Jedna Matilda to zbyt mały połów jak na cały dzień ugania się w skwarze. Urwał im się ślad Wardensona i nie mieli najmniejszego pojęcia, gdzie szukać Martena.

Był zły na siebie, że zgodził się na plan Kardena. Domyślał się, dlaczego Kardenowi przyszedł taki pomyłony pomysł do głowy. Chciał wymazać ten odruch paniki, po którym stracił z oczu Wardensona. Rozumiał Kardena, ale powinien być od niego rozsądniejszy. Szansa trafienia na tych samych temporystów, którzy pomogli ukryć się Wardensonowi, była niewielka. Jeśli w ogóle korzystał z ich pomocy.

Cox wiedział, że temporyści są ogromnie zróżnicowani; są wśród nich grupy napadające na spokojnych obywateli w celach rabunkowych, są także grupy zupełnie nieszkodliwe, których jedynym zajęciem jest kontemplowanie samych siebie. Słyszał też kiedyś, że od kilku lat działa wśród nich grupa, która dysponuje czymś na kształt własnej ideologii i że stopniowo przejmuje kontrolę nad innymi grupami, nie wyposażonymi w taką broń. Plotka ta jednak wydała mu się nazbyt fantastyczna, by można ją było traktować serio. Temporyści z ideologią? To przecież śmieszne. W każdym bądź razie tylko dwie cechy mieli temporyści wspólne: obawę przed specami i pogardę dla normalnych obywateli Wyspy. A było to zbyt mało, aby uznać kogoś za temporystę. Wszak on, Cox, też gardził tym tłumem, dla którego wyrocznią były coraz to inne recepty na szczęście, serwowane przez telewizję. On też obawiał się speców. Przynajmniej w tej chwili. Nie czuł się jednak temporystą. Sama myśl o tym napawała go odrazą; gardził bowiem również temporystami, którzy — podobnie jak normalni obywatele — nie wiedzieli, co to jest życie, nie zaznali prawdziwego niebezpieczeństwa, nie potrafili zachłysnąć się radością, nie doświadczyli nienawiści zatykającej dech w piersiach, ani strachu powodującego skurcze skóry. Wszystkie te uczucia były u nich sprowadzone do średniej, ani za silne, ani za słabe. A jeśli któreś z nich wymknęło się spod kontroli, to natychmiast równowagę przywracała odpowiednia na tę okazję pastylka, która niby owczarek zaganiała niesforne uczucie do stada.

To było życie w pastylce; zaprogramowane optymalnie, równomiernie nasycone nieznacznymi stresami. Cox nie mógł się z tymi pogodzić i dlatego darzył sympatią Długiego, który w ogóle nie używał nawet syntetycznych pokarmów, co w dzisiejszych czasach było dość kosztownym upodobaniem.

Cox nade wszystko lubił żyć intensywnie, szybko, prawdziwie. Na to trzeba było pieniędzy, dużych pieniędzy. Nie znosił codzienności, wypełniającej dni i noce tym samym pytaniem: po co? Szukał niecodziennych zdarzeń, cokolwiek by ze sobą niosły, choćby nawet ryzyko przejścia przez Ośrodek Resocjalizacyjny, po którym byłby jednym z tych, którymi teraz pogardzał. Przy takim bowiem ryzyku i strach był silniejszy, i smak sukcesu bardziej upajający. Dlatego wplątał się w tę robotę, bowiem od początku wiedział, że to nie zabawa.

Cienie drzew były coraz dłuższe. Zapadał zmrok. W perspektywie drogi

dojazdowej do domku Cox dostrzegł jakiś ruch. Przyłożył do oczu lornetkę i wyostrzył obraz. Na drogę wjechały dwa ekwiparty. W tym samym momencie rozległ się brzęczyk radiotelefonu i po chwili z głośnika dobył się lekko podniecony głos Webba:

— Widzę ich.

— Kogo? — zapytał spokojnie Cox, nie przestając obserwować zbliżających się pojazdów.

— Wardensona i jakąś kobietę.

— A Karden?

— Tylko tych dwoje. Oddalają się, i to dość szybko.

— Idź za nimi i w dogodnym momencie zwiń Wardensona.

— A ty?

— Chyba nie zostawimy Kardena, co?

— Zostajesz?

— Tak. Mam jakichś gości.

— To znaczy?

— Dwa ekwiparty zbliżają się do domku.

— Muszę już iść, bo znikną mi z oczu.

— Idź! Powodzenia! Spotkamy się tam, gdzie odstawisz Wardensona.

— Trzymaj się, Cox!—głośniczek zamilkł, zaś Cox spostrzegł, że ekwiparty dojechały do domku i zatrzymały się. Z wnętrza pojazdów wysypało się sześciu mężczyzn, którzy sprawnie otoczyli budynek. Cox poczuł zimne dotknięcie strachu. To byli spece.

— No więc — zaczął kapitan znużonym głosem —zwinęliście Matildę razem z tym listem. To już ustaliliśmy.

— Tak.

— O Wardensonie nic nie wiesz?

— Nie.

— Nie wiesz też, gdzie ta Lorret została ukryta?

— Już mówiłem...

— Dość tego! — przerwał mu ostro. — Ostrzegałem cię, Długi. Pamiętaj. Gra idzie o dużą stawkę. I nie zawaham się użyć wszystkich dostępnych mi środków, aby

dojść prawdy. Ale wówczas nie będzie już czasu na prywatne rozmowy. Jesteś przecież inteligentnym chłopcem i powinieneś to zrozumieć —spojrzał na niego i rzekł niedbale: — Zdaje się, że wiem, kim jest twój Sponsor.

— Doprawdy? Niezbyt mnie to interesuje.

— Twój Sponsor postanowił poddać nas próbie.

— Nie rozumiem.

— Jeszcze nie rozumiesz?

— Nie.

— A więc skojarz następujące fakty: dostaliście informację o eksperymencie, o którym wiedział bardzo wąski krąg osób. Ktoś dostarczył wam klucz do zamków szyfrowych w Archiwum „Siódemki”, dostaliście wreszcie najnowszą aparaturę, do której mają dostęp tylko wyżsi funkcjonariusze Służb Specjalnych i członkowie Zespołu. Ale to nie koniec. Prawdopodobnie dostaliście także jeden z naszych zakonspirowanych apartamentów, bo gdzieś tę całą trójkę musieliście ukryć, prawda?

— I co z tego?

— Nic ci nie mówi zestawienie tych faktów?

— Przecież to nie ma sensu...

— Fakty nie mają sensu? — spojrzął przenikliwie na Długiego.

— To by znaczyło przecież...

— No właśnie! — rzekł z odcieniem triumfu.— Daliście się podejść jak dzieci. Bieriecie udział w dość osobliwych manewrach. I wszelkie utrudnianie mi roboty tylko pogarsza waszą sytuację, która i tak, mówiąc szczerze, nie jest dobra. Zbyt dużo wiecie, aby to wszystko mogło rozejść się po kościach. Ale masz jeszcze szansę.

— Ciekawe.

— Twoją jedyną szansą jest współpraca ze mną. Taka gotowość współpracy oznacza dobre rokowania na resocjalizację, czyli mówiąc prościej — krótszy pobyt w Ośrodku. No więc? Może przypomniełeś już sobie adres tego apartamentu? Bo tam trzymacie Matildę, prawda?

Długi spojrzął na niego z pewnym wahaniem, a potem powiedział twardo:

— Nie, nie mogę...

— Dlaczego?

— Jeśli zacznę sypać moich chłopców, to już nic nie będzie ważne.

— Głupstwa mówisz!

— To nie są głupstwa. Czegoś się trzeba w życiu trzymać. Bo inaczej wszystko się wali, wszystko jest bez sensu. To na pewno nie są głupstwa...

— Twoje skrupuły są dziecinne — przerwał mu. — Łatwo byś to pojął, gdybyś tylko postarał się zrozumieć, co do ciebie mówię. To naprawdę twoja ostatnia szansa. Żeby ci ułatwić decyzję, powiem ci, kto się za tym kryje —zrobił pauzę i spojrzał na Długiego, po czym zniżył głos: — Ale to oczywiście między nami.

Długi milczał.

— Wszystko wskazuje na to — ciągnął kapitan — że tym twoim Sponsorem jest mój Szef.

— Generał?

Długi sprawiał wrażenie zaskoczonego.

— Tak — rzekł ze smutkiem kapitan i dodał:

—Widzisz, w co się wpakowałeś? Naprawdę dobrze ci radzę, daj sobie spokój z tymi szlachetnymi odruchami, bo sprawa nie jest tego warta. Ryzykujesz dużo dla kaprysu mojego Szefa, który wykorzystał ciebie i twoich chłopców jak ruchome cele na strzelnicy. Zejdź z linii ognia i sprowadź z niej swoich chłopców, a powiem, że uczyniłeś rozsądnie.

Długi ukrył twarz w dłoniach, zaś kapitan podszedł do automatu i wrócił po chwili z dwiema szklankami.

— Napij się. Dobrze ci to zrobi.

Długi uniósł głowę i rzekł z jakąś ponurą zaciętością:

— Zawsze miałeś rację, bracie. I w szkole, i wtedy, gdy spowodowałeś, że ojcu wybili z głowy te, jak je nazywasz, głupstwa, i teraz, kiedy mówisz, że ojciec jest szczęśliwy, a ja powinienem być rozsądny — podniósł głos: — Ale to zawsze była twoja racja. Twoja, nie nasza ani tym bardziej moja. Twoja—dodał jeszcze raz, po czym ciągnął dalej: — A moja racja jest taka: dobrowolnie podjąłem się zadania, które muszę wykonać, niezależnie od tego, na czyje zlecenie. To jest właśnie moja szansa na zachowanie racji. Nic a nic nie obchodzi mnie zleceniodawca. On jest nieważny. Ważne jest to, co robię, i to, czy potrafię to zrobić. Przerwanie w połowie

to zdrada albo tchórzostwo. Co wolisz.

— Przesada. Ja nazwałbym to rozsądkiem.

— Ale ja lubię nazywać rzeczy po imieniu

—rzekł twardo. — I zadanie wykonam.

— Nie wykonasz.

— To zrobią to moi chłopcy.

— Oni też tego nie zrobią.

— Zobaczymy.

— Zobaczymy — rzucił lakonicznie Vittolini, po czym dodał: — Jedno jest pewne, że nie zmądrzałeś, niestety, a ja wyczerpałem wszelkie środki perswazji. Jest ci widocznie potrzebna pomoc fachowców.

— Jednak oddasz mnie w ich ręce? Jak ojca?

— Czy dałeś mi inną szansę? Nie jestem specjalistą od reedukacji. Oni to zrobią lepiej i w twoim najlepiej pojętym interesie... — nie dokończył jednak, bowiem w tym momencie w drzwiach stanął wywiadowca i zameldował przybycie Sartora z technikami.

— Nareszcie — rzekł kapitan. — Wprowadź ich, a jego wyprowadź.

Wywiadowca podszedł do Długiego i położył mu rękę na ramieniu. Długi wstał i wyszedł prowadzony czujnie przez wywiadowcę. Tymczasem do pokoju wkroczył Sartor, a za nim dwóch techników.

— Widzę, że jednego ptaszka już mamy — powiedział, gdy zamknęły się drzwi. -

— Śpiewał?

— Niezupełnie —odparł z niechęcią Vittolini.

— Musi przejść przez Sekcję Przesłuchań.

— O! — zdziwił się Sartor. — Nie udało ci się go omotać swoją sofistyką? —i nie czekając odpowiedzi, podszedł do aparatów.

— Tak... — rzekł w zamyśleniu. — Ciekawe. Bardzo ciekawe. Kółko się zamyka.

— Czy to są te nasze nowe urządzenia? —zapytał niecierpliwie Vittolini.

— Nawet dziecko by je poznało. Zabezpieczcie odciski — powiedział do techników.

— Pamiętajcie też o ustaleniu fali roboczej. Zresztą sami wiecie, co robić, mam nadzieję. Ciekawe —znów zwrócił się do kapitana — co by się stało, gdyby tak nagle wszyscy członkowie Zespołu musieli nam pokazać swoje urządzenia. Jak myślisz,

komu mogłoby ich zabraknąć?

— Prawdopodobnie nikomu — odparł pochmurny Vittolini.

— Jak to?

— Nasz Szef ma przecież osobistą rezerwę, z której nikt go nie rozlicza — rzekł, patrząc w okno.

Sartor skinieniem ręki odprawił techników, którzy bez słowa wyszli z pokoju. Zbliżył się do Vittoliniego i niemal szeptem zapytał:

— Czy myślisz... Nie, to nie trzyma się kupy...

— Wszystkie poszlaki prowadzą w tym kierunku.

— Ale jednak... — Sartor mówił wolno, jakby z trudem dobierał słowa. — Przecież Szef mógłby wykończyć Martena w o wiele prostszy sposób.

— Ciszej! — syknął Vittolini. — Tu w ogóle nie chodzi o Martena.

— Coraz mniej rozumiem.

— Nie szkodzi.

— Choć już stygnę ze starości — rzekł Sartor kostycznie — to jednak mnie potrzebujesz. Zapominasz, że mogę być równie tajemniczy jak ty.

— Dobrze już, dobrze. Nie licytujmy się. Tu chodzi o nas, a przede wszystkim o mnie.

— To znaczy?

— To znaczy, że Szef sobie urządził ćwiczenia kosztem Martena i jego eksperymentu.

— Ach tak. Ciekawa hipoteza.

— To jest niemal pewne. Tylko takie rozwiązanie wyjaśnia wszystkie poszlaki.

— A dowody? Choć jeden dowód?

— Myślę, że ty, a ściślej, twoi ludzie, dostarczą mi niezbitego dowodu.

— Moi ludzie?

— Tak.

Ludzie Sartora rzeczywiście dostarczyli Vittoliniemu dowodu. Nie był to wszakże ten, którego on oczekiwał.

Webb jechał za nimi, uważnie lustrując okolicę. Już blisko kwadrans podążał ich śladem, a ciągle nie nadarzyła się okazja do działania. Trzymał się za nimi w

odległości pięćdziesięciu metrów. Jechali ekwipartem publicznym, jakich tysiące uwija się po ulicach Apostezjonu. W środku tego pojazdu siedział Wardenson, na którego polowali dzisiaj od samego rana. Ten Karden ma jednak głowę — pomyślał z uznaniem. —Wypłoszył ptaszka z kryjówki i teraz już tylko nadzwyczajny traf mógłby pokrzyżować plany.

Zapadała noc. Rozmyte cienie przedwieczornego zmroku ustępowały zdecydowanej czerni, przecinanej tu i ówdzie smugami jasnoniebieskiego światła z lamp ulicznych.

Ekwipart wiozący Wardensona i tę kobietę odłączył od strumienia pojazdów i skręcił w boczną ulicę. Webb podążył za nimi. Wjeżdżali w dzielnicę parkową opustoszałą o tej porze. Rozejrzał się jeszcze raz i stwierdził, że są sami. Teraz! - - pomyślał i przyspieszył bieg swojego pojazdu. Wyminął jadący przed nim ekwipart i zahamował gwałtownie tuż przed nim. Zajechał drogę tak zrećnie, że automatyczny pilot wozu Wardensona mógł podjąć tylko jedną decyzję: natychmiastowe zatrzymanie pojazdu. Syknęły pneumatyczne bezpieczniki i oba ekwiparty znieruchomiały. O to właśnie Webbowi chodziło. Wyskoczył na ulicę, podbiegł do drzwi, przy których siedział Wardenson, otworzył je i krzyknął:

— Wsiadaj!

Wszystko to stało się w tak krótkim czasie, że dopiero teraz Alma zrozumiała, że są zatrzymani siłą i że ten zwalisty człowiek z twarzą starego dziecka chce jej zabrać Irę. Sięgnęła do tablicy rozdzielczej, ale Webb był szybszy. Rozbił tablicę trzymanym w ręku obezwładniaczem. Nad płataniną szkła i przewodów zatańczyły niebieskie iskry. Pojazd nie nadawał się do dalszego użytku.

— Pospiesz się, kotku! — wycedził Webb, podsuwając Wardensonowi obezwładniacz pod nos. Ira złapał rękę Almy i nie ruszał się. W perspektywie ulicy zamigotały światła zbliżającego się pojazdu.

— Wyłaź wreszcie! —krzyknął jeszcze raz Webb, po czym chwycił go za kombinezon i wywlókł z pojazdu. Ira nie puszczał ręki Almy. Strach całkowicie go sparaliżował. Alma wysiadła za nim.

— A ty po co?—warknął Webb i usiłował ją odtrącić. Ira trzymał ją jednak mocno i nie puszczał. Nadjeżdżający ekwipart był już całkiem blisko, więc Webb, nie namyślając się, wepchnął oboje do swojego pojazdu.

— Teraz bądźcie grzeczni i nie ruszajcie się —wycelował w nich obezwładniacz.— Postawicie w kłopotliwej sytuacji spokojnego obywatela, który pewnie jest gdzieś umówiony i spieszy się. Jeśli zaczniecie robić jakieś sztuki to on też nie dojedzie tam, gdzie zamierzał. Dobrze. Teraz dobrze —ciągnął widząc, że Alma i Wardenson siedzą nieruchomo, choć przygodny ekwipart mijał ich w odległości niespełna dwóch metrów. — Jesteście rozsądni, a ja lubię rozsądnych ludzi.

Kiedy pojazd zniknął za najbliższym zakrętem, Webb wycelował obezwładniacz w kierunku Almy i powiedział niedbale:

— Teraz zmykaj, kotku. Dobranoc.

— Kim pan jest? Jakim prawem...—zaczęła twardo Alma, ale Webb nie pozwolił jej dokończyć.

— Nic ci do tego, kotku. Odejdź w spokoju do swoich. Pewnie już martwią się, że ciebie nie ma. Tylko ten człowiek — spojrzął na Wardensona — tylko on mnie interesuje.

Ira puścił jej rękę i rzekł zrezygnowany:

— Idź, Almo... Opór na nic się nie zda. On jest uzbrojony.

— Ty go znasz? — spytała szybko.

— Nie.

— Domyślasz się, o co mu chodzi?

— Nie mam pojęcia. Wiem tyle, co ty. Idź, to nie ma sensu.

— Nic nie ma sensu, a więc zostaję —rzekła z determinacją. — Nigdzie nie pójdę.

— To będę musiał być niegrzeczny —wtrącił Webb.

— Od kiedy to Służby Specjalne odnoszą się w ten sposób do spokojnych obywateli?

— Służby Specjalne? —Webb zachichotał.

— Pan nie jest specem? —zapytała Alma, patrząc na obezwładniacz.

— Bardzo jesteś ciekawska, panienko. Ja nie lubię ciekawskich. Nigdy nie lubiłem. No, miło się pogadało, a teraz zmykaj!

— Nigdzie nie pójdę! Już mówiłam.

— Almo... —rzekł błagalnie Ira.

— Nie zostawię cię! — krzyknęła.

— Jesteś uparta —rzekł flegmatycznie Webb, po czym na wszelki wypadek dodał: — Niedobrze. To bardzo niedobrze.

Słowa te jednak nie zrobiły na niej najmniejszego wrażenia. Stropił się, bo nie wiedział, co robić. Usunięcie jej siłą narobiłoby niepotrzebnego hałasu. Obezwładnienie i porzucenie byłoby czynem, którego Webb nie podjąłby się za żadne pieniądze. Nigdy nie obezwładniał ludzi, jeśli nie miał pewności, że ktoś szybko przyjdzie im z pomocą. Brak takiej pomocy oznaczał dla obezwładnionego pewną śmierć, a tu, w tej rzadko uczęszczanej okolicy, dziewczyna mogłaby przeleżeć aż do rana. A wówczas byłoby już za późno. Nie, tego Webb nie mógł zrobić. Nie był przecież bandytą. Chciał po prostu uczciwie zarobić duże pieniądze. Z drugiej strony instrukcja nie mówiła nic o tym, że nie wolno łąpać osób w niej nie wymienionych. Podrapał się w głowę i dla pewności jeszcze raz zapytał:

— Na pewno nie chcesz iść?

Alma spojrzała na niego zimno, po czym objęła Wardensona niczym matka swoje dziecko.

— Rozumiem, kotku. Skoro się uparłaś, to pojedziemy razem. Sama tego chciałaś.

Podał automatycznemu pilotowi współrzędne i znów odwrócił się, nie wypuszczając obezwładniacza z ręki.

— Nie cierpię żadnych tam bohaterских sztuczek— rzekł do Wardensona. — Wszyscy na nich źle wychodzą.

Pojazd ruszył.

W drzwiach stanął dowódca patrolu i zapytał urzędowym tonem:

— Kto jest właścicielem tego domu?

— Ja — Colin zerwał się żywo z fotela i rzekł uniżenie: — Proszę, proszę do środka. Czemu zawdzięczam waszą wizytę?

Dowódca wszedł do pokoju, a w otwartych drzwiach pojawił się wywiadowca z ciężkim obezwładniaczem gotowym do działania.

— Wasze nazwisko?

— Colin.

Dowódca spojrzał do wykazu i stwierdził:

— Zgadza się. Mamy nakaz przeszukania kilku domów — sięgnął do kieszeni po dokument i wręczył go Colinowi. — Jest wśród nich również i wasz dom.

Colin pobieżnie zapoznał się z dokumentem i na jego twarzy wykwitł jowialny uśmiech.

— Proszę bardzo. Nie mam nic do ukrywania.

— Czyżby? — dowódca spojrzał na niego, a Colin nie był pewny, czy to zwykłe regulaminowe pytanie, czy też ironia.

— Wszystko stoi przed wami otworem — rzekł prędko. — Wszystko wam pokażę. Czy można wiedzieć, panie dowódco, czego szukacie?

— To się okaże — odparł dyplomatycznie i skinął na wywiadowcę stojącego w drzwiach. Na ten znak wywiadowca wszedł do pokoju i stanął przy drzwiach prowadzących w głąb budynku. Tymczasem dowódca znów zwrócił się do Colina:

— Kim są ci dwaj obywatele?

Colin spojrzał na stojący obok foteli mężczyzn i odparł niedbale:

— To są moi sąsiedzi. Irving Patt i Lopez Marrinho. Mieszkają nie opodal. Spotykamy się od czasu do czasu, aby pogawędzić...

— Wystarczy — dowódca przerwał potok słów, płynący z ust Colina. — Czy jest w tym domu jeszcze ktoś? Uprzedzam, że zgodnie z paragrafem czterdziestym szóstym Kodeksu Moralnego Apostezjonu odpowiedzi niezgodne z prawdą będą wykorzystane przeciwko wam.

Colin spojrzał na Patta i Marrinho, którzy nadal stali nieporuszeni, z kamiennymi twarzami. Zaczął więc niepewnie, jakby miał zamiar zwierzyć się dowódcy z jakiejś wstydlivej tajemnicy:

— Przyplątał się dzisiaj do nas jeden człowiek. Ale to jakiś pomyleniec — dodał zniżonym głosem.— Zupełnie nie wiedzieliśmy, co z nim zrobić. Plótł jakieś głupstwa i zachowywał się...

— Jaśniej! —przerwał mu dowódca.

— Mówił, że Służby Specjalne go, za przeproszeniem, ścigają i chciał, żeby go ukryć.

— Interesujące —stwierdził lakonicznie. —Co dalej?

— Wygadywał na was takie różne rzeczy...

— Jakie, na przykład?

— Aż strach powtórzyć... On jest chyba, panie dowódco, niespełna rozumu. Jak powiedziałem mu, że jestem lojalnym obywatelem i wiem, kogo należy powiadomić, to niemal rzucił się na mnie i zaczął wymyślać jakieś głupstwa...

— Konkretniej!

— Mówił, panie dowódco, że razem z jakimś innym osobnikiem uciekają przed wami, że nie wie, gdzie jest ten jego, za przeproszeniem, kolega, ale chciałby go odnaleźć, bo we dwójkę zawsze raźniej uciekać, i żebyśmy go ukryli, a potem...

— To już mówiliście — przerwał mu dowódca.

—Gdzie go macie?

— Zamknąłem go, bo zaczął zachowywać się jak szaleniec. Chciał stłuc szybę, a potem rzucił się na drzwi, znaczy, zamknięte drzwi. Mieliśmy do was telefonować, ale skoro już jesteście, to nie ma potrzeby.

— Przeprowadźcie go tutaj.

— Ja? — zapytał z bojażnią Colin. — Przecież on może być niebezpieczny dla otoczenia!

Dowódca popatrzył na niego z lekką pogardą, po czym skinął na wywiadowcę i rzekł do Colina:

— Prowadźcie.

— Służę, panie dowódco — powiedział żywo, ruszając w kierunku drzwi. —Że też coś takiego musiało mnie spotkać. Nawet we własnym domu człowiek nie czuje się bezpieczny.

— Przesada — przerwał mu lakonicznie dowódca, podążając za nim. — Po to jesteśmy, aby zapewnić wam bezpieczeństwo i, jak widzicie, jesteśmy zawsze tam, gdzie być powinniśmy.

— Co racja, to racja — Colin nie przestawał mówić ani na chwilę. — Jestem wam wdzięczny, że zadziałaliście tak szybko. Od razu widać, że jesteście fachowcami i nie dostajecie pieniędzy za darmo.

Dowódca patrolu chrząknął i odruchowo poprawił umundurowanie. Zaś Colin ciągnął dalej:

— My, lojalni obywatele Apostezjonu, zawsze służymy wam pomocą w waszej trudnej pracy...

Dowódca spojrział na niego sceptycznie i rzekł:

— Coś tam jednak musieliście przeszkrobać, skoro wasz dom znalazł się na liście. Przed nami nic się nie ukryje —dodał regulaminowo.

— Dawne to czasy, panie dowódco, błędy młodości— odparł, ciągle się uśmiechając, po czym wskazał drzwi:

— To tu.

— Otworzyć!

— Już otwieram —Colin przekręcił klucz tkwiący w zamku.

Dowódca skinął na wywiadowcę, a ten —z obezwładniaczem gotowym do strzału — kopnięciem otworzył drzwi i wskoczył do środka. Za nim wkroczył z godnością dowódca patrolu. Zlustrował pobieżnie wnętrze pokoju i zatrzymał wzrok na stojącym w kącie Kardenie.

— To ten? — zapytał Colina.

— Tak, ten, panie dowódco, jak najbardziej ten — potwierdził skwapliwie.

— Wasze nazwisko?

— Po co wam moje nazwisko? —rzekł ponuro Karden.

— To ja zadaję pytania — skarcił go dowódca.

— Co robicie w tym pokoju?

— Zostałem zamknięty przez tego osobnika — wskazał na Colina, który poruszył się niespokojnie.

— Więc twierdzicie, że ten obywatel wciągnął was siłą z ulicy do tego pokoju i zamknął?

— Odmawiam odpowiedzi.

— Nie potraficie więc wytłumaczyć, skąd wzięliście się tutaj?

— Odmawiam odpowiedzi — powtórzył.

Dowódca dał znak wywiadowcy, który zbliżył się do Kardena, po czym rzekł uroczyście:

— W imieniu prawa zatrzymuję was do wyjaśnienia.

Wywiadowca położył rękę na ramieniu Kardena i pchnął go lekko w kierunku drzwi. Kiedy mijali Colina, Karden wycedził przez zaciśnięte zęby.

— Nigdy ci tego nie zapomnę, kochasiu. Jeszcze się spotkamy.

Colin spojrział na dowódcę patrolu, a w jego wejrzeniu było bezbrzeżne zdumienie dziecka, które chciało zrobić dobry uczynek i zostało za to skarcone.

— Nie ma obawy —rzekł uspokajająco dowódca. —Jeśli wróci, to tylko po to, aby wam szczerze podziękować za to, że umożliwiście mu powrót do społeczeństwa.

— Panie dowódco... — zaczął niepewnie Colin, zaś uśmiech na jego twarzy zastąpiła wyraźna troska. —Ten osobnik wspominał coś o drugim przestępcy...

— Już to słyszałem od was — przez urzędowy ton zaczęły przebijać lekkie nutki zniecierpliwienia.

— Tak, wiem —ciągnął nie zrażony —ale ten drugi... Czy on może jeszcze tutaj przyjść? To okropne spotkać kogoś takiego.

— Nie ma powodów do obaw —przeciął dowódca.— Żaden drugi nie istnieje. Tylko jednego szukaliśmy. I to jest właśnie ten. Możecie być spokojni. A tymczasem zażyjcie coś na uspokojenie. To dobrze wam zrobi.

— Nie omieszka —zapewnił go gorąco Colin, a na jego twarzy znów wykwitł jowialny uśmiech. — Taki byłem zdenerwowany...

— Zdarza się. W razie czego meldujcie. Natychmiast— dodał z naciskiem.

— Ma się rozumieć, panie dowódco. Natychmiast.

Colin odprowadził ich aż do wyjścia. Dowódca zatrzymał się jeszcze na progu i spoglądając sceptycznie na ubiór Colina, rzekł:

— To oczywiście nie moja sprawa, ale dobrze wam radzę, ubierajcie się normalnie. Te ekstrawaganckie szare garnitury... — pokiwał głową. — Dobrze wam radzę, zastanówcie się nad tym i wasi sąsiedzi też niech o tym pomyślą. Wyglądacie jak, nie przymierzając, temporyści. W waszym wieku... —jeszcze raz pokiwał głową z dezaprobatą i wyszedł. Colin, stojąc w drzwiach, widział, jak wywiadowcy ładowali Kardenę do ekwipartu. Z jego twarzy znikł jowialny uśmiech, natomiast pojawiło się napięcie. Stał jeszcze w progu, póki nie odjechali, po czym wrócił do domu. Nie przypuszczał jednak, że odjazd ekwipartów z równą uwagą obserwował ktoś jeszcze.

Kapitan wkroczył do swojego gabinetu i od razu przystąpił do działania. Wezwał przedstawiciela Sekcji Przesłuchań i przekazał mu Długiego z dyspozycją, aby dowiedzieli się od niego, gdzie została ukryta Matilda Lorret i adresowany do niej list. Zgodnie z zamówieniem Vittoliniego, złożonym na urzędowym formularzu, Sekcja Przesłuchań miała także wydobyć od Długiego nazwiska i przypuszczalne miejsca pobytu jego wszystkich współpracowników. I nic ponadto. Wiedział bowiem, że

nadmiar informacji może być równie uciążliwy, jak jej niedostatek.

Załatwiwszy tę sprawę, połączył się z Generałem i zdał mu relację z dotychczasowego dochodzenia. Był jednak, ze zrozumiałych względów, bardzo powściągliwy we wnioskowaniu, gdyż miał świadomość tego, że końcowy wniosek musi być sformułowany w oparciu o niezbite dowody. A tych mu jeszcze brakowało. Jeszcze godzina, może dwie i będzie znał wyniki ekspertyz Sartora. I wówczas pokaże Szefowi, że naprawdę zasługuje na miano zdolnego i błyskotliwego oficera Służb Specjalnych. Toteż niecierpliwił się, że Sartor tyle czasu traci na oględziny, a tymczasem kazał wprowadzić czekającą już od godziny Alice Takuna.

Weszła do gabinetu wprowadzona przez wywiadowcę. Kapitan zaprosił ją do zajęcia miejsca w fotelu po drugiej stronie biurka. Usiadła na brzegu fotela, jak to czynią ludzie, którzy nie czują się zbyt pewnie.

— Przepraszam za spóźnienie — zaczął kapitan.

— Byłem bardzo zajęty. Rozumie pani, służba.

— Rozumiem — przytaknęła pokornie i spojrzała na niego przeciągle.

— Napije się pani czegoś?

— Chętnie.

Vittolini podszedł do automatu z napojami i po chwili wrócił z dwiema szklankami. Jedną podał Alice, drugą postawił przed sobą na biurku.

— Czy wie pani, dlaczego pozwoliliśmy sobie zaprosić panią tutaj?

Nie zdołał jednak doczekać się odpowiedzi, bowiem w tym momencie rozległ się brzęczyk telefonu. Vittolini włączył odbiór.

— Profesor Marten do kapitana Vittoliniego — ozwał się w głośniku niski głos wywiadowcy, który akurat dzisiaj pełnił funkcję sekretarza.

— Jestem teraz zajęty — warknął do mikrofonu.

— Profesor mówił, że to bardzo pilne.

— Słyszeliście, co powiedziałem?

— Tak jest!

— Łączcie mnie tylko wtedy, gdy zadzwoni Szef, Sartor albo Sekcja Przesłuchań.

Dla innych mnie nie ma. Czy to jest jasne?

— Tak jest!

— A Martenowi powiedzcie, żeby tu przyjechał. Koniec.

- Tak jest, koniec —głośnik zamilkł.
- No więc — zwrócił się do Alice, a na jego twarzy ponownie pojawił się uśmiech —zaprosiliśmy panią tutaj w związku z dzisiejszą wizytą pani przyjaciółki.
- Matildy?
- Właśnie.
- Spodziewałam się tego. Skąd wiecie, że ona u mnie była?
- My wiemy wszystko, co należy wiedzieć. Jak moglibyśmy inaczej wypełniać nasze obowiązki wobec społeczeństwa?
- Czy Matilda narobiła jakichś głupstw?
- Wybaczy pani — kapitan starał się być nienagannie uprzejmy —ale to ja chciałbym zadać pani kilka pytań. Po prostu dla formalności.
- Rozumiem —stropiła się —proszę pytać.
- Po co była u pani Matilda Lorret?
- Chciała, abym poszła z nią do Banku po jakiś list. Była w fatalnej formie. Nigdy nie widziałem jej w takim stanie — pociągnęła łyk napoju.
- Zgadza się — stwierdził lakonicznie. — Co mówiła?
- Ach — rzekła z lekceważeniem — to były jakieś słowa bez ładu i składu. Ona była po prostu rozhisteryzowana. Bała się czegoś, tak mi się przynajmniej zdawało, bo czegoż można się dzisiaj bać, jeśli ma się czyste sumienie, prawda?
- Prawda.
- Nie potrafiła albo nie chciała mi powiedzieć, co ją wprawiło w taki lęk. Zdaje się, że potrzeba jej było nie tyle mojej pomocy, co obecności.
- Możliwe. O której to było godzinie?
- Nie patrzyłam na zegar. To był późny ranek. Gdzieś między jedenastą a dwunastą.
 - Zgadza się. Czy mówiła, od kogo jest ten list?
 - Tak — odparła z wahaniem. — Miała jakiegoś chłopaka. Zdaje się, że go kochała. Dowiedziała się dzisiaj, że umarł. Stąd jej nastrój. Pan rozumie?
 - Oczywiście, rozumiem. Czy mówiła, kto to taki? Ten jej chłopak?
 - Nie, nie mówiła. Matilda jest trochę egzaltowana. Mieli się pobrać, czy coś takiego. Czy nie wydaje się panu dziwne, że zakochana para porozumiewa się przy pomocy listów zostawionych w Banku?

— Tak, istotnie byłoby to dziwne, gdyby było prawdziwe.

Alice spojrzała na niego bystro i powiedziała:

— Od razu przypuszczałam, że w szoku plecie głupstwa. Oto do czego prowadzi silne uczucie... Dlatego radziłam jej, aby odpoczęła, wyjechała na jakiś czas na południe Wyspy. Ona z tego wyjdzie

— dodała z przekonaniem — to tylko kwestia czasu.

— Na pewno. Czy mówiła, co może być w tym liście?

— Nie. I chyba naprawdę nie miała o tym zielonego pojęcia.

— To by się zgadzało — mruknął. — Pani z nią nie poszła. Dlaczego?

— Dlaczego? — zawahała się i patrząc w szklankę, rzekła wolno: — Nie byłam sama, kapitanie. Pan to rozumie, mam nadzieję — spojrzała na niego zalotnie.

— Rozumiem, oczywiście — rzekł prędko. — Pani była z jakimś Ivo Caramajo. Czy tak?

— To też wiecie? — uśmiechnęła się. — Nic się przed wami nie ukryje. Aleja, na szczęście, nie mam nic do ukrycia — pochyliła się nad biurkiem, a z jej dekoltu wychylił się kształtny biust. — Jestem dc pańskich usług, kapitanie. Niech pan pyta o wszystko, a odpowiem najlepiej, jak potrafię.

— Dziękuję pani za obywatelską postawę — odparł urzędowo, aby pokryć lekkie zmieszanie. — To na razie wszystko. Dam pani znać, gdy będę pani potrzebował.

— Liczę na to, kapitanie — powiedziała na pożegnanie, co wprawiło Vittoliniego w jeszcze większe zakłopotanie. Wstała i poprawiając kolorową tunikę, wyszła z pokoju tanecznym krokiem.

Vittolini chrząknął i włączył telefon. Z głośnika natychmiast dobył się głos wywiadowcy:

— Słucham, kapitanie.

— Czy Sartor już się odzywał?

— Jeszcze nie, ale przyjechał jeden z patroli. Zdaje się, że przywieźli zgubę.

— Dlaczego od razu nie meldowaliście?! — krzyknął.

— Nie było rozkazu.

Vittolini westchnął i powiedział spokojnie:

— Natychmiast wprowadzić.

— Tak jest!

Po chwili do gabinetu wszedł dowódca patrolu, stanął w regulaminowej postawie i rozpoczął bezbarwnym głosem składać meldunek:

— Patrol operacyjny numer osiem pod dowództwem sierżanta Carreiro penetrował domy w dzielnicy...

— Skończcie z tymi formułkami — przerwał mu niecierpliwie Vittolini. — Kogo macie?

— Nazwisko nie ustalone. Okoliczności zatrzymania wskazują na to, że jest to poszukiwany pacjent profesora Martena.

— Gdzie to było?

— Dom niejakiego Colina.

— Wyciągnęliście coś od niego?

— Chciał właśnie do nas dzwonić, że ukrył się u niego ten osobnik.

— Dobrymi chęciami piekło wybrukowane — mruknął kapitan. — Powiedział coś konkretnego?

— Tylko tyle, że przyszedł do niego i prosił o ukrycie, a Colin go zamknął i zaraz mi go ujawnił.

— Gdzie jest zatrzymany?

— Tu obok — dowódca patrolu wskazał drzwi, którymi przed chwilą wszedł.

— Wprowadzić!

— Tak jest! — dowódca wyprężył się i sztywno wymaszerował z gabinetu.

Minęło zaledwie kilka sekund, gdy pojawił się znowu, tym razem w towarzystwie Karden. Na twarzy kapitana odmalowało się rozczarowanie.

— Podejdźcie bliżej — skinął ręką.

Karden obejrzał się, jakby nie był pewny, czy słowa te odnoszą się do niego. Dowódca patrolu pchnął go i Karden podszedł wolnym krokiem do biurka.

— Wasze nazwisko?

Karden spojrzał nań wyzywająco i zapytał:

— Czy jestem zatrzymany?

— Nie dostrzeegliście tego jeszcze?

— Pod jakim zarzutem?

— Widzę, że nie pierwszy raz jesteście w takiej sytuacji. To zresztą oczywiste, przecież Długi — spojrzał badawczo na Karden — nie mógł werbować do roboty

nowicjuszy. Ale zabawa już się skończyła — podniósł głos: — To wy napadliście na funkcjonariusza Służb Specjalnych w czasie pełnienia przez niego obowiązków służbowych. Tak?

— Odmawiam odpowiedzi.

— Odmawiacie? —Vittolini spojrzał na dowódcę patrolu i rzekł ostro: — Przyrowadzić Swena!

— Tak jest! — odparł służbiście sierżant Carreiro.

— Długiego już mamy. Teraz ciebie, a niebawem całą resztę.

— Nie znam żadnego Długiego.

— Wasze nazwisko?

— Karden.

— Już lepiej. Nie znacie Długiego. A to się zdziwi, jak mu o tym powiem. Gdzie nakrył cię nasz patrol?

— Nie wiesz? — Karden dalej był wyzywający.

— Jak ty się odzywasz do oficera Służb Specjalnych?! — kapitan ponownie podniósł głos.

— A jak ty traktujesz spokojnego obywatela Apostezjonu?

W tym momencie otworzyły się drzwi i stanął w nich Swen. Na szyi wykwił mu w międzyczasie pokaźny siniak. Stanął przed Vittolinim i zameldował się, a ten zamachał ręką, jakby opędzał się od natrętnej muchy, i zapytał:

— To ten?

Swen spojrzał uważnie na Kardena i stwierdził:

— Ten bez wątpienia. Powinien mieć jakiś ślad na prawym ramieniu. Na pewno tam go sięgnąłem.

— Rozbieraj się! — rozkazał Vittolini, po czym dodał z ironią: —Ty, spokojny obywatelu...

— Po co te nerwy, kapitanie — odparł Karden. — Istotnie, miałem przyjemność posprzeczać się z tym panem, ale skąd mogłem wiedzieć, że to wasz funkcjonariusz, i to w dodatku na służbie?

— Śledziliście Wardensona. Po co?

— Nie znam człowieka.

— Gdzie ukryliście Matildę Lorret?

- Nie wiem, o czym pan mówi, kapitanie.
- Nie wiecie? —głos Vittoliniego zadrgał złowrogo.
- Nie —odparł Karden, spoglądając nań niewinnie.

Kapitan pochylił się nad biurkiem i zaczął wypełniać jakiś formularz, który po chwili wręczył Swenowi:

- Odprowadzić do Sekcji Przesłuchań!
- Tak jest!

Karden wstał i bez słowa skierował się do wyjścia. Vittolini rzucił za nim:

- Tam szybko odzyskasz pamięć.

Ledwie zamknęły się za nimi drzwi, odezwał się brzęczyk telefonu.

- Słucham —rzekł opryskliwie.
- Sartor do kapitana Vitoliniego.
- Masz coś?
- Wiem już, komu brakuje aparatów służbowych.
- Komu?
- Wardensonowi.
- Ktoś podczas jego nieobecności zajął się nimi — ni to stwierdził, ni zapytał.
- Zidentyfikowaliśmy także odciski palców.
- No? — ponaglił. — Słucham!
- Trzy rodzaje rąk dotykały tego sprzętu.
- Powiedz mi wreszcie!

— Jeden tego ptaszka, którego przyłapałeś, drugi niejakiego Kardena. Jest w naszych kartotekach. Pewnie też należał do tej bandy —powolność, z jaką Sartor wymawiał poszczególne słowa, wydawała się Vittoliniemu po prostu złośliwa.

- A trzeci? Co z trzecim? Co z trzecim? Miałem rację?
- Obawiam się, że nie.
- A zatem kto?
- Wardenson.
- Jednak on?
- Przecież mówię wyraźnie.

Matilda otrząsnęła się z odrętwienia, kiedy w pokoju było już ciemno. Podeszła do

okna. Przed nią rozpościerała się łuna świąteł. Mieszkańcy Apostezjonu kończyli kolejny dzień życia, podobny do dnia wczorajszego i nie inny od jutrzejszego. Dla niej jednak był to dzień, jaki trafić się może raz w życiu. Splot zdarzeń pochłonał ją, wessał w swoje trzewia.

Jeszcze raz spojrzała w dół. Pod nią była przepaść. Dostrzegła w windzie, że eskortujący ją mężczyźni powieźli ją na dziewięćdziesiąte dziewiąte piętro. Nie była to kondygnacja mieszkalna. Takie przynajmniej wrażenie sprawiał łamany korytarz, biegnący dookoła szybów windowych. Sądziła początkowo, iż rząd jednakowych, metalowych drzwi oznacza, że wjechali na poziom gospodarczy, którym przedzielano-zwykle każde dziesięć pięter mieszkalnych. Wrażenie to potęgowały liczne napisy przeciwpożarowe, stanowiące jedyną ozdobę ścian. Jednak wnętrze pomieszczenia, do którego ją wprowadzono, było urządzone wygodnie, a nawet — można by rzec —komfortowo. Na podłodze leżał puszysty dywan; podobną tkaniną wyłożone były wszystkie miejsca do leżenia i siedzenia. W przestronnym holu, urządzonym w stylu wczesno-postindustrialnym, mieścił się samoobsługowy barek z dziwacznymi, wysokimi fotelikami, zaś ściany zastawione były aluminiowymi regałami, pełnymi książek. Matilda dokładnie zapamiętała wygląd tego holu, gdyż mimo całego oszołomienia biegiem wydarzeń uderzył ją wystrój wnętrza, tak niespotykany w dzisiejszych czasach. Zapamiętała też, że w holu znajdowały się wejścia do trzech pokoi, bo tyle drzwi przedzielało szklane tafle regałów bibliotecznych. Zamknięto ją w jednym z tych pokoi.

Przez otwarte okno zaczął wkradać się chłód. Zamknęła je i zapadła w głębokim, puszystym fotelu, który posłusznie przystosował się do pozycji, jaką przyjęła. Cichy, jednostajny szum miejskiego mrowiska ustąpił delikatnej wibracji urządzenia klimatyzacyjnego.

Może o mnie zapomnieli? —pomyślała z niepokojem i zaraz uświadomiła sobie, że równym niepokojem napawa ją przekonanie, iż o niej nie zapomnieli. Poczła niemily dreszcz, przebiegający po plecach. Pochyliła się do przodu i wsparła głowę na dłoniach. Fotel natychmiast przystosował się do jej nowej pozycji.

Nawet list mi zabrali... — pomyślała z żalnością i znów poczuła w piersi ów wzbierający spazm, który łatwo mógł się wyzwolić spod jej kontroli i zamienić w płacz. Podniosła się ciężko z fotela i podeszła do automatu, który nappełnił jej

szklankę złotawym napojem. Jestem już znużona — pomyślała, wracając wolno ze szklanką w rękę. — Jestem znużona czekaniem. Nie wiadomo na co — drgający gdzieś w środku spazm ustąpił po pierwszych łykach, ale wcale nie poczuła się lepiej.

— Alberta już nie ma — powiedziała głośno, ale usłyszała tylko dźwięki; ich sens nie docierał do jej świadomości. Tyle razy powtarzała sobie to zdanie, że jego treść poczęła się zacierać, ulatniać, aż wreszcie pozostały tylko puste dźwięki. Nic ponadto. Zupełnie nic. Zaniepokoiło ją to zjawisko, bowiem poczuła, że zaczyna ono obejmować również ją samą, jej poczucie tożsamości... Zdało się jej, że roztapia się w mroku, staje się jego częścią, przeistacza się w coś równie niestałego, jak przedranny opar mgły.

Światło, zapomniałam zapalić światła — pomyślała leniwie. — Gdy zapalę światło, wszystkie urojenia pierzchną. Zostanie tylko rzeczywistość. Muszę zapalić światło.

Nie ruszała się jednak z fotela, bo nagle ta prosta, banalna czynność wydała się jej zadaniem nierealnym, przekraczającym jej siły. Nie mogę się poddać — myślała — muszę zapalić światło — zmusiła się do wstania i podeszła do wyłącznika. Pokój wypełnił się po brzegi pomarańczowym blaskiem. Przymknęła szybko oczy, bowiem światło wydawało się jej zbyt jaskrawe. Otworzyła je po chwili. Już było lepiej. Wszystkie sprzęty stały na swoim miejscu, a sztuczne światło wyraziściej niż dzieńne wydobywało z nich pełną gamę kolorów, z jakiej z upodobaniem korzystał przemysł Apostezjonu.

— Alberta już nie ma — powtórzyła głośno zdanie-test, ale ponownie jego wynik okazał się negatywny. Nie słyszała nic poza dźwiękami. Muszę przywrócić sens wypowiedzianym słowom — myślała — muszę, bo inaczej zwariuję. Muszę mówić głośno dopóty, dopóki znów nie usłyszę tego, co znaczą słowa.

— To jest fotel — rzekła wolno, ale tama między formą a treścią pozostała nie naruszona.

— To jest okno — znów bez skutku.

Usiadła w fotelu i zatopiła twarz w dłoniach. To nie mogą być zdania codzienne. Muszą być wypełnione sensem po brzegi, sens musi je rozsadzać. Tylko takie słowa mogą mi pomóc. Poezja, tak, poezja składa się z takich słów. Przypomniał się jej wiersz, który Albertowi podobał się najbardziej z całego tomiku, który kiedyś jej pokazywał. Nauczył się go na pamięć, a ona przy okazji też, choć nie bardzo jej się

akurat ten wiersz podobał. Zaczęła głośno mówić, wolno skandując słowa:

Zwieszony łeb

Nisko, tuż nad potarganą koleiną

Z pyska cieknie ślina

W piach chłonny

Jak kobiece łono

Wrzask, trzepot skrzydeł

To nic, to tylko wrony

Obsiadły dziką gruszę

Jeszcze masz czas

Droga pnie się stromo

Stój!

Ja muszę...

Stój!

Słyszysz? Zboża szeleszczą

Kłos całuje się z kłosem

Miedzą zbliża się półmrok

Ogarnie cię, odłączy od wozu

Trawa ubierze się w rosę

I będzie ci dobrze

Odpoczniesz...

Odpoczniesz? — zastanowiła się. —To znaczy umrzesz— stwierdziła z przerażeniem. —Albert przeczuwał swoją śmierć. Jakżeby inaczej polubił tak pesymistyczny wiersz. Tak, na pewno coś przeczuwał. Przecież napisał do mnie list. Przeczuwał, że czeka go coś niedobrego, a może nawet... wiedział?

Sięgnęła po fiolkę i zażyła pastylkę orzeźwiającą. List. Gdzie może być ten list? Zabrał go ten obleśny grubas. Schował go do kieszeni. Tak, do kieszeni. Pamiętała szarą kopertę, która nie mieściła się w kieszeni kombinezonu. Jeszcze w windzie wpatrywała się w ten skrawek koperty, pognieciony grubymi palcami tego człowieka. Miała do niego żal, który musiała stłumić ukradkowym zażyciem pastylki.

Wprowadził ją do pokoju ten drugi. Grubas został w przedpokoju. Potem wszedł

do pokoju i przynaglił tamtego. I wtedy... Tak, była tego pewna, jego kieszeń była pusta.

A więc prawdopodobnie zostawił tę nieporęczną kopertę gdzieś tutaj. Podeszła do drzwi i nacisnęła klamkę. Bezskutecznie. Wiedziała, że jest zatrzaśnięta, ale bezczynne czekanie było ponad jej siły. Zaczęła oglądać mechanizm zamka. Był to zwykły, seryjny zatrzask, w jakie wyposaża się niemal wszystkie mieszkania na Apostezjonie. Rozejrzała się po pokoju, ale nic nie nadawało się do manipulacji przy mechanizmie. Wówczas przypomniała sobie, że kołnierzyk jej koszuli jest usztywniony srebrnym drutem. Zdjęła szybko koszulę, wypruła drut i zaczęła nim dłubać w zamku; początkowo niecierpliwie, a potem coraz spokojniej.

Po chwili zamek ustąpił. Otworzyła drzwi i weszła ostrożnie do holu. Rozejrzała się uważnie i poczuła nagle falę gorąca ogarniającą jej ciało. Na ladzie barku leżała rzucona niedbale szara koperta. Chwyliła ją i wycofała się do swojego pokoju. Usiadła w fotelu i lekko zwilgotniałymi palcami rozerwała kopertę. W środku była kartka papieru gęsto zapisana charakterystycznym pismem maszyny Alberta:

Droga Mad.

Wybacz, że od razu nie powiedziałem ci wszystkiego, ale nie mogłem. Z kilku powodów, które wyjaśnię Ci za chwilę. Zacznę jednak od rzeczy najważniejszej. Skoro ten list dotarł do Ciebie, to znaczy, że przytrafiło mi się coś, z czym liczyłem się, ale czego bardzo pragnąłem umknąć. Przede wszystkim dlatego, że Cię kocham i nie chciałbym utracić.

Jestem, a właściwie — gdy czytasz ten list —byłem członkiem Zespołu Ekspertów. Wiesz, co to znaczy, i to jest pierwszy powód mojego milczenia. Zespół Ekspertów postanowił pozbyć się mnie, ponieważ moje zarzuty dotyczące dotychczasowej jego działalności okazały się trudne do odparcia logicznymi argumentami, zaś moje projekty zmian były zbyt radykalne, aby można było przejść nad nimi do porządku dziennego i zakwalifikować je jako zwykłą wymianę myśli. Trudno mi pisać te słowa, kiedy wszystko jest jeszcze możliwe, a szansa sukcesu umiarkowana, ale uzasadniająca ryzyko. Muszę jednak pisać w czasie przeszłym dokonanym, bowiem w przypadku sukcesu tego listu po prostu nie dostaniesz. To był drugi powód, który zmuszał mnie do dyskrecji.

Jeśli jednak przegram, co przecież jest prawdopodobne, to czeka mnie pobyt w Ośrodku szczególnie intensywnej resocjalizacji albo też zostanę poddany pewnemu zabiegowi, na który od dawna ma ochotę Marten, ale ciągle nie może doczekać się pacjenta. Pierwsza możliwość jest równie prawdopodobna, jak druga. Pobyt w Ośrodku nie wymaże Ciebie z mojej pamięci. Jednak zabieg Martena, jak słyszałem, może skasować pewne fragmenty pamięci i na ich miejsce wprowadzić nowe, fikcyjne zdarzenia z przeszłości. Jeśli Zespół pozwoli Martenowi na ten eksperyment, to prawdopodobnie tylko Ty będziesz dla mnie pomostem między moją terażniejszością i autentyczną przeszłością; jedynie Ty będziesz mogła pomóc mi w odnalezieniu tożsamości.

Tak czy inaczej nie ma już dla mnie miejsca na Apostezjonie, bo Zespół nigdy nie zapomni mi tego, że miałem rację. Rozdzielą nas, a właściwie już to zrobili. Ale postanowiłem walczyć mimo przegranej, walczyć tym razem o prawo do własnego życia. Dlatego też wynająłem kilku ludzi, o których dowiedziałem się, że są bystrzy i mają swoje powody, żeby nie lubić speców, szczególnie jeden z nich, co zwiększa prawdopodobieństwo realizacji mojego planu. Dałem im dyspozycje, aby na wypadek zabiegu zetknęli nas razem w jednym z licznych zakonspirowanych apartamentów naszych Służb Specjalnych. Takie miejsce wydało mi się najbezpieczniejsze. Dodałem im także dyspozycję, aby sprowadzili tam Martena. Muszę mieć pewność, że jego eksperyment nie uczynił lub nie uczyni ze mnie szaleńca.

Jeśli więc, Matildo, ktoś nieznajomy przewiezie Cię w nie znane Ci miejsce, nie obawiaj się. Być może będzie to miejsce naszego ponownego spotkania.

Jeśli wymknę się spod ich opieki, będą mnie ścigać. Dlatego przygotowałem niezbędne środki do ewakuacji za morze, na kontynent. Będę szczęśliwy, jeśli zechcesz ze mną dzielić los tułacza. Jeśliby jednak los taki miał Cię unieszczęśliwić, zostaniemy i zdamy się na los szczęścia. Błagam, Mad, podejmij decyzję dopiero po spotkaniu ze mną. Może się przecież okazać, że spotkasz całkiem obcego człowieka.

Kocham

Albert

PS.: Przekazuję ci brzmienie hasła, które przyda się, gdy się spotkamy: Nazywam się Albert Wardenson.

Matilda skończyła czytać. Teraz wszystko rozumiała. Wszystko było jasne i pełne sensu, nawet zachowanie tego grubasa. Podeszła do automatu z napojami i wtedy usłyszała w holu jakiś ruch. Z radosnym uśmiechem skierowała się w stronę drzwi.

Cox spojrzął nerwowo na zegarek. Webb będzie na miejscu nie wcześniej niż za pół godziny. Przez ten czas oni dowiozą Kardena do Kwatery Głównej i zaczną go maglować. Karden nie będzie sypał, ale przecież oni mają swoje sposoby, żeby nawet najodporniejszych nauczyć mówić. A więc dowiedzą się od niego, jaki jest adres apartamentu, w którym zamknęli Matildę Lorret i Wardensona. Dowiedzą się, ale trochę czasu im zejdzie. A to było w tej chwili najważniejsze. Wyliczył sobie, że zostały mu przynajmniej dwie godziny, nawet gdyby spece lecieli wirolotem. Była zatem szansa uratowania tamtych.

Cox zerwał się i zaczął biec w stronę swojego ekwipartu. Musiał koniecznie skontaktować się z Długim, jeśli go jeszcze nie zgarnęli. Gdzieś w zakamarkach świadomości tliła się ciągle nadzieja, że poprzednio Długi po prostu gdzieś wyszedł, że nie była to wpadka.

Był mocno zdyszany, kiedy dopadł swojego pojazdu. Rzucił się na siedzenie i włączył radio. Z głośnika rozległ się jednak tylko szum. Już miał się rozłączyć, gdy usłyszał obcy, ostro brzmiący głos:

— Słucham!

Poczuł, że cierpie mu skóra. Czym prędzej wyłączył aparat i zażył pastylkę uspokajającą. To nie był głos Długiego. A zatem... Zastanowił się chwilę, po czym podał automatycznemu pilotowi współrzędne z dyspozycją maksymalnie szybkiej jazdy. Pojazd ruszył z piskiem opon, a nagle przyspieszenie wgniotło Coxa w oparcie fotela.

Dogonił Webba tuż przed wieżowcem, w którym mieścił się apartament. Wysiedli razem i jeszcze w windzie, nie zważając na obecność Wardensona i tej kobiety, zdał Webbowi relację. Ten podrapał się w głowę i rzekł tylko:

— Niedobrze. Bardzo niedobrze. Mamy mało czasu. Niewiele ponad półtorej godziny.

— A co z Martenem? Mieliśmy przecież...

— Nie wygłupiaj się. Teraz trzeba troszczyć się

o własną skórę. Dostarczamy Wardensona, bierzemy pieniądze i już nas nie ma. Dość mam tej gonitwy. Jestem już chyba za stary czy co...

— Ale umowa...

— Umowa, umowa... Nie wystarczy ci wpadka Długiego i Kardena? Chciałbyś jeszcze nas wpakować do Ośrodka? —zdenerwował się i sięgnął po pastylkę uspokajającą.

— W porządku, Webb —rzekł spokojnie Cox.

— Uczciwie zarobiliśmy te pieniądze. Należą się nam. — Po chwili milczenia dodał: — Jak myślisz, dlaczego Sponsor polecił nam odwiedzić ich do portu?

— Pewnie chce go wywieźć za morze. Zresztą, skąd mogę wiedzieć? —pastylka najwyraźniej nie zaczęła jeszcze działać.

— Może byśmy — Cox zniżył głos —zabrali się z nimi?

Webb spojrział na niego bystro.

— To jest pomysł —ożywił się. —Ale jak skontaktować się ze Sponsorem?

— Po co? Wystarczy chwilę z nim porozmawiać —wskazał spojrzeniem Wardensona stojącego w drugim końcu windy razem z Almą.

— Myślisz? —upewnił się Webb.

Cox skinął głową.

— Pamiętasz, jak to było w instrukcji? W hotelu ten facet ma powiedzieć jakies hasło i wtedy dostaniemy resztę pieniędzy. Czy tak?

— Mhm — mruknął Cox—tak właśnie było.

Winda zatrzymała się. Wjechali na dziewięćdziesiąte dziewiąte piętro.

— Jesteśmy w domu — rzekł Webb do Wardensona i Almy, usiłując nadać swemu głosowi żartobliwy ton. —Wysiadamy.

Pierwszy wyszedł z windy Cox, zaś Webb zamykał pochód.

Ira ze zdumieniem spojrział na rząd jednakowych, metalowych drzwi. Nigdy tutaj nie był. Wiedział na pewno, a jednak miał niejasne wrażenie, iż widok tego korytarza nie jest mu obcy. Wydawało mu się przez chwilę, że widział ten korytarz we śnie, ale zaraz odrzucił tę myśl jako niedorzeczną.

Idący z przodu mężczyzna otworzył jedno z drzwi i gestem zaprosił ich do środka. Gdy przekroczyli próg, Ira złapał Almę za rękę i szepnął:

— Znów się zaczyna.

— Co?

— Halucynacje. Wydaje mi się, że znam to pomieszczenie, a zarazem wiem na pewno, że jestem tutaj po raz pierwszy. Te regały... Almo, to okropne... Ja je chyba widziałem kiedyś we śnie. Były takie same i stały dokładnie tak samo.

— Uspokój się, kochany, jestem z tobą — szepnęła ciepło i pogładziła go po policzku.

W tym momencie otworzyły się drzwi jednego z pokoi i w progu dostrzegł kobietę patrzącą na niego rozszerzonymi oczyma. Kobieta zbliżała się wolno, ale po kilku krokach podbiegła do niego, zarzuciła mu ręce na szyję i zaczęła obsypywać go pocałunkami. Chciał odsunąć się od niej, ale ona przywarła do niego mocno, niczym ptak po ciężkim locie do konaru drzewa, i szeptała jakby w gorączce:

— Żyjesz, Albert, żyjesz, kochany... — Słowa te mieszały się z pocałunkami i spazmatycznym, tłumionym szlochem.

Wówczas Ira usłyszał głos otyłego mężczyzny:

— No, dość tego mazgajstwa, bo sam się rozplączę. Spece depczą nam po piętach, a im na amory się zebrało.

Był mu wdzięczny, że uwolnił go z tej kłopotliwej sytuacji. Chciał to nawet powiedzieć, ale mężczyzna ciągnął dalej:

— Nie ma czasu do stracenia. Podaj hasło, bierzemy swój zarobek i zmykamy.

— Kto ma podać hasło? —zapytał Ira, choć wiedział, że grubas mówi do niego.

— Jak to, kto? Ty, tak było napisane w instrukcji.

— W jakiej instrukcji?

— Nieważne. Podaj hasło.

— Nie znam żadnego hasła.

— Nie żartuj z nami, Wardenson — głos Webba zabrzmiał złowrogo. — Naprawdę nie mamy czasu na przekomarzania.

— Panowie! To jakaś pomyłka! Nazywam się Dogow. Ira Dogow. Almo, powiedz im, że się mylą. To jakieś nieporozumienie. Chcecie mnie w coś zrobić!

— Spokojnie —odezwał się ten drugi. — Niech się pan nie denerwuje. Może pastyleczkę?

— Dziękuję, mam swoje —wyjął fiolkę i zażył pastylkę.

Wówczas odezwała się ta nieznajoma kobieta:

— Albert, kochany, co oni z tobą zrobili? Nazywasz się Wardenson. Albert Wardenson.

— Nazywam się Albert Wardenson —zdumiał się, a na dźwięk tych słów jeden segment regału otworzył się, ukazując skrytkę między książkami.

— Sponsor jest punktualny — rzekł grubas, ruszając w kierunku otwartej skrytki.
— Bierzemy forszę, Cox.

— Czy ktoś wreszcie wytłumaczy mi, co się tu dzieje? —zawołał Ira. —Almo, ja chyba znowu mam halucynacje.

— Nie, Ira — odparła ze smutkiem Alma. — To wszystko dzieje się naprawdę.

— Tu jest jeszcze list od Sponsora — zawołał Webb. — Poznaję, to jego maszyna. Masz, czytaj

—podał Coxowie kartkę papieru.

Cox zaczął głośno czytać:

Dziękuję wam za wykonanie trudnej roboty. Do niniejszego załączona jest ostatnia rata wynagrodzenia. Mam nadzieję, że mimo wypłaty odtransportujecie nas do portu.

Wasz Sponsor

Albert Wardenson

Skończył i spojrzał zaskoczony na Wardensona. W holu zapanowało milczenie. Wszyscy patrzyli teraz na niego, a on rozglądał się bezradnie, aż wreszcie napotkał oczy Matildy.

— Almo... — zaczął, ale nie wiedział, co powiedzieć.

Webb zbliżył się do niego i zapytał ostrożnie:

— Czy pan, czy... — szukał wzrokiem pomocy Coxa, ale ten milczał. Westchnął więc i zapytał wprost: —Czy weźmie nas pan ze sobą za morze? Długi wpadł, Karden też. Nie mamy o to pretensji, ot, ryzyko zawodowe... Ale nie chcielibyśmy ryzykować bez potrzeby. A tu tylko czekać, jak dobiorą się nam do skóry.

— O czym pan mówi? Gdzie ja mam was wziąć?

— Napisałeś do mnie list — rzekła Matilda.— Jeszcze przed tym wszystkim. Przygotowałeś się na ewakuację. Masz, czytaj. — Podała mu kartkę.

Przeczytał ją i poczuł, że nogi odmawiają mu posłuszeństwa. Usiadł ciężko w fotelu. Wszystko zaczynało się zazębiać. Wszystko się zgadzało. Nawet to imię. Matilda... Chyba to imię wykrztusił z siebie wtedy w podziemiach domu Colina. Czyżby więc właśnie Matilda była ową nieuchwytną kobietą bez twarzy, kobietą nawiedzającą go w majakach... Spojrzał na nią, na jej zaczerwienione, pełne udręki oczy. Chciał dotknąć jej twarzy, zetrzeć z niej łzy i zobaczyć, jak ona wygląda naprawdę. I wówczas dostrzegł, że Alma patrzy na niego ze smutkiem. Zrobiło mu się jej nagle bardzo żal.

— Dlaczego milczysz, Almo?

— A cóż mam powiedzieć? —odparła.

— Nie mam zamiaru nigdzie jechać. Nigdy mi taka myśl nie przyszła do...— przerwał i chrząknął zakłopotany.

— Decydujcie się prędzej! —niecierpliwił się Webb. —Adres tego lokalu był znany Długiemu i Kardenowi. Wycisną z nich ten adres jak sok z cytryny. Może już jadą.

— Zdecydowałem — powiedział wolno. — Nigdzie nie jadę. Nie mogę opuścić Wyspy. Tu gdzieś jest moja przeszłość.

— Złapią cię, Albert —jęknęła Matilda. —Znów nas rozdziela.

— Powiedziałem już, że nigdzie nie jadę — rzekł dobitnie, jakby tą jedną decyzją chciał zapanować nad sytuacją.

— To i ja zostanę —rzekła Matilda z determinacją.

— Przyłączcie się do nas —wtrąciła Alma. —Teraz was nie znajdą.

— Dziękuję ci, Almo. To dobra myśl, prawda... —zawahał się jak człowiek, który po raz pierwszy ma zwrócić się do kogoś po imieniu. —To dobra myśl, prawda, Matildo? Wszak tobą też interesują się Służby Specjalne.

— Miała nielichą obstawę —wtrącił Webb i dodał:— Jedziecie wreszcie?

— Tak, tak —powiedział prędko Wardenson — ale nie do portu.

— Taka szansa ma się zmarnować...—jęknął Webb.

— Weźcie łódź, niech wam służy jak najlepiej.

— Dziękujemy, Sponsorze — odetchnął z ulgą Cox.—Tutaj są kopie taśm z tego zabiegu. Mogą się panu przydać —wręczył mu kasety, po czym szybko wyszedł z holu, a za nim podążył Webb.

Zostali we trójkę. Wardenson spojrzał na Matildę, potem na Almę i powiedział:

— I my musimy już iść.

Zjeżdżali w milczeniu. Nazywam się Wardenson —myślał. —Jaki on był? Dlaczego podjął tak duże ryzyko? O co mu chodziło? Chyba ją kochał? — spojrzął ukradkiem na Matildę i poprawił się w myśli: — Chyba ją kochałem? Znalazłem ścieżkę do swojej przeszłości. Muszę tę przeszłość odbudować. Tylko ona może mi w tym pomóc. Ona, jej miłość, która być może przywróci to, co zostało wymazane z mojej pamięci —jego mózg otrząsnął się już z szoku i zaczął precyzyjnie pracować. —To dlatego doprowadziłem do tego spotkania. Ale czy tylko dlatego? Może chodziło mi również o stworzenie szansy na kontynuację przeszłości?

Zjechali na parter i wyszli na chodnik. Rozejrzał się i dostrzegł zaparkowany nieopodal ekwipart publiczny.

— Idziemy —powiedział krótko i skierował się w stronę pojazdu. Obie kobiety podążyły za nim.

Gdy wsiedli do wozu, Alma zapytała z niepokojem:

— Dokąd jedziemy?

— Przed siebie — odparł. — Muszę sobie wszystko uporządkować. Po prostu muszę, bo inaczej...

Nie dokończył jednak, tylko nastawił automatycznego pilota na jazdę spacerową. Pojazd ruszył, wybierając losowo trasę w płątanie ulic Apostezjonu.

— Matildo, powiedz mi, jaki był Wardenson? — po krótkiej chwili wahania dodał: —Jaki byłem przed zabiegiem?

— Jaki byłeś?

— Idiotyczne pytanie —przyznał.

— Albercie —rzekła Matilda — tego się nie mówi, ja wiem, to się czuje, ale - spojrzła na Almę, która zaczęła patrzeć przez okno — ale muszę ci to powiedzieć. Chcę, żebyś wiedział... Kochałam cię i nadal kocham, bez względu na to, co z tobą zrobili. Kocham cię tak mocno jak wtedy, a może nawet mocniej — i dodała ciszej:— Ty też mnie kochałeś. Mieliśmy się pobrać...

To jest ona —myślał. —To musi być ona, jeśli jednocześnie nie kochałem dwóch kobiet. To ona ulatywała ode mnie, kiedy była tuż, tuż. To jej twarz należałoby wpisać w tę kobiecą, fantasmagoryczną sylwetkę. Te wizje nie mogły powstać same z siebie. Musiały wyrastać z mojej przeszłości. Musiały...

— Matildo, powiedz mi, bez względu na to, jak dziwne wyda ci się to pytanie, czy my... czy ja... Nie, inaczej —mówił z wysiłkiem —czy mówią ci coś takie rzeczy, jak koń, stary, spracowany, stęskający koń albo drzewo, takie zwykłe polne drzewo, jakie spotyka się w skansenach rolniczych? Czy mieliśmy zwyczaj odpoczywać pod takimi drzewami, czy mieliśmy zwyczaj jeździć zaprzęgami konnymi albo coś w tym rodzaju... Nie wiem, jak to jaśniej powiedzieć, ale...

— On miał halucynacje —wtrąciła Alma. —Przy mnie też. Jakieś drzewo, które obsiadły ptaki, kobieta znikająca w drzewie. Czy kojarzy ci się to z czymś?

— Zaraz, zaraz, poczekajcie —Matilda potarła czoło. — Ptaki, drzewo, koń, koń spracowany...

— Tak —rzekł niepewnie. —Chyba tak, nie widziałem go, tylko słyszałem.

— „Zwieszony łeb” — zaczęła deklamować — „nisko, tuż nad potarganą koleiną...”

— „Z pyska cieknie ślina” — dodał z wysiłkiem.

— Wracasz, Albert, wracasz! „W piach chłonny jak kobiece łono” — przerwała, a on dodał bezwiednie:

— „Wrzask, trzepot skrzydeł...”

— „To nic” — powiedziała Matilda — „to tylko wrony obsiadły dziką gruszę. Jeszcze masz czas”.

— „Droga pnie się stromo”.

— „Stój!”—zawołała.

— „Ja muszę...” — odparł z wysiłkiem.

— „Stój!” — powtórzyła jeszcze raz, po czym dodała ciepło: — „Słyszysz? Zboża szeleszczą, kłós całuje się z kłosem...”

— „Miedzą zbliża się półmrok”.

— „Ogarnie cię, odłączy od wozu” — mówiła coraz szybciej. — „Trawa ubierze się w rosę.”—po czym ciągnęła z przekonaniem: — „I będzie ci dobrze; odpoczniesz...”

— Odpoczniesz, odpoczniesz —powtórzył za nią.

— Co to było, Matildo?

— Twój ulubiony wiersz. Pokazywałeś mi kiedyś tomik wierszy. Ten wiersz tak ci się podobał, że nauczyłeś się go na pamięć.

Poczuł przyływ wruszenia. Sięgnął po pastylkę uspokajającą.

— Nie wiem, jaki byłem, nie wiem, jaki jestem, i nie wiem, jaki będę. Czy to ciebie nie przeraża, Matildo?

— Nie, bo ja wiem, jaki byłeś, i wiem, jaki możesz być.

W ekwiparcie zapanowało milczenie. Przejeżdżali

sennymi uliczkami, otulonymi ciepłymi smugami światła lamp ulicznych. Ruch uliczny zamierał. Apostezjon zasypiał. Albert zatrzymał pojazd.

— Czy będę mógł się kiedyś dowiedzieć, o co mi chodziło? Dlaczego wystąpiłem przeciwko Zespołowi? Jakie miałem plany? Dlaczego przegrałem?

— Byłeś sam —wtrąciła Alma — dlatego przegrałeś.

— Ale o co toczyła się gra?

— Czy myślisz, że życie nie udzieli ci odpowiedzi?

— Masz rację, Almo. Trzeba żyć, aby się tego dowiedzieć.

— Możemy ci pomóc —spojrzała na Matildę i dodała:— Możemy wam pomóc, skoro tamci odpłynęli, spece będą was szukać za morzem.

— Prowadź, Almo. Chyba nauczę się pić kawę.

Kapitan Vittolini, obciągając uniform, wszedł sprężystym krokiem do gabinetu Szefa.

Zameldował się regulaminowo, po czym na skinienie generała usiadł w fotelu.

— Jak tam sprawa?

— Została wyjaśniona, generale, choć są pewne komplikacje —zaczął ostrożnie.

— Mówcie, o co chodzi...

— Czy mógłbym...

— Słucham.

— Chciałbym zaproponować, aby odbyło się to w obecności Martena.

Szef spojrzał na niego badawczo, zaś Vittolini szybko wyjaśnił:

— On mógłby nam udzielić informacji, co pacjent będzie w stanie zrobić.

— Nie rozumiem...

— Chodzi o to, czego możemy się po nim spodziewać.

— To chyba od nas zależy.

— Niezupełnie, generale.

— Jak to? Czyżby go nie ujęli?

— Niestety, nie...

- To szukajcie dalej!
- Nie sądzę, aby było to celowe.
- Wyrażajcie się jaśniej, Yittolini!
- Wszystko wskazuje na to, że pacjent zbiegł za morze. Łodziom patrolowym nie udało się, niestety, przejąć go na naszych wodach terytorialnych. Widziano jego łódź, ale była już poza naszym zasięgiem. Z zeznań Długiego i Kardeny wynika, że uciekł razem z Matildą Lorret. Byli także z nimi dwaj pozostali członkowie tego gangu. Widziano ich na pokładzie.
- Niedobrze...—mruknął Szef.
- Największą troską napawa mnie jednak fakt— ciągnął Vittolini —że on uciekł z kopiami tych materiałów o eksperymencie. Dlatego chciałbym zaprosić Martena.
- Dobrze. Gdzie on teraz jest?
- Czeka w sekretariacie.

Szef połączył się z sekretariatem i powiedział do mikrofonu:

- Prosić Martena — a potem spojrzął na Vittoliniego i rzekł oschle: — Nie popisaliście się, kapitanie. Trzeba będzie poddać weryfikacji wasze kwalifikacje na szefa Wydziału Operacyjnego.

Vittolini milczał. Tymczasem drzwi uchyliły się.

- Niech pan usiądzie, profesorze. Zdaje się, że kapitan Vittolini chce nam powiedzieć coś ciekawego.

Marten zajął miejsce, a Vittolini zaczął mówić. Gdy skończył, generał powiedział:

- To był naprawdę niezły mózg. A ci dwaj, których złapaliśmy, też okazali się twardzi. Który z nich organizował to wszystko?
- Długi, a Karden należał do tego gangu.
 - Tak... Podali adres tego apartamentu oraz miejsce postoju łodzi i jej numery rejestracyjne dopiero w Sekcji Przesłuchań?
 - Tak jest, po dużej dawce Veritalu.
 - Było już za późno?
 - Niestety —Vittolini rozłożył bezradnie ręce. —

I tutaj mam pytanie do profesora.

- Słucham? — odezwał się Marten.
- Wardenson jest już poza zasięgiem naszego prawa. Jaka jest szansa, że może

on za granicą sprzedać tajemnice Zespołu Ekspertów?

— Nie ma żadnej szansy — stwierdził kategorycznie Marten. — W obcym środowisku nie będzie żadnych bodźców, wyzwających ukryte w podświadomości wspomnienia. Będzie zwykłym uciekinierem, który nie wie, dlaczego opuścił swój kraj rodzinny. Z czasem przystosuje się do tamtych warunków, a fikcyjny scenariusz pamięci zrośnie się z nowymi, tym razem autentycznymi przeżyciami.

— Do czego pan był mu potrzebny?

— Doprawdy trudno mi powiedzieć.

— A jednak planował porwanie pana. Musiał mieć w tym jakiś cel.

— Z pewnością — odrzekł. — Mogę jednak snuć tylko domysły.

— Pańskie domysły, profesorze — zauważył cierpko generał — mogą też mieć znaczenie.

— Prawdopodobnie byłem mu potrzebny do celów terapeutycznych — rzekł niechętnie.

— A czy tam, za morzem, ktoś mógłby pana zastąpić?

— Wykluczone! Zabieg ma skutki nieodwracalne. Na miejsce dotychczas funkcjonującego w jego pamięci fikcyjnego scenariusza można co najwyżej wpisać nowy scenariusz, równie fikcyjny. Pańskie obawy, generale, są nieuzasadnione. Nie można odtworzyć nagrania magnetofonowego, które zostało zastąpione nowym nagraniem.

— Ale mózg to nie taśma magnetofonowa.

— Racja — przyznał. — Jest materiałem trudniejszym technicznie. Zdarzają się bowiem przebicia z podświadomości, które zakłócają czystość odbioru. Ale nie mogą go zastąpić!

— Rozumiem. Zatem łudził się, że może mu pan pomóc?

— Myślę, że przewidywał nieodwracalność tego zabiegu. Prawdopodobnie chciał przy mojej pomocy uchronić się od... Ale to są czyste spekulacje, nic pewnego o jego intencjach stwierdzić nie można.

— Nas spekulacje też interesują. Od czego miał go pan uchronić?

— Od dezintegracji osobowości.

— To znaczy?

— Od schizofrenii.

— Tak — rzekł wolno generał — teraz rozumiem. Jeśli przytrafi mu się dezintegracja, to wówczas trafi do któregoś z ich zakładów psychiatrycznych i przestanie być dla nich użyteczny.

— To właśnie miałem na myśli.

— Jak mogą być wykorzystane kopie materiałów z pańskiego eksperymentu? — pytał dalej generał.

— Wie pan, generale — Marten poruszył się niespokojnie w fotelu — z naukowego punktu widzenia nie sędzę, aby potraktowali to inaczej niż jako ciekawostkę. Oni poszli w zupełnie innym kierunku. Obawiałbym się jedynie jakichś reperkusji propagandowych.

— Rozumiem — powiedział sucho generał. — Trzeba zatem przedstawić sprawę na Prezydium Zespołu Ekspertów z wnioskiem o jak najwcześniejsze wszczęcie kontrofensywy propagandowej. W takiej sytuacji przypadek wykracza już poza kompetencje pionu naszych Służb. Podstawą do wszczęcia procedury będą pańskie wyjaśnienia, profesorze, do których dołączymy nasze ekspertyzy. Czy zgadza się pan z tym wnioskiem?

— Tak — Marten zwiesił głowę.

— A co zrobiliście z tymi dwoma zuchami? — zwrócił się Szef do Vittoliniego.

— Napisałem właśnie wniosek o wysłanie ich do naszego Ośrodka Resocjalizacyjnego. Są twardzi, nieustępliwie dążą do celu. Będą z nich znakomici funkcjonariusze Służb Specjalnych.